ŻYCIE

ROK XII NR 1 (550) LONDYN, STYCZEŃ 1958 R. CENA 3/-.

„...Chrześcijanin... powinien raczej poczytywać sobie za wstyd, ilekroć da się prześcignąć przeciwnikom Boga w ruchliwej pracowitości, i przedsiębiorczości połączonej nieraz z duchem poświęcenia. Nie ma terenów zamkniętych, nie ma kierunków zakazanych dla działalności chrześcijanina: żadna dziedzina życia, żadna instytucja, żadna władza nie mogą być niedostępne współpracownikom Boga, gdy chodzi o podtrzymanie Bożego ładu i harmonii w świecie.“

(z Orędzia Wigilijnego Ojca św.)

CENA NUMERU: szyl. 3/-; dol. 0.50; fr. fr. 125; fr. belg. 20; fr. szw. 125; kr. szw. 1.60; lirów 280; D.M. 80.
w krajach Ameryki Południowej — równowartość szyl. 3/-.

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XII NR 1(550)

Niedziela, styczeń 1958 r.

Wydaje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", — 12 Praed Mews, London, W.2.
Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3-4 pp. Redakcja Rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): kwartalnie: szyl. 9/-; dol. 1.50; fr. fr. 540; półrocznie: szyl. 18/-; dol. 3.00; fr. fr. 1.080; rocznie: szyl. 36/-; dol. 6.00; fr. fr. 2.160. W prenumeracie lotniczej dolicza się faktyczny koszt przes. lot.

Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ŻYCIA. Zmiana adresu: szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr.fr. 1000. Kolor. 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem",** 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **R. Treister,** 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. **Belgia: Mme E. Kułakowska,** 1, Avenue Tedesco, Bruxelles. Pren. kwart. 60 frs. **Brazylia: Książnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: Ks K. Stolarek,** 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Canadian Mosaic Publishers,** Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service,** 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstr. 7/I. 13b) München 45. Pren. kwart. 5.40 MD. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.: „Gryf Publication",** 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **M. Kijowski,** 380 North Av., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import,** 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N. Y.; **S. J. Rozmysłowicz,** 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N. J.; **Veritas Americana,** 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 3.75 fr. **Szwecja: Mgr B. Z. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 4.80 krs. **Włochy: Mme Bułhak-Jelska,** via Salaria 300 C, Roma.

PUNKTY WIDZENIA

UCHWAŁA ZWIĄZKU PISARY

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia, w dniu 21 i 22 grudnia odbył się kolejny Walny Zjazd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Zjazdy tego emigracyjnego zrzeszenia, jednego z najczynniejszych i najbardziej eksponowanych związków społecznych na uchodźstwie, — są od wielu lat zdarzeniami o dużym znaczeniu, nie tylko literackim, dla całej emigracji polskiej.

Poprzedni Walny Zjazd pisarski odbywał się w pamiętnych dniach 21 i 22 października 1956, w chwili, gdy ku przedmieściom Warszawy ciągnęły wojska sowieckie, a na lotnisko warszawskie przylecieli główni komuniści sowieccy, aby wymóc posłuszeństwo narodu polskiego wobec narzuconej siły rosyjskiej.

Walny Zjazd uchwalił wówczas znaczną większością głosów rezolucję, która streszczała się w dwóch punktach. W pierwszym pisarze polscy za granicą łączyli się z walczącym o niezależność Krajem w uczuciu jedności, podziwu i miłości. W drugim punkcie stwierdzili, że na równi z Krajem przeciwstawiają się wszelkim objawom ucisku i niewoli, przede wszystkim — jako pisarze — przeciwko niewoli myśli i słowa, a na znak tej postawy zalecają swym kolegom żyjącym na emigracji wstrzymywanie się od drukowania utworów w instytucjach wydawniczych totalitarnego, komunistycznego ustroju. Jak wszyscy pamiętamy, uchwała ta stała się przedmiotem zaciętej kontrowersji, podjętej przez niecierpliwe uogólniania i nadzieje tych pisarzy, którzy po październikowych zmianach zbyt wiele się spodziewali. Rzeczywistość kilkunastu miesięcy, jakie upłynęły od października 1956 roku, szybko rozwiała zbyt gromkie nadzieje, raz jeszcze stwierdzając, że w rzeczach zasadniczych diagnozy i przewidywania nie mogą w żaden sposób, nawet w świecie pisarskim, płynąć na falach emocji i najszlachetniejszych choćby chceń.

Niejednokrotnie na tych łamach przyjdzie jeszcze sumować i oceniać „zdobycze października", przecież to one są w znacznej części treścią aktualną polskiego życia w Kraju. Nie czas wszakże na nie w tym miejscu. Tu chciałbym w największym jedynie skrócie uwypuklić przyczynę naszego zawodu w stosunku do treści popaździernikowej. Pisząc w dniu 23 października 1956 roku na tym samym co dzisiaj miejscu artykuł zasadniczy o przyjściu do władzy Władysława Gomułki, podkreśliliśmy te pozytywne elementy zdarzenia, jakie w nim tkwiły, wysuwając konieczność daleko idącej pomocy Polsce w tej fazie pół-wyzwolenia. Ale równocześnie wskazaliśmy trzeźwo i bez złudzeń na to, że w Polsce na miejsce jednej krwawej wersji komunizmu stalinowskiego przychodzi druga wersja, która mimo swych łagodniejszych form, mimo niewątpliwych wątków narodowych, **jest w dalszym ciągu komunistyczną w swej treści.**

Czas potwierdził to ustalenie, i potwierdził jakże dokładnie. Gomułka jest komunistą, który wierzy w zdolność komunizmu do organizowania ludzkiego życia zbiorowego. Wydaje mu się, że wszystkie poprzednie straszne i olbrzymie w skali błędy i zbrodnie komunizmu pochodziły jedynie z niewłaściwego sposobu stosowania zasad komunistycznych. Postanowił więc — a ta jego decyzja wpływa na to, że Rosja sowiecka nie interweniuje i przygląda się „eksperymentowi" — zastosować w Polsce, którą po swojemu kocha sercem dobrego syna, ulepszony, ale integralny komunizm. I w tej chwili w Polsce rzeczywistością polityczną, gospodarczą, społeczną oraz kulturalną jest nie co innego tylko właśnie komunizm. Jeśli ktokolwiek sądzi inaczej i szuka ucieczki dla swych marzeń w spekulacjach, łudzi się i okłamuje samego siebie.

A teraz najważniejsze stwierdzenie wobec tego stanu rzeczy: Polak, który myśli o położeniu i perspektywach polepszenia doli swego kraju, musi się temu stanowi rzeczy przeciwstawić. Z tego prostego powodu, iż jest rzeczą absolutnie oczywistą, że formuła komunizmu, jest formułą błędną. Komunizm nie jest w stanie udźwignąć w żadnej swej formie i w żadnym kraju świata, ludzkiego życia zbiorowego. Jest instrumentem niesłychanie — w stosunku do swoich rezultatów — kosztownym, tragicznie uciążliwym i niszczącym. Wbrew pozorom różnych przywar w Kraju: pijaństwa, kradzieży, niemoralności, chuliganerii, płynie przez społeczeństwo polskie w Kraju w tej chwili potężny prąd pragnienia odnowy i kumuluje się energia na jej przeprowadzenie. Nawet na szczytach urzędów komunistycznych zjawiają się nieraz właściwe i pożyteczne pomysły. Cóż z tego jednak, skoro odnowa nie może być przeprowadzana, bo się na niej kładą tępe, ciasne i niesprawne założenia doktrynalne!

Aktualna topografia polska wyróżnia kilka grup ludzkich z ich odrębnymi treściami: a więc naprzód — zaczynając wyliczanie od cząstkowych pozycji — grupa komunistyczna rządząca Krajem z narzuconej sytuacji, dalej grupa tych polityków polskich, którzy wzięli na siebie współdziałanie z obecną wersją komunizmu dla aktualnej obrony interesów narodowych, z kolei społeczeństwo emigracyjne, stojące na gruncie ponadaktualnych założeń polityki polskiej. W centrum tych cząstkowych grup — wielka, potężna, dynamiczna i stale rosnąca masa narodu polskiego ze swymi nieusuwalnymi dążeniami, celami i ze swą niezniszczalną siłą, czerpiącą swe żywotne soki z głębokiej wiary religijnej i ze złoży swej tysiącletniej kultury.

Ostatni Walny Zjazd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie stanął na stanowisku, że wobec zmian, jakie zaszły w Kraju od poprzednich uchwał i wobec takiego układu rzeczywistości — stosunek do drukowania w Kraju musi zostać zmieniony. W osobnej uchwale ustalono, że pisarze polscy na uchodźstwie mogą publikować w wydawnictwach krajowych w takich wypadkach, gdy oczywisty interes narodowy tego wymaga i to drukowanie dopuszcza.

W każdym wypadku decyzji, rozstrzyga sumienie pisarza. Drukowanie w krajowych wydawnictwach nie może być ani wsparciem komunistycznego ustroju w Polsce, ani prowadzić pisarza żyjącego w wolnym świecie do uzależnienia od władz państwa totalitarnego. Chodzi przede wszystkim o sprawy cenzury, która w Polsce w dalszym ciągu działa i to działa coraz bezceremonialniej. Jest rzeczą oczywistą, że jakakolwiek interwencja cenzury w tekst literacki pisarza emigracyjnego naruszałaby zasadę wyłuszczoną w tegorocznej uchwale.

J. K.

LISTY i UWAGI

DYSKUSJA Z KISIELEM

Wypowiedź Stefana Kisielewskiego, członka grupy katolickiej w Sejmie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i niezależnego publicysty, opublikowana w ŻYCIU z dnia 27. 10. 1957 (nr 43/540), z natury rzeczy zasługuje na uwagę i przemyślenie. Jako emigrant polski w Ameryce, pragnę poruszyć w związku z tą wypowiedzią Stefana Kisielewskiego kilka zagadnień istotnych dla sprawy należytego ustosunkowania emigracji polskiej do Kraju i ludzi z Kraju do emigracji.

Żeby zadanie uprościć, powiem od razu, że Autor wypowiedzi niezupełnie potrzebnie połączył zagadnienie stosunku emigracji do Kraju z zagadnieniem swojej własnej pozycji politycznej w zmienionej nieco ostatnio polskiej rzeczywistości politycznej. Łączne traktowanie tych dwu spraw komplikuje tylko dyskusję. Nie powinny być one łączone automatycznie, gdyż w praktyce nie zachodzi między nimi żaden związek przyczynowy. W szczególności stwierdzić należy jasno, że linia postępowania przyjęta w jednej z tych dwu sytuacyj nie musi obowiązywać w drugiej.

Pisze Kisielewski, że emigracja polityczna nie wypełniła swych zadań i że wobec tego on sam nie ma zamiaru poświęcić jej wiele uwagi w swojej wypowiedzi. Jeśli zadaniem emigracji było odzyskanie dla Polski pełnej niepodległości, to rzeczywiście zadanie to dotąd spełnione nie zostało. Czy jednak wynika z tego wniosek, że emigracja polityczna powinna popełnić polityczne harakiri i zniknąwszy z horyzontu międzynarodowego pozostawić plac boju dla oficjalnych reprezentantów rządu PRL dlatego, że mają oni za sobą autorytet Gomułki? Czy nie za mało logiki w takim postawieniu sprawy i czy nie za wiele „kultu osobowości"?

Zagadnienie emigracji politycznej jest o wiele głębsze. Na istnienie jej nie wpłyną nawet błędy polityków emigracyjnych. Nie oni bowiem powoływali emigrację polityczną do życia i nie oni będą ją rozwiązywali.

Istnienie emigracji politycznej jest ściśle powiązane z sytuacją w Kraju. Sytuacja ta przedstawia się w ten sposób, że nie tylko nie widać kresu już istniejącej emigracji politycznej, lecz nawet wykluczyć nie można, że dojdzie do nowej fali emigracji politycznej, tym razem z szeregów partii komunistycznej i jej sympatyków.

Nie trzeba bowiem zapominać, że istota postulatów politycznych wysuniętych w Polsce przez grupę „Po prostu" pod adresem kierownictwa PZPR w gruncie rzeczy zawierała w sobie domaganie się uznania prawa tej grupy do ukonstytuowania się w odrębną partię polityczną, gdyby okres „frakcjonowania" nie doprowadził do wyjaśnienia sytuacji w partii w jednym albo drugim kierunku. Gomułka zdusił tę inicjatywę w zarodku, z czego jednak nie wynika wcale, że PZPR ma zagwarantowaną na zawsze miłość i lojalność młodszych generacji i nowych sił politycznych w Polsce.

Przechodząc od zagadnienia możliwości nowej emigracji politycznej z Polski z powrotem do zagadnienia emigracji politycznej w ogóle, stwierdzić trzeba, że emigracja polityczna zawsze jest najpierw politycznym i socjologicznym faktem, a dopiero potem programem i zadaniem. I to odnosi się również do obecnej emigracji politycznej z Polski. Istnieje ona dlatego, że w Polsce istnieje dyktatura. Właśnie ta dyktatura jest źródłem życia emigracji politycznej. Emigracja jest odwrotną stroną medalu dyktatury i dopóki dyktatury w Kraju, dopóty emigracji na obczyźnie.

Rzeczywistość polską ponadto komplikuje fakt, że dyktatura istniejąca w Kraju jest w znacznej mierze funkcją hegemonii obcego mocarstwa. Kisielewski powołuje się wprawdzie na politykę suwerenności, prowadzoną jakoby przez Gomułkę, jeśli jednak Gomułka politykę taką naprawdę prowadzi, możliwości jego w tej dziedzinie są ograniczone fizycznie. Dopóki silna armia sowiecka stacjonuje w Niemczech, dopóty Polska nie może być naprawdę niepodległa, niezależnie od programu i charakteru sił politycznych kształtujących rzeczywistość wewnątrz Kraju. Tego stanu rzeczy nie zmienią żadne oświadczenia z Warszawy, ponieważ słowa faktów zmienić nie mogą. Nie mam zamiaru pomniejszać wagi oświadczeń warszawskich, zwłaszcza że niektóre z nich najwidoczniej mają na celu przyspieszenie nadejścia normalnej niepodległości. Nikt jednak domagać się nie może od emigracji, by nie dostrzegała rzeczywistości. Gdyby emigracja wzięła taktyczne oświadczenia za rzeczywistość, dorzuciłaby tym samym jeszcze jedną przeszkodę do istniejących już na drodze do polskiej niepodległości. Emigracja bowiem nie znajduje się pod przymusem ograniczeń natury fizycznej — emigracja nie jest otoczona przez wojsko rosyjskie — i to co w ustach niektórych przynajmniej osobistości oficjalnych w Warszawie może być interpretowane w świetle tych ograniczeń, w ustach emigrantów brzmiałoby jak głos komunistycznej agentury. Czy tak przemawiająca emigracja mogłaby dopomóc Krajowi od strony zachodniej, żeby już nie powoływać się na inne elementy zagadnienia?

Punkt ciężkości stanowi podstawowa sprzeczność między grupą polityczną sprawującą obecnie rządy w Kraju, a emigracją. Grupa ta nie chce i nie może nie być komunistyczna, emigracja zaś nie chce i nie może być komunistyczną. Błąd Stefana Kisielewskiego polega na tym, że albo tej sprzeczności nie widzi, albo też — w obliczu ciężkiej sytuacji — nie chce jej widzieć. Błądzi też Szanowny Autor wypowiedzi, gdy dzieląc emigrację na polityczną i niepolityczną zaleca tej drugiej polityczne ustosunkowanie się do Kraju. Przy podjęciu bowiem prób z Kraju politycznego ustawiania emigracji niepolitycznej wszystkie realne sprzeczności polityczne muszą wyjść na pierwszy plan i musi dojść do takich starć w poglądach i działaniach, że sprawa pomagania Krajowi przez emigrację może wyjść z tego konfliktu z połamanymi kośćmi.

Nie mogę więc wyrazić Autorowi wypowiedzi uznania za jego inicjatywę. Trudno mi też pominąć fakt, że on sam nie może udzielić żadnych zapewnień, że upolitycznianie emigracji ze strony kontaktów z Krajem zatrzyma się na granicy komunistycznej akcji propagandowo-komunistycznej. Stefan Kisielewski nie jest bowiem członkiem rządu PRL, na Zachodzie zaś — gdzie w studiach politycznych nie przeszkadzają specjalni nadzorcy z departamentów centralnego komitetu partii rządzącej — nawet studentom dobrze wiadomo, że najważniejsze wypowiedzi publiczne to deklaracje i programy rządów, nawet jeżeli rządy reprezentowane są przez sekretarzy partyjnych. Natomiast wypowiedzi publicystów, a nawet parlamentarzystów, mają mniejsze znaczenie, a to z tego prostego powodu, że nie wiążą rządów.

Wypowiedziawszy tych kilka krytycznych uwag o politycznej stronie wypowiedzi Stefana Kisielewskiego, nie mogę się na tym zatrzymać, gdyż wtedy mógłby mi słusznie zarzucić, że krytyka jego wypowiedzi nie może zastąpić braku innego rozwiązania postawionych przez niego problemów. Podzielam jego troskę i zmartwienie wywołane objawami w Polsce anarchii, nihilizmu, obojętności i szkodnictwa. Niestety tych zagadnień od strony emigracyjnej rozwiązać nie można. Można okazywać tylko zrozumienie dla ludzi, którzy przeciwstawiają im się na miejscu, w Kraju.

Jeżeli zaś idzie o rzecz główną dla emigracji, o stosunek emigracji do Kraju, nie uważam wprawdzie, by konieczne było ścisłe i dogmatyczne sformułowanie recepty, jaki ten stosunek być musi, niemniej jednak sądzę, że ogólną linię postępowania wytyczyć można. Emigracja polska w krajach Zachodu powinna pomagać narodowi polskiemu w miarę swoich sił i możliwości i uważać taką pomoc za swój udział w usiłowaniach, podejmowanych przez wszystkich ludzi dobrej woli na całym świecie, realizowania idei pokoju, sprawiedliwości, zbliżenia międzynarodowego, współpracy, rozwoju ekonomicznego i postępu moralnego. Oczywiście, czynna postawa emigrantów wobec kraju ojczystego uważana być powinna również za wypełnienie konkretnego, ludzkiego obowiązku każdego człowieka wobec swojej ojczyzny.

Pomoc Krajowi nieść należy dwoma torami: politycznym i niepolitycznym. Jeśli idzie o pomoc w sferze niepolitycznej, należy utrzymywać kontakty z Krajem: rodzinne, religijne, charytatywne, kulturalne, naukowe i ekonomiczne. W obecnej sytuacji światowej tego rodzaju postawa i program nie mogą być nawet sprzeczne z celami politycznymi — to jest z walką z komunizmem jako zjawiskiem zagrażającym wszystkim wartościom ludzkim — gdyż coraz powszechniej szerzy się zrozumienie, że komunizmu nie można zwalczać przez izolowanie się od niego i ukrywanie się przed nim.

Z drugiej jednak strony emigracja musi pamiętać, że polityczne zagadnienie niepodległości polskiej rozegrane być musi w sferze politycznej. I dlatego oddzielając nawet procesy i funkcje polityczne od niepolitycznych (jednym z typowych objawów komunistycznego prymitywizmu i barbarzyństwa jest pchanie wszystkich zagadnień do jednego kotła) nie należy bynajmniej zapominać ani o jednych ani o drugich. Emigracja polska potrzebuje ośrodków politycznych, nawet jeśli one mają być mniejsze i o mniej głośnych tytułach niż dotychczasowe. Ośrodki te powinny mieć poparcie moralne i materialne emigracji, a czynni w nich emigranci polityczni powinni mieć zapewnione niezbędne środki, umożliwiające im studiowanie zagadnień polskich z dala od nacisku rodzimej dyktatury komunistycznej i zewnętrznej naddyktatury sowieckiej, oraz występowanie w odpowiednich momentach z ostrzeżeniami lub koncepcjami. Gdyby ośrodki takie, działające w granicach zdrowego rozsądku politycznego realizmu, zniknęły z powierzchni życia emigracyjnego, znaczyłoby to, że albo emigracja już się wynarodowiła, albo opanowana została przez odpowiednie agencje dyktatury komunistycznej.

Takie postawienie sprawy nie szkodzi Krajowi, lecz mu pomaga. Nie zawiera ono w sobie żadnej sprzeczności. Nawet ośrodki polityczne emigracji mogą w razie potrzeby występować przed rządami i opinią publiczną Zachodu za pomocą ekonomiczną Polsce, co zresztą miało miejsce w niedawnej przeszłości. Inteligentny i charakterem politycznym obdarzony człowiek Zachodu potrafi uchwycić różnicę między trwałym wkładem w dzieło wspólnej cywilizacji takiego

narodu jak Polska, a przemijającym interesem rządu, który w danej chwili jest u władzy.

I wreszcie ostatnia uwaga. Myli się redaktor Stefan Kisielewski, jeżeli sądzi, że ktokolwiek na emigracji uderza personalnie w Gomułkę. Gomułka nie przesłania emigracji polskiego kraju. Emigracja chce pomóc Polsce bez względu na osobę komunistycznego przywódcy sprawującego władzę w danym okresie. Jeżeli jest lepszy od poprzednich, tym lepiej dla Kraju, polityka jednak polska nie może sprowadzać się do sprawy Gomułki.

Aleksander Lisowski

BUDDYZM

Wielce Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Bardzo zasmucił mnie zbyt popularny wykład buddyzmu, jaki w swym ostatnim felietonie przytacza Polonus, zwykle tak interesujący. O buddyzmie wybitni myśliciele europejscy (w tym niejeden duchowny i uczony katolicki) napisali już setki tomów i żaden poważny religiolog nie ośmieliłby się nazwać go „religią niezmiernie pustą". Nie jestem religiologiem i musiałbym szperać, aby coś zacytować. Z dorywczych lektur przypominam sobie szkic francuskiego zakonnika (niestety nie pamiętam nazwiska) o domniemanym wpływie buddyzmu na autora „Naśladowania Chrystusa" oraz wiele przypowieści buddyjskich o treści tak wzniosłej, a formie tak pięknej, że byłyby ozdobą każdego modlitewnika.

Nie ma najmniejszej sprzeczności między najbardziej ortodoksyjną wiarą we wszystko co Bóg objawił a Kościół do wierzenia podaje — a przekonaniem, że buddyzm należy do najwyższych wzniesień, do jakich zdolny jest duch ludzki w granicach religii naturalnej. Jest to dziś pogląd powszechnie przyjęty przez ludzi światłych, którzy — bez względu na wyznanie — jednomyślnie i potocznie zaliczają buddyzm do „wielkich" religij.

Zechce Pan przyjąć wyrazy głębokiego poważania

Michał Sambor

DR GIERGIELEWICZ

Od p. M. A. Stopy otrzymaliśmy uzupełnienie noty biograficznej o prof. dr. Giergielewiczu, który od 1. 9. 1947 był przez lat 10 reczu, który od 1.9.1947 był przez lat 10 redaktorem „Poradnika Świetlicowego", później „Poradnika Kulturalno-Oświatowego, jedynego pisma oświatowo-poradniczego dla pracowników społeczno-oświatowych, wydawanego przez Polską Y.M.C.A. w Wielkiej Brytanii.

Od 1. 11. 1949 do 30. 9. 1957 dr Giergielewicz był kierownikiem programowym i zastępcą dyrektora Polskiej Y.M.C.A. w Wielkiej Brytanii.

SPROSTOWANIE

W artykule **Ks. Kan. S. Bełcha** pt. **„ORIENTACJA BOŻA"**, w nr. 48 z 1. 12. 1957 na str. 7-ej, w wierszu 14-tym, w drugim łamie, wkradła się **pomyłka:** zamiast „narodu **rzymskiego"** winno być „narodu **rządzonego"** („...rządu służącego nie interesom narodu **RZĄDZONEGO**, lecz interesom grupy rządzącej...").

ŁAD I HARMONIA RĘKOJMIĄ POKOJU

ORĘDZIE WIGILIJNE J. ŚW. PIUSA XII DO LUDÓW ŚWIATA

„Leva Jerusalem, oculos tuos, et vide potentiam regis: ecce Salvator venit solvere te a vinculo", „Wznieś oczy twe, Jeruzalem, ku górze i patrz na potęgę króla: oto przychodzi Zbawiciel, by cię z więzów wyswobodzić" (Brev. Rom. Fer. 2 infra Hebd. I Adv., Ant. ad Magnif.).

To macierzyńskie wezwanie Kościoła do podniesienia wzroku do nieba i oczekiwania stamtąd przybycia Boskiego Zbawiciela, a z Nim wyzwolenia z rozdźwięków, jakie dręczą umysły, pragniemy powtórzyć wam, umiłowani synowie i córki świata katolickiego, jako ojcowskie życzenie w tegoroczną uroczystość Bożego Narodzenia, która zastaje ludzi ze wzrokiem skierowanym wprawdzie ku niebu, ale z sercem dławionym dręczącą wizją niepewnego jutra rodziny ludzkiej i samego jej ziemskiego pobytu.

Nie tak spoglądali ku niebu Pasterze betlejemscy, ani Mędrcy ze Wschodu, kiedy pierwszym ukazali się Aniołowie, a drugim zjawiła się tajemnicza gwiazda, zwiastując narodzenie się Syna Bożego na ziemi. Głębokie zdumienie owładnęło ich umysł, kiedy usłyszeli i ujrzeli „Magnalia Dei" „Wielkie sprawy Boże" i stali się ich świadkami (Dz.. Ap. 2, 11; 1 Piotr 2, 9), tj. tych wielkich i przedziwnych spraw Boga, które osiągnęły punkt szczytowy i syntezę wszelkiej możliwej wielkości w delikatnym Dzieciątku, narodzonym w mieście Dawidowym, spowitym w biedne pieluszki i złożonym w ubogim żłobie (cfr. Łuk. 2, 12). Ich jednak zdumienie nie miało nic wspólnego z przerażeniem i hałasem. jakie zwykle wywołują wokół siebie budzące postrach wielkości, ale raczej przemieniło się w falę słodkiego pokrzepienia i wytchnienie niewysłowionego pokoju i kojącej harmonii, jakie tylko Bóg umie wlewać w dusze ludzkie, które Go szukają, przyjmują i uwielbiają.

Wielkości ludzkie i wielkości Boże

Atoli wobec niewysłowionego zdarzenia przyjścia na świat Słowa Bożego, wobec tego zdarzenia przewyższającego wszystkie inne w historii rodzaju ludzkiego, godnego zatem najwyższego podziwu, nie wszyscy ludzie chylą czoła z uwielbieniem, pozostając jakby niewolnikami swej własnej małości, i jakby niezdolni do przedstawienia sobie nawet możliwości istnienia czegoś nieskończenie wielkiego. Inni znowu, zapatrzeni w nadzwyczajny rozwój współczesnej wiedzy, która poznanie i władzę człowieka rozszerzyła aż na gwiaździste przestworza, oślepieni niejako urokiem własnych zdobyczy, umieją podziwiać tylko „wielkości ludzkie", a zamykają dobrowolnie oczy na „wielkości Boże". Nie wiedząc lub zapominając, że Bóg jest jeszcze wyższy od samych niebios i że Jego tron opiera się na szczytach gwiazd (cfr. Job 22, 12), nie pojmują prawdy i znaczenia hymnu, który Aniołowie śpiewali nad Grotą betlejemską, gdzie ujawniła się najwyższa wielkość Boga: „Gloria in excelsis Deo", ale, przeciwnie, doznają pokusy, aby ów hymn zastąpić innym, a mianowicie: „chwała na ziemi człowiekowi", człowiekowi, który tyle myśli i dokonuje, czyli „człowiekowi mistrzowi" — „homo faber", jak go określili niektórzy filozofowie, ponieważ takim ukazał się w dziełach, które zdają się przekraczać wszelką miarę ludzką.

Stosowna to chwila, aby sprowadzić do słusznych wymiarów podziw współczesnego człowieka dla samego siebie. Wielbiciele „człowieka mistrza" — homo faber — łagodząc z mądrym umiarem uczucie jakby upojenia, wywołanego współczesnymi zdobyczami techniki, powinniby dojść do przekonania, że zatrzymanie się z zachwytem i w postawie uwielbienia przed żłóbkiem Bożego Dzieciątka, bynajmniej nie opóźniłoby ich wyścigu na drodze postępu, lecz uwieńczyłoby go dopełnieniem, jakie stanowi „człowiek mądry" — „homo sapiens".

Obawy dzisiejszego człowieka wobec nowych zdobyczy nauki i techniki

Człowiek ten, będąc równocześnie „mistrzem" jak i istotą „duchową", z łatwością uzna, że wszystko to, czego Bóg dokonuje i co objawia w tajemnicy Bożego Narodzenia, wznosi się w sposób niezrównany ponad wszelką siłę, energię i twórczość ludzką tak jak nieskończoność góruje nad tym co skończone. Z wrażliwością żywszą i pełniejszą od tej, która innych pobudza do podziwu bez zastrzeżeń dla jakiegoś wytworu materialnego, odczuwa on słodycz zachwytu w obliczu Boskiego Dzieciątka, które nosi na ramieniu swoim panowanie (cfr. Iz. 9, 6). W Nim widzi on dziwy Boga wiecznego, który się przyoblekа w czas, Boga niezmierzonego i wszechmocnego, który ogranicza się przestrzenią i słabością, Boga majestatu, który stał się „dobrocią i ludzkością Zbawiciela naszego" (cfr. Tyt. 3, 4), pełnego miłosierdzia i miłości.

Dlatego to Anioł, który zwiastował pasterzom dziwy Bożego Narodzenia, rozpoczął od zachęty do otuchy: „Nie bójcie się, bo oto opowiadam wam wesele wielkie, które będzie wszystkiemu ludowi" (Łuk. 2, 12). Całkiem inne uczucia budzą natomiast zapowiedzi nowych dziwów techniki. Kiedy ustał pierwszy wybuch radości, ludzie dzisiejsi, wobec nieoczekiwanego mnóstwa swych nowych wiadomości i skutków, które z nich wynikają, wobec tej niesłychanej inwazji w mikrokosmos i w makrokosmos, dręczeni jakąś obawą, pytają samych siebie, czy zdołają zachować panowanie w świecie, czy też nie staną się ofiarami swojego postępu. Nie dające się przewidzieć zmiany, wynikające z nowych dróg, otwartych przez wiedzę i technikę współczesną, uważane są przez niektórych za czynnik rozstroju, mogący wywołać zamieszanie i nieład w jedności porządku i harmonii, właściwej rozumowi ludzkiemu. Inni znowu uważają je za powód do poważnej obawy nawet o życie ich własnych twórców. Człowiek poczyna lękać się świata, który rzekomo dzierży już w swoim ręku. Lęka go się bardziej niż kiedykolwiek i to przede wszystkim tam, gdzie Bóg nie żyje naprawdę w myślach i w sercach. Bóg, którego dziełem jest świat — cały i całkowicie — na którym wycisnął On niezniszczalną pieczęć, Bóg Wszechmogący, Duch Absolutny. Bóg najmędrszy i źródło wszelkiego ładu, harmonii, dobra i piękna.

Chrystus źródłem harmonii w świecie

Temu właśnie rodzajowi ludzkiemu, złożonemu w wielkiej mierze z ludzi, którzy podziwiają jedynie samych siebie, ale którzy zaczynają już lękać się siebie samych i swego świata. My raz jeszcze ukazujemy ścieżki do Betlejem. Tam znajdą oni Tego, którego szukają, Tego, o którym mówi Apostoł: „Wszystko przezeń i dla Niego stworzone zostało; a On jest przede wszystkim, i wszystko z Nim stoi" (Kol. 1, 16 - 17).

Taka jest zbawienna prawda, która promieniuje z ubogiej Groty Betlejemskiej, a która oby zabłysła i w waszych myślach. W szczególności nowonarodzony Chrystus ukazuje się i ofiaruje siebie dzisiejszemu światu:

1. jako pokrzepienie dla tych, którzy skarżą się na dysharmonie i zwątpili o harmonii świata;
2. jako rękojmię harmonii w świecie;
3. jako światło i drogę dla każdego wysiłku ludzkiego, który ma na celu ustalenie harmonii w świecie.

I. — CHRYSTUS POCIESZYCIELEM WŚRÓD ROZDŹWIĘKÓW TEGO ŚWIATA

Człowiek od pierwszego zetknięcia się z wszechświatem uległ nieprzepartemu urokowi jego niezrównanego piękna i har-

monii. Skąpany w jasności dnia, czy też usiany gwiazdami, firmament niebieski, mieniące się od barw niezmierzone oceany, niedosiężne szczyty śnieżnych gór, kipiące życiem zielone lasy, kolejne następowanie w ustalonym porządku pór roku, nieprzebrane bogactwo form istnienia — wszystko to wydobywa z jego serca okrzyk podziwu. Wrodzony zmysł piękna każe mu nawet w rozszalałym żywiole dostrzec wyraz potęgi Stwórcy: „Potentior aestibus maris, potens in excelsis Deus“, „Potężniejszy nad fale morskie, potężny na wysokości Bóg“ (Ps. 92, 4); „Tonabit Deus in voce sua mirabiliter“; „Zagrzmi Bóg głosem swym dziwnie“ (Job 37, 5). I słusznie szczycący się wysoką kulturą lud starożytny nie potrafił znaleźć trafniejszego określenia dla wszechświata nad kosmos, co znaczy porządek, harmonia, ład. A tymczasem ilekroć człowiek skieruje wzrok na samego siebie i dokona zestawienia swych chęci i pragnień z czynami — popada w zmartwienie z powodu zbyt licznych sprzeczności, rozdźwięków, nieładu, które targają jego życiem.

Dysharmonie w kosmosie

Człowiek nowoczesny nie inaczej niż tamten dawniejszy ustawicznie przerzuca się z uczucia ekstatycznego podziwu dla przyrody, którą poznał aż do jej najgłębszych tajników i do najodleglejszych dziedzin, w gorzką rozpacz, spowodowaną chaosem życia, które sam sobie wyznaczył. To przeciwieństwo między harmonią przyrody z jednej strony a skłóceniem życia (ludzkiego) z drugiej, miast zanikać w miarę wzrostu zdolności człowieka do poznania i do działania, przeciwnie, zdaje się iść za nią jak groźny cień. Człowiek naszych czasów w swym opuszczeniu powtarza za cierpliwym Jobem jego skargę: „Oto wołać będę cierpiąc gwałt, a nikt nie usłyszy; krzyczeć będę, a nie masz, kto by osądził“ (Job 19, 7). A więc zatrzymajmy się, by posłuchać jego skargi, by wniknąć lepiej w jego najgłębsze uczucia i by mu wskazać Tego, co prawdziwie mocen jest rozproszyć mroki jego duszy, a jego życiu pełnemu przeciwieństw przywrócić harmonię.

Bezpośredniość totalnego pesymizmu

Wśród jednej części dzisiejszej ludzkości — wrażenie wywołane widokiem dysharmonii, ujawniającej się w świecie, przeradza się w sąd potępiający wszystko co stworzone, jak gdyby ona stanowiła konieczną cechę wszechrzeczy, była nieodpartym fatalizmem, wobec którego nie pozostaje człowiekowi nic innego jak z rezygnacją skrzyżować ramiona i starać się co najwyżej powetować sobie efemerycznymi przyjemnościami, uwarunkowanymi tym samym nieładem. Źródłem tego totalnego pesymizmu, opanowującego zazwyczaj umysły skłonne do przesądnego czy nawet wręcz bezsensownego optymizmu, jest rozciąganie pewnych, niewątpliwie w świecie istniejących, rozbieżności na całość kosmosu i jego podstawowych praw, czyniąc odpowiedzialnym za ten stan rzeczy samego Stwórcę. Ulegają zaś temu totalnemu pesymizmowi ci, co w świecie nie widzą nic innego, jak morze okrucieństwa i bólu, rozdzierających serca jednostek i narodów, a które ścielą drogę materialnego postępu. Drugich znowu — do zwątpienia w odzyskanie przez świat utraconej harmonii popycha widok ludzi tak mocno opanowanych urokiem nowości, iż gardzą innymi rzeczywistymi wartościami, zwłaszcza tymi, które są podporą życia społecznego. Wreszcie wielu innych kapituluje, żeby się tak wyrazić, przed totalnym pesymizmem, kiedy stwierdzają godny rzeczywiście ubolewania fakt, jak to ludzie na zewnątrz postępowi, wewnętrznie dziczeją.

Jego przyczyny

Jeżeli następnie zapuścimy badanie do samych korzeni tych i tym podobnych faktów, w naszą nadzieję ugodzi nowy cios; oto bowiem przyczyny ich wykazują jeszcze większe dysharmonie, każąc się ponadto spodziewać w przyszłości dalszego pogorszenia. Skąd bowiem ta obojętność na prawo bliźniego do życia, ta pogarda dla wartości ludzkich, to obniżenie tonu prawdziwej kultury, jeżeli nie stąd, iż przemożny wpływ postępu materialnego rozłożył harmonię i szczęśliwość człowieka, jakby okaleczył jego wrażliwość na tamte ideały i wartości wydoskonalając go tylko w jednym określonym kierunku. Zaiste w człowieku, urodzonym i wychowanym w atmosferze surowego technicyzmu, musi zabraknąć miejsca dla jednej części składowej jego osobowości, i to niemniej doniosłej, która w warunkach nie sprzyjających jej naturalnemu rozwojowi zanika. Podobnie jak roślina, hodowana na gruncie pozbawionym koniecznych do jej życia składników, choć rozwija się pod tym lub owym względem, nie odtwarza jednak pełnego harmonijnego typu; tak cywilizacja postępowa, 'progresistyczna', tzn. wyłącznie materialistyczna, wyrzucając poza nawias niektóre wartości i czynniki, niezbędne dla życia rodzin i narodów, pozbawia ostatecznie człowieka należnego mu sposobu myślenia, sądzenia i działania. Ten sposób bowiem, aby dojść do prawdy, sprawiedliwości, uczciwości, jednym słowem, żeby być prawdziwie „ludzkim“, wymaga jak największej wszechstronności i wielokierunkowości. Przeciwnie, kiedy postęp techniczny uwięzi człowieka w swoim kręgu, odcinając go od reszty wszechświata, a zwłaszcza od tego, co duchowe i wewnętrzne, upodobnia do swoich własnych cech, z których najbardziej podpadającymi pod oczy są powierzchowność i niestałość. Sposób, w jaki powstaje tego rodzaju wypaczenie, nie będzie dla nas tajemnicą, gdy zwrócimy uwagę na wrodzoną człowiekowi skłonność do przyjmowania pojęć niejasnych i błędnych, jeżeli tylko niosą pełne dłonie obietnic łatwiejszego życia. Patrzcie na przykład na to podejrzane przestawienie wartości, spowodowane przez zadziwiający postęp w dziedzinie szybkości mechanicznej. Urzeczony nią, przenosząc wartość szybkości ruchu na rzeczy, których udoskonalenie nie zależy od prędkich zmian, lecz które przeciwnie stają się płodnymi w stałości i przy wierności tradycjom, człowiek 'rekordzista' staje się w życiu jakby trzciną miotaną wiatrem, jałowym w trwałe dzieła, niezdolnym do krzepienia siebie i drugich. Podobne nieporozumienie pochodzi ze zdumiewającego w samej rzeczy spotęgowania zdolności zmysłowego poznania. Nowoczesne cuda techniki, na usługach naukowych badań, pozwalają widzieć, słyszeć, zmierzyć wszystko, co istnieje, rusza się i przeobraża, prawie w każdym zakątku wszechświata. Upojony tak rozległymi możliwościami i niemal całkowicie pochłonięty czynnościami zmysłów, ten „wszystkowidzący‘ człowiek, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, ogranicza się w używaniu tej całkiem duchowej władzy wnikania w głąb rzeczy, tj. rozumu, i staje się coraz mniej zdolnym do rozwijania w sobie prawdziwych pojęć, którymi karmi się życie. Podobnież różnorakie zastosowania tak cudownie pomnożonej zewnętrznej energii, zdążają z każdym dniem coraz bardziej do tego, by zamknąć życie ludzkie w jakimś mechanizmie, który sam wszystko robi i to własnym kosztem, likwidując w ten sposób bodźce, które niegdyś zmuszały człowieka do rozwijania własnej, osobistej energii.

Świat wraca do pierwotnej harmonii, przystając do Chrystusa

Istnieją więc głębokie dysharmonie w nowym człowieku, stworzonym przez postęp; ale, chociaż są one pełne niebezpieczeństw, nie są jednak takie, żeby usprawiedliwiały rozpacz zbyt wielkich pesymistów albo bierną rezygnację ludzi gnuśnych. Świat może i musi wrócić do pierwotnej harmonii i ładu, zamierzonego przez Stwórcę od początku, kiedy to dziełom swoim udzielał własnej doskonałości (cfr. Ekli. 16. 25 - 26). Niezłomna moc tej nadziei leży w tajemnicy Bożego Narodzenia: Chrystus, Bóg-Człowiek, sprawca wszelkiej harmonii, nawiedza swoje dzieło. Jakże mogłoby stworzenie zwątpić o świecie, jeżeli sam Bóg nie zwątpił? jeżeli Słowo Boże, przez które wszystko się stało, stało się ciałem i zamieszkało między nami, żeby wreszcie zabłysła Jego chwała jako Jednorodzonego Syna Ojca (cfr. Jan 1, 3 i nast.)? Jakżeż bowiem mogłaby zajaśnieć chwała Stwórcy i Odnowiciela wszechrzeczy w świecie, z konieczności opartym na sprzecznościach i dysharmoniach?

Ich pesymizm i ich bierna rezygnacja nie będą nigdy mogły być przyjęte przez chrześcijaństwo, ponieważ stoją w sprzeczności z chrześcijańskim pojęciem o człowieku. Już w samych początkach św. Paweł powstał przeciwko przesądnemu mniemaniu starożytnych, że losem ludzi kierują fatalistycznie siły przyrody. W związku z tym przestrzegał on: nie

jesteśmy poddani żywiołom świata, ale Chrystusowi, który uczynił nas wolnymi i dziedzicami Boga. (cfr. Gal. 4, 3 - 4). Stąd wszelkie odkupienie i wolność przychodzi nam od Chrystusa, a nie od przyrody, która zawsze, — a dziś, gdy opanowana została przez technikę, — może jeszcze bardziej, gotowa jest zakuc w swoje kajdany. Człowiek nowoczesny ze swej strony jest więcej narażony na to, by stać się niewolnikiem przyrody; bo gdy starożytny był jej podległy z nieświadomości i słabości, człowiek nowoczesny ulega jej wielkiemu naciskowi na skutek szerszego poznania i wdzięczności dla przyrody za wszystkie dziwy, które w niej dostrzega i bezpośrednie dobrodziejstwa, które od niej czerpie. Wezwanie Apostoła, aby zerwać kajdany niewoli, narzucone przez przyrodę, wybrać Chrystusa i do Niego się przyłączyć, jest dziś bardziej realne niż kiedykolwiek. On a nie kto inny jest waszym Bogiem, Twórcą i Panem przyrody, waszym Wyswobodzicielem i Zbawcą. Przez Niego jesteście przeznaczeni, aby „stać się synami Boga" (Jan 1, 12), nie sługami pierwiastków tego świata, powołani nie do jakiegoś częściowego udoskonalenia tej lub owej władzy, ale do przywrócenia w całym człowieku doskonałego obrazu Boga, który sam jest harmonią i źródłem wszelkiego porządku we wszechświecie.

Tylko, że te jasne prawdy, zdolne odnowić godność człowieka i ożywić jego nadzieje, są odrzucane przez tych, co nie potrafią uchwycić koniecznego związku między tym co wieczne, a tym co doczesne, między Stworzycielem a stworzeniami, i oddzielają Boga od świata, jako istoty zbyt różne i zbyt odległe od siebie, nie mające zatem żadnych wspólnych węzłów. A przecież przyjście Syna Bożego na ziemię wykazuje naocznie istnienie głębokich węzłów, łączących to co doczesne z tym co wieczne. Świat i człowiek nie mieliby racji ani możności bytu, gdyby nie uczestniczyli we wiecznym bycie Boga Stworzyciela. Świat stworzony i skończony, żeglując z konieczności po oceanie wieczności Bożej, idzie, żeby tak powiedzieć, za jej prądem i prawami. Słusznie św. Augustyn, z wielu innymi starożytnymi i nowoczesnymi mędrcami, twierdzi, że w świecie, chociaż stworzonym i przygodnym, panuje najwyższe i wieczne prawo, od którego pochodzi trwanie i godność świata. I rzeczywiście, owo prawo wieczne jest tym, co podnosi stworzenie, samo przez się skończone, do takiej godności, iż może odzwierciedlać to, co nieskończone i wieczne. Czyni to za pośrednictwem istotnego ładu, który tkwi we wszystkich rzeczach, przez tę spoistość i harmonię, którą świat rozbrzmiewa. Ale jeżeli się odrzuci samo pojęcie wieczności Boga i możliwość, żeby Bóg udzielał stworzeniom czegoś z Siebie, będzie rzeczą próżną mówić o ładzie i harmonii w świecie. Ale tym zaprzeczeniem nie wyrwie się z człowieka pragnienia harmonii, ładu i szczęśliwości. Człowiek musi wtedy wynieść do rzędu najwyższych wartości to, co mu pozostaje, a tym jest jego własny konkretny i skończony byt. Wyłączony poza obręb zewnętrznego porządku i harmonii świata, musi obrać rodzaj życia, który nie jest niczym innym jak ustawiczną troską o swoją egzystencję i jakby drogą do śmierci, chociaż udrapowaną w udaną dumę ze swojej skończonej natury. Człowiek nowoczesny, który nie czuje się istotnie związany z tym co wieczne, stara się do oddawania czci temu, co skończone, wśród którego postępując i działając, ma poniekąd świadomość siebie i wszelkiego istnienia.

Lecz jest to tylko fałszywa reprodukcja rzeczywistości, która może łudzić, ale nie zdoła zaspokoić głodu prawdy i wewnętrznych dążeń. Jeżeli ludzie pragną ich zaspokojenia, niechaj idą do Betlejem, gdzie Słowo przedwieczne zamieszkało między nami, aby nas nauczyć, że wszelka ludzka działalność musi z tego co wieczne czerpać dla siebie kierownictwo, całą swoją wydajność i bezpieczeństwo. Jeżeli sama istota człowieka jest obrazem Boga, także i jego działanie musi z Nim być zgodne, jak tego naucza mądrość, która twierdzi, że „operari sequitur esse", „działanie idzie za bytem".

Działalność człowieka na ziemi nie jest więc skazana na dysharmonię, lecz przeznaczona do tego, by ujawniać wieczną harmonię Boga. W ten sposób Słowo wcielone uwalnia człowieka z niewoli, wybawia go od jałowego zamknięcia się w samym sobie, przywraca mu nadzieję na drogach postępu.

II. — CHRYSTUS RĘKOJMIĄ HARMONII ŚWIATA

Harmonijny plan stworzenia

Obok chrześcijańskiego pojęcia kosmosu, ukształtowanego przez twórczą mądrość Boga i stąd jednolitego, uporządkowanego i harmonijnego, stoi, być może dopiero po wiekach mające się urzeczywistnić, przewidywane uroczyste dopełnienie, kiedy to „w nowym niebie i w nowej ziemi" (cfr. 2 Piotr 3, 13), „przybytku Boga z ludźmi, by mieszkał z nimi,... otrze On wszelką łzę z oczu ich; i nie będzie więcej śmierci, ani smutku, ani krzyku, ani boleści więcej nie będzie, gdyż pierwsze rzeczy przeminęły" (Apok. 21, 1 - 4); innymi słowy, kiedy zostaną przezwyciężone obecne dysharmonie. Ale czy może przez to zostało całkowicie odroczone urzeczywistnienie harmonijnego planu stworzenia? Czy może Bóg, który w samym akcie stworzenia „dał człowiekowi władzę nad wszystkimi rzeczami, które są na ziemi" (Ekli. 17, 3), cofnął swoje słowo? Bynajmniej. Daleki od tego, aby odbierać człowiekowi władzę panowania nad ziemią, Pan Bóg mu tę władzę potwierdził w dzień, w którym swego Jedynego Syna przyodział w ludzkie ciało, „żeby w zarządzonej pełności czasów odnowić wszystko w Chrystusie, co jest na niebie i co na ziemi" (Ef. 1, 10). Tym sposobem Chrystus, Słowo wcielone , Bóg-Człowiek, przychodząc na świat, od pierwszej chwili swego widzialnego istnienia świadczy, iż panowanie nad światem w odmiennym stopniu należy do Boga i do człowieka i że konsekwentnie nie da się ono osiągnąć inaczej niż w Duchu Boga.

W Chrystusie bowiem zamieszkał cieleśnie sam Duch Boży (cfr. Kol. 2, 9), który na początku czasów rzekł: „Niech się stanie światło. I stało się światło" (Gen. 1, 3); ten sam Duch Boży, co wyciśnięty jako niezniszczalna pieczęć na wszystkich rzeczach stworzonych, wszystkich żywych i nieżyjących, jest łączącym węzłem, zarodkiem porządku, podstawą harmonii.

Doskonała harmonia jest owocem obecności Chrystusa w świecie

Ale zanim jeszcze człowiek wyrobił sobie jasną świadomość doskonałej harmonii, będącej płodem obecności Chrystusa na świecie i Jego wspólnej natury z człowiekiem, mógł on dostrzec już we własnej duszy, obrazie Ducha Boga, jednolity węzeł, łączący wewnętrzne rzeczy między sobą. Rzeczywiście, do tej szczęśliwej syntezy doszli już starożytni filozofowie Aten, i Rzymu, a jeszcze wyraźniej doszli do niej luminarze filozofii chrześcijańskiej z św. Augustynem i Tomaszem z Akwinu. W każdym razie sama technika nie zdoła odkryć i rozwinąć Boskiego zarodka jedności i harmonii, tkwiącego w rzeczach tego świata. Są dzisiaj uczeni, którzy sądzą, że mogą abstrahować, przynajmniej metodycznie, od tej prawdy, postępując tak, jakby duch nie istniał, jakby nie miał nic do powiedzenia, zamykając mu nawet dostęp do laboratoriów i wykluczając jego obecność z badań naukowych. Przesiąknięci materializmem i sensytywizmem, liczą oni w rozwiązaniu problemów tylko na swoje przyrządy i swoje obliczenia, na dokładną obserwację faktów, na sprawdzanie i zewnętrzną koordynację zjawisk. Inni przyjmują wprawdzie jakiś związek, ale, jak go nazywają, logiczny, na wzór relacji matematycznych, wyobrażając sobie, że porządek świata, chociaż wyjęty spod przewodnictwa ducha, może mimo to powstać na skutek fizycznego układu poszczególnych części, na sposób jakiejś gigantycznej maszyny do liczenia.

Nawet gdyby filozofia nie wystarczała do wykazania bezpodstawności tego zapatrywania, zaprzeczyłaby go sama wiedza. Bo rzeczywiście, jeżeli się zwróci uwagę na to, jak postępowali najznakomitsi badacze, i jak powstały najdonioślejsze wynalazki i odkrycia, trzeba przyjąć skuteczną obecność i działanie ducha. Od niego właśnie pochodzi to intuicyjne spostrzeganie wewnętrznego związku między często różnorodnymi faktami; od niego to bystre przenikanie obserwacji i analiz, od niego ta moc syntezy, która naprowadziła umysł na istotny stan rzeczy i dopomogła do wyrobienia sobie ostatecznego sądu.

Oto więc dowód, że obecność ducha w ludzkim działaniu nie da się zaprzeczyć i że jego świadectwu w świecie może chcieć nakazać milczenie tylko uprzedzenie i przesąd: jest

ona świadectwem jedności, ładu, harmonii, pochodzącej od Boga, bez której nawet formuły matematyczne, stosowane w nauce, nie przedstawiałyby rzeczywistości.

Duch i harmonia świadczą nawzajem o sobie: i jak obfitość ducha będzie zawsze odpowiadać obfitości harmonii, tak każdy rozdźwięk, gdziekolwiek by się zdarzył, w nauce, w sztuce, w życiu, zdradzać będzie jakąś przeszkodę w całkowitym wyrażeniu się ducha. Ten związek między harmonią a duchem wskazuje, jak napiętnowania godni są ci, co na polu literackim i artystycznym szerzą kult dysharmonii i, jak sami twierdzą, absurdu. Czym by się stał świat i człowiek, gdyby się zatracił zmysł harmonii i poszanowania dla niej? A jednak do tego zmierzają ci, co usiłują przyodziać w szatę przyzwoitości, piękna i ponęty to, co wstrętne, grzeszne, złe. Ich atak wychodzi poza granice estetyki, aby zrobić wyłom w samej godności człowieka, który jako obraz Ducha Bożego z istoty swojej ma naturę usposobioną do harmonii i do ładu. Nie przeczy się jednak, że także i zło można przedstawiać w świetle prawdziwej sztuki, byleby to wyobrażenie występowało wobec rozumu i zmysłów jako sprzeczność przeciwstawiająca się duchowi, jako znak jego nieobecności. Sztuka tym większą błyszczy godnością, im bardziej odzwierciadla ludzkiego ducha, ten obraz Boga, a co za tym idzie, im lepiej ilustruje jego twórczą płodność, jego pełną dojrzałość w rozwijaniu, w dziełach i w różnych postawach życiowych, Boskiego tematu jedności i harmonii.

Jednak, choć świadectwo ludzkiego ducha na korzyść harmonii świata jest tak oczywiste, chociaż jego wpływ na rozwój zarodków ładu jest tak owocny, to przecież historia i życie wykazują jego wewnętrzną niewystarczalność i słabość, — i do ich uzdrowienia, w planach nieskończonej miłości Stworzyciela dla swojego dzieła, było rzeczą konieczną, żeby sam Duch Boga uczynił się widzialnym i żeby się włączył w czas. I oto Chrystus, Słowo Boże, które się stało ciałem, przychodzi na świat jako do swojego domu, do swojej własności, „in propria venit" (Jan 1, 11).

Tytułem do tego władztwa jest tytuł nad tytułami: stworzenie. Świat więc odbija swoją rozciągłością i powszechnością, extensive et diffusive, jak się wyraża św. Tomasz (S. Th. 1 p. q. 93 a. 2, ad 3 um) wieczną prawdę i dobroć Stworzyciela; a tym sposobem stosunek Chrystusa do świata przedstawia się jako przeniknięty jak najjaśniejszym światłem.

Człowiek, obraz Ducha Bożego, panem świata przez poznanie, wolę, działanie

Podobnież Stwórca umieścił człowieka, obraz swojego Ducha, w świecie, aby był jego panem przez poznanie, wolę, działanie, przyswajając sobie, w głąb i wszerz, intensive et collective (S. Th. l. c.) podobieństwo do wiecznej prawdy i dobroci, rozlanej ekstensywnie w świecie. A więc także i tu stosunek człowieka do świata cieszy się jasnym światłem wiecznego Ducha, którego Stwórca udzielił stworzeniu. W ten sposób Wcielenie podtrzymuje i wzmaga godność człowieka i szlachetność świata, na podstawie tego samego pochodzenia w Duchu Bożym, źródle jedności, ładu i harmonii.

Jeżeli się zaś usunie ten fundament ducha, a zatem i obraz (w człowieku) lub ślad (w stworzeniach nierozumnych) wiecznego Bytu Bożego, tym samym usuwa się harmonię ze stosunku między człowiekiem a światem. Człowiek zredukowałby się do punktu czy miejsca anonimowej i irracjonalnej żywotności. Nie byłby on już w świecie jako w swoim domu. Świat stałby się dla niego czymś obcym, ciemnym, niebezpiecznym, skłonnym do zrzucenia z siebie roli narzędzia, a stania się wrogiem człowieka.

I cóż mogłoby regulować wzajemne stosunki zbiorowego życia ludzi bez światła Ducha Bożego i bez uwzględniania stosunku Chrystusa do świata? Na to pytanie odpowiada, niestety, gorzka rzeczywistość tych, co wolą ciemność tego świata, występując jako wielbiciele zewnętrznych dzieł człowieka. Ich społeczność może tylko przy pomocy żelaznej dyscypliny kolektywizmu utrzymać bezimienną egzystencję jednych obok drugich. Całkiem odmienne jest życie społeczne, ugruntowane na przykładzie stosunku Chrystusa do świata i do człowieka: życie braterskiej współpracy i wzajemnego poszanowania praw drugich; życie godne pierwszego początku i ostatecznego celu każdego ludzkiego stworzenia.

Chrystus rękojmią odkupienia i odnowienia

Ale głęboka ciemność i dysharmonia, źródło wszystkich innych, którą Słowo wcielone przyszło oświecić i uzdrowić, powstała przez winę pierworodną, która pociągnęła za sobą tak gorzkie skutki dla całego rodu ludzkiego i dla świata, jego miejsca zamieszkania. Człowiek upadły, z duchem przyćmionym, nie widział już wokół siebie świata sobie podległego, podatnego narzędzia do urzeczywistnienia jego przeznaczenia, ale jakby spisek buntowniczej przyrody, nieświadomej wykonawczyni dekretu, który wydziedziczał jej pierwotnego władcę. Mimo to w człowieku i w świecie nigdy nie wygasło oczekiwanie powrotu do pierwotnego stanu, do Bożego ładu, wyrażonego, wedle powiedzenia Apostoła, wzdychaniem wszelkiego stworzenia (cfr. Rzym. 8, 22), ponieważ, mimo popadnięcia w niewolę grzechu, człowiek zawsze pozostał obrazem Ducha Bożego, a świat własnością Słowa. Chrystus przyszedł ożywić, co wina uśmierciła, uzdrowić, co ona zraniła, oświecić, co ona zaciemniła, czy to w samym człowieku czy w świecie, przywracając człowiekowi panowanie nad przyrodą, według Ducha Boga, a świat uwalniając od grzesznego nadużycia ze strony człowieka.

Chociaż grzech został uzdrowiony w korzeniu, pozostały jednak w dziedzictwie rodu ludzkiego niektóre jego skutki: wątpliwości, trudności, boleści. Ale odnośnie i do tych owoców grzechu Chrystus jest zadatkiem zbawienia i odnowienia. Światło nadprzyrodzone, które zabłysło w Betlejem w noc Bożego Narodzenia, opromienia jak nowa tęcza, zwiastunka pokoju, całą przyszłość świata, „poddanego złudzie nie dobrowolnie ale dla tego, który go poddał w nadziei" (tamże, 20). Nadzieją jest jeszcze Chrystus, który jak uwolnił świat od niewoli grzechu, tak też uwolni go od niewoli zepsucia, przywracając go do wolności synów Bożych. Życie człowieka i bieg świata są do głębi przeniknięte tym oczekiwaniem. Jeżeli ludzie przed nastaniem dnia wiecznego nie zobaczą całkowitego przywrócenia harmonii, jeżeli pot i łzy będą jeszcze zwilżały ich chleb, jeżeli zawsze jeszcze będą rozbrzmiewały pod słońcem jęki stworzeń, smutek ich nie będzie smutkiem śmierci, lecz trwogą matki, która, według żywego wyrażenia Boskiego Mistrza, kiedy nadejdzie jej godzina, chętnie zapomina o wszelkim bólu, ponieważ przyszedł na świat człowiek. (cfr. Jan 16, 21). Rodzenie się nowego życia ludzkości w ciągłym postępie ładu i harmonii, jakkolwiek bolesne i powolne, jest zadaniem wyznaczonym historii „post Christum natum", „po narodzeniu Chrystusa"; przy jej tworzeniu będą musieli osobiście i czynnie współdziałać przywróceni do wolności synowie Boga. Stąd daremnym jest oczekiwać udoskonalenia porządku świata ze strony jakiegoś procesu immanentnego, którego człowiek byłby tylko zewnętrznym widzem, jak to twierdzą niektórzy. Ten ciemny immanentyzm jest nawrotem do starego zabobonu, który ubóstwiał przyrodę; nie może on się powoływać, jakby chciano, na historię, chyba przy sztucznym fałszywym tłumaczeniu faktów. Historia ludzkości w świecie jest czymś zupełnie innym aniżeli proces ślepych sił: jest ona dziwnym i żywotnym wydarzeniem samejże historii Słowa Bożego, która od Niego się zaczęła i przez Nie się dokona w dzień powszechnego powrotu do pierwszego początku, kiedy to Słowo Wcielone ofiaruje Ojcu, jako świadectwo swojej chwały, swą własność, wykupioną i oświeconą przez Ducha Boga. Wówczas wiele zdarzeń, zwłaszcza z historii, które obecnie mają pozór dysharmonii, okażą się składnikami prawdziwej harmonii: jak np. ciągłe pojawianie się nowych rzeczy a znikanie starych, — ponieważ jedne i drugie uczestniczyły albo uczestniczą w jakiś sposób w Boskiej prawdzie i dobroci. Charakter przejściowy jakiejś rzeczy lub jakiegoś zdarzenia nie pozbawia ich godności wyrażania Ducha Bożego, jeśli skądinąd tę godność posiadają. Zresztą taki jest cały świat, jak na to zwraca uwagę Apostoł: „Bo przemija postać tego świata", (1 Kor. 7, 31), lecz ostateczne jego przeznaczenie dla chwały Ojca i dla tryumfu Słowa, które leży u podstaw

całego rozwoju świata, nadaje mu i zachowuje w nim godność świadka i narzędzia wiecznej prawdy, dobroci i harmonii.

III. — CHRYSTUS ŚWIATŁEM I ŻYCIEM DLA LUDZI NA USTALENIE HARMONII W ŚWIECIE

Wielkie prawo harmonii, które rządzi światem

Ten, którego mądrość nieskończona „wszystkie rzeczy ogarnia od krańca do krańca i kieruje nimi ze słodyczą" (Mądr. 8, 1), który „wszystko, co zechce, czyni" (Ps. 115, 3), wszechmocą swoją ustalił wielkie prawo harmonii, przenikające świat i tłumaczące bieg jego dziejów. Na początku Duch Boga, kierując z góry dziełem stworzenia, niejako się w nie przelał, a w pełni czasów, za sprawą miłosiernej Miłości, samo Słowo odwieczne zamieszkało w nim osobiście przez wcielenie i wzięło je w widzialne i ostateczne posiadanie. „Jezus Chrystus wczoraj i dziś; On istnieje na wieki" (Żyd. 13, 8). Wszechświat jest zatem wspaniałą symfonią, mającą Ducha Boga za twórcę, a jej podstawowy akord powstaje ze zlania się Bożych doskonałości: mądrości, miłości, wszechmocy. „Domine, Dominus noster, quam admirabile est nomen tuum in universa terra", „Panie, Panie nasz, jak wspaniałe jest imię twoje na całej ziemi" (Ps. 8, 2)!

Jednakże dla tych, co jak Psalmista umieją słuchać z rozkoszą rozlegającej się w kosmosie Bożej symfonii, a więc w pierwszym rzędzie dla chrześcijan, stworzenie nie jest tylko faktem estetycznym, podanym człowiekowi dla wywołania w nim upodobania i pobudzenia go jedynie do oddania chwały najwyższemu Twórcy. Bóg, wynosząc człowieka godnością ponad wszystkie dzieła rąk swoich, podporządkował mu od początku wszystkie rzeczy, nawet niebiosa, księżyc i gwiazdy, Jego palcami ulepione (cfr. Ps. 8, 4), jednym słowem, świat cały, aby człowiek w nim działał i strzegł jego harmonii (cfr. Gen. 2, 15). A sam Chrystus, świadek i rękojmia harmonii świata, wskazał przykładem swego życia i śmierci, jak czynnie, pracowicie i boleśnie ma się człowiek przykładać do jej zachowania, rozwoju i — tam, gdzieby była zakłócona — do jej przywrócenia. Własne dzieło naprawy określił Chrystus jako walkę przeciwko „książęciu tego świata" a jej epilog jako zwycięstwo: „Ego vici mundum", „Ja zwyciężyłem świat" (Jan 12, 31; 16, 33).

Bożą symfonię kosmosu, szczególnie na ziemi i między ludźmi, powierzył jej najwyższy Twórca samejże ludzkości, aby na kształt olbrzymiej orkiestry, rozrzuconej w czasie i różnej w środkach, ale zjednoczonej pod przewodnictwem Chrystusa, wykonywała wiernie tę symfonię jak najdoskonalej interpretując jej jedyny i genialny temat. Innymi słowy, Bóg przekazał ludziom swe plany, aby wykonywali je osobiście i dobrowolnie, czyniąc ich za to w pełni moralnie odpowiedzialnymi i wymagając, gdzieby tego było potrzeba, za wzorem Chrystusa, wysiłku i poświęcenia. Chrześcijanin zaś podziwia przede wszystkim ów ład Boży w świecie, cieszy się nim, i czyni co może, by został uznany i stwierdzony. Będzie zatem z konieczności jego mężnym obrońcą przed siłami i dążnościami przeciwnymi jego urzeczywistnieniu, czy to tymi, co się kryją w nim samym — złymi skłonnościami — czy pochodzącymi od zewnątrz — Szatanem i jego zakusami. Nie inaczej przedstawiał sobie chrześcijanina w świecie św. Paweł, gdy mu wskazywał przeciwników sprawy Boga i zalecał przywdziać zbroję Bożą, opasać się prawdą i włożyć pancerz sprawiedliwości, by mógł się oprzeć zasadzkom piekieł (cfr. Ef. 6, 11 i 14). Powołanie do chrześcijaństwa nie jest więc tylko powołaniem do estetycznej kontemplacji wspaniałego ładu Bożego, lecz powołaniem, obowiązującym do nieustannej, twardej działalności we wszystkich kierunkach i dziedzinach życia. Działalność ta polega przede wszystkim na całkowitym przestrzeganiu prawa moralnego, o jakąkolwiek rzecz by chodziło, małą czy wielką, ukrytą czy powszechnie znaną, niedozwoloną czy nakazaną. Życie moralne nie ogranicza się tak dalece do sfery tylko wewnętrznej, by nie oddziaływało w swych skutkach na harmonię świata. Człowiek nie jest nigdy tak samotny, tak indywidualny i zamknięty w sobie, i to nawet w najbardziej wyjątkowych wypadkach, by jego decyzję i czyny nie odbijały się na otaczającym go świecie. Jako wykonawca Bożej symfonii, żaden człowiek nie może uważać swych czynów za sprawę wyłącznie swoją, która dotyczy tylko jego samego. Życie moralne jest wprawdzie przede wszystkim czymś osobistym i wewnętrznym, ale nie w sensie jakiegoś „Interioryzmu" i „Historycyzmu", którymi niektórzy ludzie usiłują osłabić i usunąć w cień powszechną ważność praw moralnych.

Współpraca nad ładem świata, wymagana przez Boga od chrześcijan

Przyczynianie się do ładu w świecie — którego wymaga Bóg od chrześcijanina w ogóle, — winno trzymać się z dala również od tego spirytualizmu, który chciałby odjąć człowiekowi wszelki dostęp do rzeczy zewnętrznych i wszelką w nie ingerencję, a który, stosowany już w obozie katolickim, spowodował wiele zła sprawie Chrystusa i Boskiego Stwórcy wszechświata. Jakżeż byłoby możliwą rzeczą wspierać i rozwijać porządek świata, pozostawiając pełną swobodę działania tym, którzy go nie uznają albo nie chcą, by się utrwalił? Interwencja w świecie dla wsparcia ładu Bożego jest prawem i obowiązkiem, które wewnętrznie wiążą się z odpowiedzialnością, ciążącą na chrześcijaninie i pozwalają mu na prawowite przedsięwzięcie jakiejkolwiek akcji, prywatnej czy publicznej, czy zorganizowanej, skierowanej i zdatnej do tego celu.

Od tej odpowiedzialności nie zwalniają subtelne racje wymyślone przez niektórych chrześcijan dla wytłumaczenia ich własnej inercji lub podsunięte przez nieuzasadnioną zazdrość przeciwników, szczególnie gdy się twierdzi, że pod płaszczykiem działalności chrześcijańskiej w świecie ukrywa się żądza władzy, obca duchowi Chrystusa; że to działanie podnieca wrogość ludzi, źle usposobionych do wiary chrześcijańskiej, jest owocem nieufności względem Boga i Jego wszechmocnej Opatrzności i ma posmak arogancji ze strony stworzenia. Są nawet tacy, co wmawiają, że mądrość chrześcijańska polega na powrocie do tak zwanej skromności aspiracji z okresu katakumb. Tymczasem przeciwnie, wskazany byłby raczej powrót do natchnionej mądrości Apostoła Pawła, który, pisząc do gminy korynckiej, ze śmiałością godną jego wielkiej duszy, ale opartą o pełnię Bożej władzy, otwierał działalności chrześcijan wszelkie drogi: „wszystko bowiem jest wasze,... czy świat, czy żywot, czy śmierć, czy teraźniejsze rzeczy, czy przyszłe: wszystko wasze jest, a wy Chrystusowi, a Chrystus Boży" (1 Kor. 3, 22). Chrześcijanin, który bałby się przypisać sobie tę pełnię wolności, odmawiałby pośrednio samemu Chrystusowi przymiotu tej „potęgi, którą też wszystko podbić sobie może" (Fil. 3, 21). Powinien raczej poczytywać sobie za wstyd, ilekroć da się prześcignąć przeciwnikom Boga w ruchliwej pracowitości i przedsiębiorczości, połączonej nieraz z duchem poświęcenia. Nie ma terenów zamkniętych, nie ma kierunków zakazanych dla działalności chrześcijanina: żadna dziedzina życia, żadna instytucja, żadna władza nie mogą być niedostępne współpracownikom Boga, gdy chodzi o podtrzymanie Bożego ładu i harmonii w świecie.

Udział chrześcijanina w utrzymaniu ładu Bożego i harmonii w świecie

Ten udział w żaden sposób nie podsuwa myśli o jakimś działaniu oddzielnym, i jakby zazdrosnym o wkład innych. Już wielokrotnie mówiliśmy, że katolicy mogą i powinni iść na współpracę z innymi, jeśli działalność ich i współpraca z nimi może naprawdę przyczynić się do ładu i harmonii w świecie. Katolicy muszą jednak przedtem zdać sobie sprawę z tego, co mogą i czego chcą; to znaczy, muszą być przygotowani duchowo i technicznie do tego, co zamierzają. Inaczej nie przyniosą żadnej skutecznej pomocy, a tym mniej wniosą we wspólną sprawę cenny dar odwiecznej prawdy, z oczywistym uszczerbkiem dla sprawy Chrystusa i dla własnych dusz.

W takim świetle niesłusznym się okaże przypisywanie duchowi „nietolerancji" i separatyzmu, zwanego często „gettem", dążności katolików do tego, by oprzeć szkołę, wychowanie i urabianie młodzieży na podstawach chrześcijańskich; by zakładać katolickie organizacje zawodowe; by popierać zorganizowany wpływ zasad chrześcijańskich także na polu

politycznym i syndykalnym tam, gdzie to będzie wskazane przez tradycje i okoliczności. To nie sama oderwana „idea" chrześcijańska stworzyła w przeszłości wysoką kulturę, którą słusznie szczycą się narody chrześcijańskie, lecz konkretne urzeczywistnienia tej idei, czyli prawa, zarządzenia, instytucje stworzone i rozwijane przez ludzi oddanych Kościołowi i działających pod jego kierownictwem, albo przynajmniej pod jego natchnieniem. Hierarchia katolicka dbała nie tylko o to, by światło wiary nie wygasło; ale przez konkretne zarządzenia i decyzje, przez dobór i wyznaczanie ludzi, stworzyła ten różnorodny zespół żywych organizmów, które, obok innych nie jej własnych, leżą u podstaw współżycia obywatelskiego. Również dziś działalność chrześcijańska nie może się wyrzec swych praw i swego charakteru tylko dlatego, że niektórzy widzą we współczesnej zbiorowości ludzkiej społeczność zwaną pluralistyczną, podzieloną na odłamy o przeciwstawnej umysłowości, dzierżącą nieustępliwie swe stanowiska i opierającą się wszelkiej współpracy, która wykraczałaby poza dziedzinę czysto „ludzką". Jeżeli to słowo „ludzka" znaczy, jak się wydaje, agnostycyzm względem religii i prawdziwych wartości życia, to wszelkie wezwanie do współpracy równa się żądaniu abdykacji, na którą chrześcijanin nie może się zgodzić. Zresztą, skąd owa dziedzina „ludzka" czerpałaby moc obowiązującą, zapewnienie wolności sumienia dla wszystkich, jeżeli nie w niewzruszonym porządku i harmonii Bożej? Owo „ludzkie" doprowadziłoby do „getta" nowego typu, ale pozbawionego cechy powszechności.

Ład i harmonia Boża w świecie osią działania wszystkich ludzi dobrej woli

Dlatego ład i harmonia Boża w świecie powinny stać się główną osią działania nie tylko chrześcijan, ale wszystkich ludzi dobrej woli, a to dla ich wspólnego dobra, ich zachowanie i rozwój najwyższym prawem, które winno rządzić wszystkimi wielkimi spotkaniami ludzi. Jeżeli współczesna ludzkość nie uzna zgodnie nadrzędności tego prawa, czyli bezwarunkowego poszanowania ładu i powszechnej harmonii w świecie, trudno przewidzieć, jaki los czeka narody. Konieczność tej zgody została praktycznie odczuta, kiedy niektórzy specjaliści nowoczesnej wiedzy dali wyraz swym wątpliwościom i wewnętrznemu niepokojowi w związku z rozwojem energii atomowej. Cokolwiek można by sądzić o ich rozumowaniach i wnioskach, pewnym jest, że wątpliwości tych ludzi wielkiego znaczenia dotyczyły zagadnień istnienia i samych podstaw porządku oraz harmonii w świecie. Nieodzownym jest nabrać przeświadczenia, że wzgląd na zachowanie tych dóbr, jakimi są ład i harmonia, winien mieć głos decydujący przy powzięciu decyzji w dyskusjach na temat czy należy dalej rozwijać, czy po prostu poniechać tego, co geniusz ludzki może urzeczywistnić. Jakiś niemal ślepy urok wywierany przez postęp popycha dziś narody do niedoceniania oczywistych niebezpieczeństw i do nieliczenia się ze stratami nieraz wcale znacznymi. Bo któż nie widzi, że rozwój i stosowanie niektórych wynalazków do celów wojskowych pociąga za sobą prawie wszędzie straty nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do uzyskanych z nich korzyści, chociażby natury politycznej, które można by osiągnąć na innej drodze z mniejszym nakładem i ryzykiem, albo odłożyć na czasy bardziej dojrzałe? Któż zdołałby wyrazić w cyfrach straty natury ekonomicznej spowodowane przez postęp nie natchniony mądrością? Takie mnóstwo materiału, tyle kapitałów zdobytych oszczędnością, owoców ograniczeń i trudu, tyle energii pracy ludzkiej, ujętej innym naglącym potrzebom, pochłania przygotowanie najnowszych broni, że nawet najbogatsze narody muszą przewidywać czas, w którym opłakiwać będą zakłócenie harmonii w gospodarce narodowej, albo faktycznie może już je opłakują, choć starają się to ukryć.

Wyścig narodów w postępie zbrojeń

W świetle głębszej refleksji i realistycznej oceny dzisiejszy wyścig narodów w popisywaniu się postępem w zbrojeniach (nie kwestionując niczyjego prawa do obrony) wywołuje wprawdzie „nowe znaki na niebie", ale bardziej zdradza znamiona pychy, tej pychy, która wykopuje na ziemi przepaść między ludźmi, podtrzymuje nienawiści, przygotowuje walki. Widzowie dzisiejszego współzawodnictwa winni umieć sprowadzić fakty do prawdziwej proporcji i nie dać się uwieść ani prymatom, często chwilowym, ani lękom sztucznie wywołanym, dla zdobycia czyjejś sympatii i poparcia, pomni, że należą do pokolenia, w którym „homo faber", „człowiek mistrz", bierze często górę nad „homo sapiens", „nad człowiekiem mędrcem". Niech przeto weźmie górę człowiek-chrześcijanin, który posługując się wolnością ducha, pochodzącą z szerszego poglądu na rzeczy, znajdzie w przedmiotowym rozważaniu zdarzeń ów spokój i siłę ducha, opartą na Duchu Bożym, zawsze w świecie obecnym i nim się opiekującym.

Zagadnienie pokoju

Ale w co ostatecznie najwięcej wysiłku winni włożyć zwolennicy Bożej harmonii, to w sprawę pokoju. Wam, którzy znacie naszą myśl, starczy, jeśli przy tej okazji, jakby dla zaspokojenia Naszego ducha, niezmordowanie oddanego sprawie pokoju, przypomnimy bezpośrednie cele, jakie narody muszą sobie wytyczyć. Czynimy to w duchu ojcowskim, jakby interpretując delikatne kwilenia Bożego Dzieciątka betlejemskiego, które jest sprawcą i rękojmią wszelkiego pokoju na ziemi i na niebie.

Boskie prawo harmonii w świecie nakłada wszystkim rządcom narodów ścisły obowiązek zapobiegania wojnie przy pomocy odpowiednich instytucji międzynarodowych, ograniczenia zbrojeń przy skutecznej ich kontroli, odstraszenia, niezawodną solidarnością narodów, szczerze pragnących pokoju, tego, co chciałby ten pokój zakłócić. Jesteśmy pewni, że na pierwszy sygnał niebezpieczeństwa zacieśniłyby się więzy tej solidarności, jak to potwierdziły niektóre z ostatnich wydarzeń. Obecnie chodzi nie tyle o szukanie obrony, ile o zapobieżenie samym zakłóceniom porządku i o danie światu, który już aż nadto się nacierpiał, zasłużonego wytchnienia. My, którzy niejednokrotnie w krytycznych momentach staraliśmy się zachętami i radami wzmocnić tę solidarność, i którzy uważamy za szczególne posłannictwo Boże Naszego Pontyfikatu bratanie i łączenie narodów, ponawiamy Nasze napomnienie, aby między prawdziwymi miłośnikami pokoju ustały wszelkie współzawodnictwa i by usunięto wszelkie przyczyny nieufności. Pokój jest dobrem tak cennym, tak płodnym, tak godnym pragnienia i tak upragnionym, że dla jego obrony warto się podjąć każdego wysiłku nawet z obopólnym poświęceniem własnych słusznych aspiracji. Jesteśmy pewni, że ludy zgadzają się z Nami bez wahania i że oczekują podobnego usposobienia u tych, którzy nimi rządzą.

Niech „Książę Pokoju", ze żłóbka w Betlejem, wzbudzi, zachowa, utwierdzi te postanowienia i przy pomocy solidarności wszystkich ludzi dobrej woli niech raczy dopełnić to, czego dzisiaj najbardziej brak do urzeczywistnienia ładu i harmonii, zamierzonej w świecie przez jego Stwórcę.

„POKÓJ WOLNYCH DZIECI BOŻYCH"

Orędzie wigilijne Ojca św. dotarło do wszystkich ludów świata, nadawane przez radio watykańskie w 28 językach.

Władze w Warszawie nie zgodziły się w tym roku na nadanie kazania **Kardynała-Prymasa Polski**, wygłoszonego na Pasterce w Katedrze św. Jana.

A przecież Prymas mówił do Narodu, do wszystkich Polaków, o **POKOJU**, o **SPRAWIEDLIWOŚCI**, o **MIŁOŚCI**, o tęsknocie ludzi do **BEZPIECZEŃSTWA**, **PORZĄDKU** i **WOLNOŚCI**. Życzył „pokoju wolnych dzieci Bożych", przestrzegał przed straszliwym pokojem ludzi zniewolonych...

Lęk przed takimi słowami, przed takimi życzeniami, — to **samooskarżenie!**

WSZECHSTRONNA DZIAŁALNOŚĆ

Napisał WŁADYSŁAW JELONEK

Pisząc o działalności Stolicy Apostolskiej, mamy na uwadze przede wszystkim działalność Papieża. Przejściem z roku poprzedniego było, jak za całych rządów Piusa XII, jego przemówienie wigilijne. Przemówienie to, z roku 1956, omówiło godność i granice natury ludzkiej, prawdziwy realizm chrześcijański i fałszywy realizm, wolny akt człowieka, znaczenie religii chrześcijańskiej wobec teraźniejszości i przyszłości społeczności ludzkiej, zagadnienie służby wojskowej, broni i wojny, autorytet Organizacji Narodów Zjednoczonych, rozbrojenie i nowe metody kontroli.

Rok 1957, tak jak i inne lata w dziejach Kościoła Powszechnego, był rokiem powstawania, rozwoju i terytorialnych zmian parafij i diecezyj i rokiem ich bujnego życia wewnętrznego. Powstawanie, rozwój i zmiany terytorialne to jakby ramy, w jakich działa Opatrzność Boża, budząc, ożywiając i doprowadzając do pełni życie wewnętrzne dusz ludzkich i Kościoła. Ustalanie odpowiednich granic parafij i diecezyj ma wiernym drogę do Królestwa Niebieskiego uczynić łatwiejszą (A.A.S., 1957, str. 113). Na szczególną uwagę w tym zakresie zasługuje w roku 1957 konstytucja apostolska „Quandoquidem adoranda" z 11 lutego, którą utworzonych zostało w Argentynie 12 nowych diecezyj, 2 diecezje podniesione do stopnia i godności archidiecezji-metropolii i zmienione granice prowincji kościelnych, których obecnie jest 9.

O trosce Kościoła o wiernych, odbywających służbę wojskową, świadczy erygowanie w ostatnich czasach wikariatów polowych (vicariatus castrenses), rządzonych przez biskupów polowych i wydanie odpowiednich instrukcyj: „Sollemne semper" z 23 kwietnia 1951, „De Cappellanis militum religiosis" z 2 lutego 1955 i „Formula servanda" z 20 października 1956. W roku minionym Papież erygował wikariaty polowe w Holandii, Argentynie, Belgii i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Ustanawiał też Papież na prośby biskupów w ich kościołach katedralnych kolegia kanoników, których celem jest zarówno przyczynianie się do zwiększenia kultu Bożego przez majestat ceremonij, jak i pomoc biskupowi w zarządzie diecezji (por. A. A. S. 1957, str. 257-258, 334).

Troska o majestat ceremonii kościelnych w szczególny sposób należy do Stolicy Apostolskiej. Jej wyłącznie zastrzeżone jest wydawanie norm i przepisów odnośnie świętej Liturgii i aprobata ksiąg liturgicznych (kan. 1257). Pontyfikat Piusa XII jest w tym zakresie przełomowy. Wprowadzenie nowego tłumaczenia Księgi Psalmów (motu proprio „In cotidianis precibus" z 24 marca 1945); obowiązujące od 1 stycznia 1956 uproszczenie rubryk i stąd zmiany w Mszale i Brewiarzu (dekret generalny św. Kongregacji Rytów z 23 marca 1955); obowiązujący od roku 1956 przywrócony porządek Wielkiego Tygodnia (dekret św. Kongregacji Rytów „Maxima Redemptionis nostrae mysteria" z 16 stycznia 1955); wprowadzenie zmian w poście Eucharystycznym i Msze święte wieczorne (konstytucja apostolska „Christus Dominus" z 6 stycznia 1953) — oto fakty w historii Liturgii Kościoła katolickiego o znaczeniu tak wielkim, że po prostu trudno je właściwie ocenić. Do tych reform rok 1957 dodał niemniej doniosłe: zarządzenia i wyjaśnienia w sprawie porządku Wielkiego Tygodnia „Ordinationes et declarationes" z 1 lutego i motu proprio „Sacram Communionem" z 19 marca, rozszerzające znacznie indulty dotyczące postu Eucharystycznego i odprawiania Mszy świętych w godzinach popołudniowych.

Wspomnieć należy ponadto: dekret św. Kongregacji Rytów „Sanctissimam Eucharistiam" z 1 czerwca w sprawie przechowywania Najświętszego Sakramentu i jakim ma być tabernaculum; dekret św. Kongregacji Koncylium z 25 lipca w sprawie przeniesienia postu ścisłego i powstrzymania się od potraw mięsnych z 14 sierpnia na 7 grudnia; obdarzone odpustami modlitwy ułożone przez Papieża: za chrześcijańskie rodziny (1.000 dni), o powołania zakonne (10 lat i zupełny), do Matki Boskiej z Lourdes (3 lata), do odmawiania przez lekarzy (3 lata); ponadto pobożne modlitwy i medytacje na cześć tajemnic Dziecięctwa Pana naszego Jezusa Chrystusa przez kolejnych 12 niedziel zostały obdarzone odpustem zupełnym; Libreria Editrice Vaticana wydała w jednym tomie Brewiarz Rzymski w 12° (cm 11.5 × 18), grubości 3 cm, wagi 730 gr. w cenie 10 dolarów za egzemplarz nieoprawny, od 12 do 15.50 dolarów za oprawny zależnie od oprawy.

Działalność nauczycielska Piusa XII — to, jak w poprzednich latach, przede wszystkim encykliki i przemówienia z tych część przez radio:

a) **Encykliki cztery:** „Fidei donum" z 21 kwietnia o położeniu misyj katolickich zwłaszcza w Afryce, „Invicti athletae Christi" z 16 maja w 300-lecie chwalebnego męczeństwa św. Andrzeja Boboli", „Le pèlerinage de Lourdes" z 2 lipca na stulecie objawień, „Miranda prorsus" z 8 września w sprawie kinematografii, radiofonii i telewizji. Z tych encyklik drugą podaliśmy w tłumaczeniu w ŻYCIU w numerze na 4-11 sierpnia, a ostatnia dostępna, jest w tłumaczeniu w wydaniu Tipografia Poliglotta Vaticana (do nabycia w K. O. W. „Veritas").

b) **przemówienia:**

1 przez radio: w święto Objawienia Pańskiego na dzień matki i dziecka, 6 marca do dzieci katolickich szkół w Stanach Zjednoczonych celem pobudzenia ich ofiarnej miłości na rzecz potrzebujących pomocy dzieci innych narodów, w uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego, 19 maja do hiszpańskiego IV Kongresu Eucharystycznego w Granadzie, 19 maja do III Kongresu Apostolstwa Modlitwy w mieście Braga w Portugalii, 16 czerwca z powodu 450 rocznicy śmierci św. Franciszka di Paola, 15 września w 800 rocznicę założenia sanktuarium Maryjnego w „Mariazell" (w tym przemówieniu Papież wspomniał o odsieczy wiedeńskiej, błog. Innocentym XI, królu Janie Sobieskim i uroczystości Imienia Maryi, ustanowionej na pamiątkę zwycięstwa);

2. do uczestników różnych zjazdów, zwłaszcza międzynarodowych, do pielgrzymek, różnych organizacji, głów panujących, ministrów. Dla przykładu: do proboszczów i kaznodziejów wielkopostnych Rzymu (5 marca), do jezuitów (10 września), do zakonnic zatrudnionych w szpitalach (24 kwietnia), do zakonnic wspomożycielek dusz w czyśćcu (27 maja), do katolików świeckich (5 października), do chorych należących do Centrum Ochotników Cierpienia (7 października), kilkakrotnie do nauczycieli i młodzieży, również kilka razy do lekarzy, ponadto do prawników, uczonych, robotników, do „Pax Romana", „Nouvelles Equipes Internationales", „Stations de plein air", Unii Europejskiej, „The Atlantic Treaty Association", „Communauté Européenne du Charbon et de l'Acier" itd.

Z innej działalności przede wszystkim należy wymienić ogłoszenie dalszej części Kodeksu Prawa Kanonicznego dla Kościołów Wschodnich. Dotychczas w latach 1949-1952 zostały ogłoszone przepisy dotyczące Sakramentu małżeństwa, trybunałów kościelnych, stanu zakonnego i dóbr doczesnych. Obecnie w roku 1957 „Acta Apostolicae Sedis" w numerze 9 z 15 sierpnia zamieściły list apostolski motu proprio „Cleri sanctitati" ogłaszający kanony 1 do 558, o rytach wschodnich, osobach fizycznych i prawnych, o duchownych i świeckich. Te z kanonów, które mają swój odpowiednik w Kodeksie Prawa Kanonicznego, obowiązującym obecnie w Kościele Zachodnim, są wzięte z tegoż kodeksu, ale z różnymi zmianami stylistycznymi i podyktowanymi warunkami, co jest stwierdzeniem, nie po raz pierwszy, że Kościół katolicki zawsze i wszędzie gotów jest wprowadzić zmiany nienaruszające dogmatów, jeśli tylko warunki tego wymagają. Poza tym z radością możemy zaznaczyć, że przy opracowywaniu obecnie ogłoszonych kanonów posłużono się jako źródłami prawa także postanowieniami synodu lwowskiego ruskiego z roku 1891 i synodu ruskiego w Zamościu z roku 1720.

Beatyfikacja i procesy beatyfikacyjne i kanonizacyjne. W roku 1957, jak we wszystkich latach pontyfikatów Piusa XI i Piusa XII, niesłabnący był silny ruch beatyfikacyjny i kanonizacyjny. W bardzo wielu diecezjach całego świata katolickiego odbywały się procesy diecezjalne przygotowawcze i apostolskie w sprawach beatyfikacyj i kanonizacyj wielu Sług Bożych. W minionym roku Papież ogłosił tylko jedną zakonnicę Błogosławioną, mianowicie w dniu 27 maja odbyła się beatyfikacja Czcigodnej Sługi Bożej Marii od Opatrzności, założycielki sióstr wspomożycielek dusz w czyśćcu, urodzonej 25 marca 1825, zmarłej 7 lutego 1871 w Paryżu. Ze spraw, które posunęły się naprzód, należy przede wszystkim wymienić te sprawy, co do których „Acta Apostolicae Sedis" zamieściły dekrety św. Kongregacji Rytów. Jest znamienne, że wiele z osób, których procesy beatyfikacyjne posunęły się naprzód, żyło w wiekach XIX i XX, co świadczy jak najwymowniej o tym, że w tych wiekach, dumnych z postępu materialnego, wiele osób osiąga zawrotne szczyty świętości, tak, że wieki te bynajmniej nie ustępują w świętości poprzednim wiekom dziejów Oblubienicy Chrystusa, Jego nieskalanego Mistycznego Ciała.

Sługa Boża Maria Lichtenegger, urodzona w St. Marein w Austrii 4 sierpnia 1906, zmarła 8 lipca 1923, licząc niespełna lat 17, wzór dla dorastającej młodzieży żeńskiej.

Sługa Boży Stefan z Adoain, kapłan z zakonu kapucynów, urodzony w Adoain w Hiszpanii 11 października 1808, zmarł 7 października 1880.

Sługa Boża Franciszka od Ran Jezusa, klaryska, urodzona w Hiszpanii 26 czerwca 1860, zmarła 4 czerwca 1899, przeżywszy w zakonie lat prawie 17. Przed wstąpieniem do zakonu wzór życia dziewiczego, „dobrej woni Chrystusowej", jak o niej stwierdza dekret św. Kongregacji Rytów.

Sługa Boży Józef Mananet y Vives, kapłan, założyciel kongregacji synów Świętej Rodziny i kongregacji misjonarek córek Św.

(Dokończenie na str. 30)

W SPRAWIE JEDNOŚCI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

Napisał JAN TOKARSKI

Podział chrześcijaństwa na tyle różnych denominacyj i sekt, które często zwalczają się w imię wewnętrznego przeświadczenia o wyłącznie własnej prawdzie i głoszą o sobie, że są jedynym prawdziwym Kościołem Boga na ziemi, nie przestaje napełniać wielkim smutkiem serc rzetelnie chrześcijańskich i, równocześnie być zgorszeniem — a także przedmiotem szyderstwa — dla niechrześcijan. „Rozbicie chrześcijan sprzeciwia się modlitwie Chrystusa i jest kamieniem obrazy dla świata" — mówi jeden z misjonarzy. A jezuita ojciec Joseph Daniélou powiada w swoich „Dialogues" (Paris, 1948):

„Nigdy bez serdecznego bólu nie mogę myśleć o widowisku, które sprawiają poganom rozbite Kościoły: bo świadczą się Chrystusem, a zwracają się jedne przeciw drugim. Jaki okrzyk oburzenia wyrwali Pawłowi ci chrześcijanie, którzy przecież tylko grupowali się w rywalizujące kapliczki wewnątrz (jednej) społeczności: 'Czy Chrystus jest podzielony'? (1 Kor. 1, 12)! Czy tam, gdzie jest Chrystus, mogą istnieć podziały? A jeśli podziały istnieją, czy może jeszcze być Chrystus?" (str. 125).

Jezus założył tylko jeden Kościół. Jest to fakt historii. I dlatego w najbardziej uroczystej godzinie Swego życia, bo przed Kalwarią i tuż przed ustanowieniem Eucharystii, to jest sakramentu nadprzyrodzonej i społecznej Jedności, modlił się do Ojca:

„Ja już nie jestem na świecie, ale oni są na świecie, a ja do Ciebie idę. Ojcze święty, zachowaj tych, których mi dałeś, **aby byli jedno jako my**. Gdy byłem z nimi, strzegłem ich w imię Twoje. [...] A teraz idę do Ciebie i mówię to na świecie, aby tę radość mieli wypełnioną w sobie. [...] Nie proszę, abyś ich zabrał ze świata, ale żebyś ich zachował od złego. [...] Uświęć ich w prawdzie. [...] A za nich ja poświęcam siebie, aby i oni byli utwierdzeni w prawdzie.

A nie tylko za nimi proszę, ale i za tymi, którzy dla słowa ich uwierzą we Mnie,**aby wszyscy jedno byli**, jako Ty, Ojcze, we mnie, a ja w Tobie, **aby i oni byli jedno w nas, aby świat uwierzył, żeś Ty mnie posłał**. A chwałę, którą mi dałeś, przekazałem im, **aby byli jedno**, jako my jedno jesteśmy.

Jam w nich, a Ty we mnie, tak **by byli w jedności doskonałymi** i **aby świat poznał**, żeś Ty mnie posłał i umiłowałeś ich, jakoś i mnie umiłował (Jan 17, 11-13; 15; 17; 19-23).

Jakże musi wzruszać ta Boska natarczywość, z jaką Jezus błaga Ojca o jedność wśród apostołów i ich następców, oraz tych, którzy kiedykolwiek będą się przyznawali do chrześcijaństwa! Ile powtórzeń! Ile nawrotów w tej modlitwie!

Jezus przyszedł zbawić każdego człowieka i całą ludzkość, której jest głową. W pewien bowiem sposób c a ł a ludzkość jest Jego Ciałem i ma stać się Jego Ciałem tak, aby Chrystus „mógł" być Cały — Christus Totus: żeby żadna kropla Jego Krwi nie poszła na marne, żeby owoce męki nie były zapoznawane, osłabione w skuteczności, odrzucane, deptane..

Z przytoczonych słów Jezusa wynika, że zasadniczym warunkiem uniwersalności dzieła Odkupienia i powszechnego przyjęcia Jego nauki — którą jest On sam — jest jedność chrześcijan. Jedność jest warunkiem tak istotnym, że przez nią świat ma „poznać" a więc ma prawo sądzić czy i że Bóg „posłał" na ziemię Syna Swego. Jezus modli się o jedność chrześcijan, aby „świat uwierzył", że Ojciec Go posłał. — Jakże więc strasziiwym złem jest to wszystko, co prowadziło i prowadzi do zatraty jedności w świecie przyznającym się do Chrystusa! Toteż św. Tomasz z Akwinu, który uczył, że nie ma większego aktu miłości bliźniego, jak przeprowadzić go „z błędu do prawdy", uczy również że największym grzechem przeciw miłości bliźniego jest grzech schizmy.

A nie sądźmy, że jest to grzech tylko tych, których historia zanotowała jako twórców schizm i herezyj! Każdy z nas jest schizmatykiem, ilekroć przeciwstawia się czynem lub myślą zamiarom Syna Bożego. Jest nim wtedy, kiedy nawet jako najprawowierniejszy i praktykujący katolik z pychą, brakiem zrozumienia i miłości odnosi się do ludzi innego wyznania i nie chce pojąć, że stulecia rozdziału wytworzyły u tych, którzy za ten rozdział winy osobistej nie ponoszą, głębokie różnice psychologiczno-poznawcze i zmiany w sposobie widzenia i przeżywania prawd Wiary. Jest schizmatykiem katolik, który pozbawiony ducha uniwersalności i katolickości, swoje ścieśnione pojęcie Kościoła pragnie narzucić innym jako autentyczne i który ogranicza Kościół do jednego np. łacińskiego obrządku i wiąże go z jednym jakimś typem kultury i cywilizacji, np. „łacińskiej" czy „zachodniej".

Słusznie też pisał przed 9 laty na łamach ŻYCIA śp. Julian Wiśniewski, który prawdziwie żył i oddychał uniwersalnością Kościoła:

„Jakże możemy osiągnąć jedność wszystkich w Chrystusie, jeśli sami nie jesteśmy jedno z Nim?

Jakże możemy złagodzić schizmę, jeśli tyle w nas samych ducha schizmatyckiego, wyłamań spod władzy Kościoła, dla racyj które (nawet) nie dotyczą prawd wiary, odrywania się od jedności, tyle nieposłuszeństwa wobec Ojca św. i jego wskazań, nieinteresowania się jego wypowiedziami i wskazaniami na bieżącą chwilę? Jakże możemy usunąć herezje i nawracać np. anglikanów czy protestantów, jeśli ulegamy pewnym formom niewiary czy to odrzucając niektóre prawdy objawione czy też interpretując inne w dowolny sposób, według chwilowych zachcianek czy wygody? Jakże możemy doprowadzić Żydów do Kościoła, jeśli tak jak oni wypieramy się Chrystusa swym życiem codziennym i tak jak oni odkładamy na dzień następny przyjęcie Go jako Mesjasza? A czyż możemy przekonać pogan o prawdziwości naszej wiary, gdy sami czcimy bożków czy to w postaci pieniądza, czy ambicji osobistej, gdy na ołtarz należny Bogu stawiamy różne grupy społeczne lub polityczne lub wreszcie samego siebie?"

* * *

Świadomość aktualnej odpowiedzialności **każdego** z nas za skandal rozbicia chrześcijaństwa, a więc za przeszkadzanie Bogu samemu w dziele „utwierdzenia w Prawdzie" i zbawienia ludzkości, niech nam towarzyszy w oktawie modlitw o chrześcijańską jedność. Ta oktawa przypada co roku pomiędzy dniami 18 i 25 stycznia, to jest pomiędzy uroczystością Katedry św. Piotra w Rzymie a uroczystością nawrócenia św. Pawła apostoła.

W tym roku mija właśnie 50 lat od czasu, kiedy po raz pierwszy ta oktawa weszła w życie. Dlatego przypomnijmy sobie pokrótce jej historię.

Pod koniec zeszłego stulecia Lewis Thomas Watson, pastor Kościoła episkopalianów, czyli anglikanów amerykańskich, założył niewielką grupę zakonną pod nazwą „Zgromadzenie Pojednania". Przeniknięty kultem i duchem franciszkańskim oparł je o regułę asyskiego Świętego. Jako cel zewnętrzny wyznaczył zgromadzeniu działalność w kierunku powrotu do Kościoła rzymskiego Kościołów oddzielonych, tak schizmatyckich jak protestanckich. Powstała też żeńska gałąź tego zgromadzenia, a na jej czele stanęła protestancka zakonnica, siostra Lurana, osoba wielkiego wyrobienia wewnętrznego.

Swoją działalność w kierunku powrotu do Rzymu Ojciec Watson, który jako zakonnik przyjął imiona Paweł Jakub Franciszek, pojął dwojako: przez modlitwę i ofiarne umartwienia; oraz przez szerzenie dostępnymi sposobami idej o konieczności i zasadach osiągnięcia jedności. Głosił więc kazania na temat modlitwy Chrystusa Pana „ut omnes unum sint": „aby wszyscy jedno byli". W tych kazaniach protestancki zakonnik wykazywał, że Jezus założył jeden Kościół i że oparł go na Piotrze, i że jeden był i jest Piotr i jedna jest i musi być jego „katedra", to jest nauka: a zatem trzeba i należy szukać jej w Rzymie.

Kazania wywołały takie zgorszenie, że zamierzano pociągnąć Ojca Watsona przed anglikański sąd kościelny. Ale zakonnik się nie ugiął i jeszcze wzmógł swoje apostolstwo. W r. 1903 założył czasopismo p.n. „The Lamp", przeznaczone

propagowaniu myśli unionistycznych wśród szerszej publiczności, a potem drugi organ, nazwany „The Antidote", zwracający się do protestanckich duchownych.

W tym samym czasie działał w podobnym duchu w Anglii anglikański pastor Spencer Jones. Wychował się on pod wpływem ech ruchu oxfordzkiego i jeszcze znał osobiście jego głównych protagonistów, między innymi Newmana i Pusey'a. Newmanowska „Apologia" wywarła na nim wstrząsające wrażenie. Postanowił się więc poświęcić akcji powrotu anglikanizmu do jedności kościelnej. Dnia 29 czerwca 1900 r., w święto św. Piotra i Pawła, wygłosił na ten temat kazanie, na zaproszenie anglikańskiego stowarzyszenia propagującego jedność chrześcijan. Kazania tego wysłuchał również słynny lord Halifax, promotor „rozmów w Malines" i nalegał na kaznodzieję, aby je ogłosił drukiem.

Kiedy pastor S. Jones zabrał się do pisania, temat rozrósł mu się do rozmiaru książki, która ukazała się w r. 1902 pt. „Anglia i Stolica Święta". Ze strony katolickiej jeszcze przed 18 laty, kiedy książkę tę wydano ponownie w przekładzie francuskim, powiedziano, że stanowi ona epokę w anglikaniźmie i nową erę, jakby podjęcie na nowo ruchu oxfordzkiego.

Ogłoszenie tej książki spowodowało, że z jej autorem wszedł w łączność Ojciec Watson i zaprosił go do współpracy ze swoją „The Lamp". W r. 1907 Spencer Jones zasugerował Watsonowi, aby zaprosić tak zwanych „romanizujących" pastorów anglikańskich do wygłoszenia, w czasie uroczystości św. Piotra owego roku, kazań, które by wskazywały wiernym na moc duchową, płynącą ze stolicy św. Piotra w Rzymie. Ojciec Paweł uznał myśl za doskonałą, ale twierdził, że jego zdaniem byłoby znacznie lepiej i stosowniej gdyby jako czas modlitw i kazań w tej intencji wybrać okres pomiędzy 18 a 25 stycznia. I nawet nie czekając odpowiedzi, zasięgnął pisemnie opinii najwybitniejszych abonentów swego czasopisma, tak anglikanów jak katolików. Widząc z jaką sympatią reagują na tę inicjatywę, w obu swych pismach zapowiedział oktawę na styczeń następnego roku.

I tak oto, przed 50 laty, od 18 do 25 stycznia 1908 roku po raz pierwszy katolicy i protestanci złączyli się z Jezusem w modlitwach do Ojca, aby znowu „wszyscy jedno byli".

Że z Bożego natchnienia powstała ta idea anglikańskich pastorów, świadczy jej dalszy rozwój. — Nie zdarzyło się chyba nigdy dotąd, aby Kościół przyjął formę nabożeństwa zrodzoną wśród protestantów. Tę jednak przyjął. Uczynił to św. Pius X w r. 1909 w czasie serdecznego posłuchania, udzielonego Watsonowi. Pobłogosławił pastora i samo dzieło oraz zaaprobował praktykę oktawy modlitw. W następnym roku Watson wraz z 16 członkami obu swych zgromadzeń przeszedł do Kościoła. Fakt ten zwrócił uwagę hierarchii i katolików amerykańskich. Do błogosławieństwa św. Piusa X dołączyli swoje kardynałowie Farley, O'Connel, Falconio, Bourne, Logue, to samo uczyniło setki arcybiskupów i biskupów. A brewem z 25 lutego 1916 r. Benedykt XV rozciągnął praktykę oktawy na cały Kościół Powszechny i wzbogacił ją licznymi odpustami. (Za odmówienie modlitwy o jedność jest odpust cząstkowy 300 dni, w czasie trwania oktawy; odpust zupełny pod zwykłymi warunkami, po ukończeniu tych pobożnych ćwiczeń; tekst tej modlitwy przedrukowało ŻYCIE w nrze 3/82 z 1949 r. na str. 6)

Protestancki ruch ekumeniczny „Faith and Order" w r. 1915 zalecił praktykę oktawy i zaproponował odmawianie modlitw z nią złączone również w czasie obrad zjazdowych. Od r. 1921 przyjęto oktawę oficjalnie wraz z modlitwami aprobowanymi przez Benedykta XV. Tego samego roku zaprowadzili ją biskupi katoliccy Stanów Zjednoczonych w swoich diecezjach. W następnym roku podjęli ją katolicy holenderscy, a z Holandii przeszła do innych krajów Europy Zachodniej. Wielki papież Pius XI wprowadził oktawę do Rzymu, uczestniczył w niej co roku i celebrował Mszę św. w jej intencji. Dzisiaj istnieje i rozwija się w wielu krajach, obchodzona przez katolików, protestantów kontynentalnych i amerykańskich, anglikanów w Anglii i Ameryce oraz przez niektóre ośrodki prawosławne.*)

Intencje w poszczególne dni oktawarium są następujące: Pierwszy dzień, 18 stycznia, poświęcony jest modlitwom o jedność wszystkich chrześcijan. Drugi — odłączonym chrześcijanom Wschodu; najbliższym w wierze braciom naszym. Trzeci — anglikanom, którzy pośród wszystkich odłączonych Kościołów zachodnich zachowali i zachowują najwięcej form, urządzeń, ceremoniału, liturgii, zwyczajów i ducha katolickiego. Czwarty — protestantom Europy, wśród których — zwłaszcza po tej wojnie — wzrosła na sile dążność do jedności i wybitnie wzrasta zainteresowanie dla kultu świętości. Piąty — protestantom Ameryki, którzy, również po ostatniej wojnie, w różnych swoich odłamach i kierunkach rozwijają zadziwiającą nieraz i bardzo bogatą działalność religijną i dobroczynną. Szósty — katolikom indyferentnym i odstępcom od Wiary. Siódmy — nawróceniu Żydów i mahometan. Ósmy — nawróceniu całego świata pogańskiego.

*

* *

Nie chciałbym tym artykułem sprawić wrażenia jakby znajomość i praktyka oktawy były powszechnie znane i przyjęte. Tak nie jest. I niestety daleko do takiego stanu jest nawet wśród katolików. Znają ją i praktykują dusze, które „miłość Chrystusowa przynagla" — wśród katolików, prawosławnych, anglikanów, protestantów. Ale takich chrześcijan nie jest za wielu. Zawstydzająco mało jest ich wśród Polaków, za to winę ponosi niski poziom naszego uświadomienia czym jest Kościół, na czym polega jego istota i natura i niezdawanie sobie sprawy, że dzięki Wcieleniu każdy chrześcijanin jest — ma być — współodkupicielem świata wespół z Chrystusem.

Każdy chrześcijanin, który żyje z Chrystusem, musi widzieć jasno, że to zagadnienie Wielkiego Powrotu, zagadnienie jedności wszystkich chrześcijan i nasz udział w nim, jest — choć może najmniej określonym w swej zasadzie — ale najważniejszym i najbardziej uniwersalnym dziełem i obowiązkiem. A tego obowiązku nie trzeba szukać w tablicach prawa, ale, jak mówi O. Charles, „w przynagleniu naszej duszy ochrzczonej".

Jest to tak wielki, a równocześnie — nie wstydźmy się użyć tego słowa — tak straszliwy obowiązek, że jeden z dzisiejszych teologów nie waha się wyrazić obawy — ze względu na ten obowiązek właśnie — „czy rzeczywiście jest to tak bardzo pewne, że według aż nazbyt obiegowej formuły, zbawienie wewnątrz Kościoła jest zawsze łatwiejsze [...] Oczywiście nie w tym sensie, aby zapoznawać wartość środków Łaski, które stoją normalnie do dyspozycji każdego wiernego. Lecz jakim nadużyciem stałaby się ta prawda, wykorzystywana jako pretekst do bezczynności, jak gdyby sam fakt, że znajdujemy się *in Ecclesia* pociągał za sobą to, że jesteśmy też *de Ecclesia*!"

Co więc należy nam czynić w celu odpowiedzenia swemu zadaniu? Jak działać dla jedności wszystkich chrześcijan?

Modlić się, jak modlił się Chrystus Pan! Bo zjednoczenie chrześcijan może się dokonać tylko jako owoc i wynik modlitwy! — Musimy wszakże zastanowić się nad tym, czym *jest* modlitwa i dlaczego *tylko* modlitwa. Zastanowimy się nad tym w jednym z najbliższych numerów ŻYCIA.

Bo *oktawa* jedności, to jedynie osiem dni stycznia. Ale *zagadnienie* jedności nie jest i nie może być ograniczone do tych kilku dni.

Jan Tokarski

*) Wszystko, co dotyczy historii Oktawy, wziąłem niemal dosłownie z dzieła, które napisał prof. teologii w seminarium Malines, dr Roger Aubert, pt. „La Semaine de Prières pour l'Unité Chrétienne. Editions Pro Apostolis, Louvain, 1950.

ŻYCIE KRAJU

TUTAJ ZŁO SIĘ ZACZYNA

Przy rozpatrywaniu powodów obniżenia poziomu moralnego w Polsce, nie stawia się w pismach krajowych na właściwym, tj. dość ważnym miejscu, sprawy braku mieszkań, chociaż to tutaj właśnie kryje się w głównej mierze początek wszelkiego zła. Za bezdomnością idzie — jak wiadomo — skłonność do wykolejeń, a przecież w Kraju tysiące ludzi jest dziś skazanych na bezdomność. Bo czy można nazwać „domem" mieszkanie w ciasnocie, mieszczące po kilka rodzin razem, spędzonych dowolnie, tak jak w celi więziennej, ludzi o różnych usposobieniach i upodobaniach: moralnych z niemoralnymi, abstynentów z pijakami, spokojnych z awanturnikami, obyczajnych z rozwiązłymi, ludzi obcych sobie i przeważnie nienawidzących się na wzajem? Czy można nazwać d o m e m mieszkanie, gdzie wykluczona jest wszelka intymność, gdzie się wszystko dzieje na oczach innych, gdzie dzieci na wszystko patrzą i wszystko słyszą? Taki dom rodzinny nie może być ani przystanią ani ostoją, nie może też dać odpowiednich podstaw wychowawczych dzieciom. Jest raczej siedliskiem demoralizacji, wylęgarnią wszelkich złych nałogów. I jak tu można mówić o dobroczynnym wpływie domu rodzinnego w takim zbiorowym nienawistnym mieszkaniu?

Nie było mieszkań za Bieruta i nie ma mieszkań za Gomułki. Czy jednak coś się pod tym względem poprawia? Aby na to odpowiedzieć, warto się przyjrzeć sprawie od początku.

Dekret z 21 grudnia 1945 r. ustalił zasady tzw. przestrzeni mieszkaniowej przysługującej obywatelom „nowej R. P. ludowej". Ludziom pracy przyznano 7 — 11 metrów kw. — nie pracującym od 4 — 7 m kw. W ramach tych norm miejscowe rady narodowe podzieliły istniejący zapas mieszkań. W konsekwencji „zeszuflowano" obywateli do mieszkań większych, najczęściej po kilka rodzin do jednego mieszkania, z prawem wspólnego używania kuchni. Tak wyglądało rozwiązanie zagadnienia mieszkaniowego w okresie planu trzyletniego (1947-1949). Polepszenie miało nastąpić w planie sześcioletnim (1950-1955), po którym każdy obywatel miał mieć już własne wygodne mieszkanie.

Co zbudowano w okresie planu 6-letniego? Tu musimy oprzeć się na komunikatach czynników najbardziej miarodajnych. Oto kilka z nich:

W dniu 26 stycznia 1956 r. radio warszawskie na fali 49 odpowiedziało jednemu z radiosłuchaczy na pytanie, dlaczego ludzie wciąż jeszcze mieszkają w piwnicach i norach i to po kilka rodzin razem, w czasie gdy buduje się pałace, domy kultury, kina i teatry. Widać — mówił ów radiosłuchacz — że na wszystko są pieniądze, a tylko ich nie ma na budowę mieszkań dla biednych ludzi.

Radio wyjaśniło, że w okresie sześcioletnim wybudowano 750 tysięcy izb, że jednak od tej liczby należy odliczyć 50 tysięcy, które w tym okresie stały się niezdatne do zamieszkania. Ale — zapewniał referent radiowy — za dwa lub trzy lata „będziemy budować rocznie 250 tysięcy izb, zaś na końcu planu pięcioletniego (1956-1960) aż 300 tysięcy".

„Życie Warszawy" z 24 stycznia 1956 r. przyniosło przemówienie ówczesnego pierwszego sekretarza P. Z. P. R. w Warszawie, Staszewskiego, który stwierdził, że w Warszawie 2 tysiące rodzin żyje w mieszkaniach, które powinny być bezzwłocznie zburzone — 6 tysięcy mieszka w piwnicach, zaś 15.000 rodzin tłoczy się po 4-11 osób w jednej izbie.

W dniu 23 marca 1956 r. radio warszawskie podało wyjątki z dyskusji dziennikarzy na temat sytuacji mieszkaniowej. Stwierdzili oni, że władze ignorują ludzki aspekt tego zagadnienia, a dyskusję zakończyli wspólną deklaracją, której główny sens był taki, że „ludzie nieszczęśliwi nie mogą budować socjalizmu".

Zalegalizowane wyjątki. Nie wszyscy jednak ludzie w Polsce gnieżdżą się w ciasnych mieszkaniach. „Monitor Polski" z 3 października 1952 r. podawał uchwałę rady ministrów o tzw. dodatkowej przestrzeni mieszkaniowej, do której mieli prawo ludzie „szczególnie zasłużeni dla Polski ludowej", oraz tacy, którzy z uwagi na ich pozycję zawodową czy społeczną powinni mieć większe mieszkanie. Uchwała zalegalizowała więc kwestionowane często „przez lud" duże mieszkania sekretarzy partyjnych wszelkich szczebli, którzy zgodnie z uchwałą należeli do wspomnianych wyżej kategorii.

Gomułka o sytuacji mieszkaniowej na wsi. W swoim przemówieniu, wygłoszonym na VIII Plenum Gomułka stwierdził, że w okresie sześcioletnim wybudowano na wsi tylko 370 tysięcy izb zamiast planowanych 900 tysięcy. Według Gomułki w tym samym czasie 600 tysięcy izb albo rozleciało się, albo wymaga gruntownej naprawy. Rozpadanie się starych budynków oraz gwałtowny przyrost ludności pociągają za sobą konieczność budowania rocznie co najmniej 150 tysięcy izb nowych, wybudowano tymczasem tylko połowę.

Taka jest rzeczywistość, oparta na faktach. Zaprzecza jej jednak Główny Urząd Statystyczny, wprowadzając zagranicę w błąd stwierdzeniem, iż „zagęszczenie" wynosi w Kraju 1.7 osób na izbę. Skąd GUS tę cyfrę wziął, na czym ją opiera? Okazuje się, iż przyjęto tu za podstawę wszystkie pod rząd domy, znajdujące się na Ziemiach Zachodnich, i te nadające się do użytku i te, w których mieszkać w żaden sposób nie można. Np. w Lądku-Zdroju w większości domów grzyb rozrósł się do takiego stopnia, że największy nędzarz tam się nie ulokuje. Dzieje się to podobno z powodu uszkodzeń kanałów, których nikt nie naprawia. Do obliczeń statystycznych wlicza się jednak i te nieużytki, wlicza się także domy rozszabrowane, rozebrane do fundamentów. Wlicza się je, bo... są. Wszystko jedno jakie. Stąd powstają fałszywe cyfry i mylne opinie. Dlatego „zagęszczenie" w roczniku statystycznym wynosi 1,7 osób na izbę, podczas gdy u komunisty Staszewskiego sięga często osób jedenastu.

„Głos Pracy", główny organ Związków Zawodowych, pisał w dniu 8 stycznia 1957 r., że w powiatach hrubieszowskim i tomaszowskim 340 rodzin zamieszkuje jeszcze w ziemiankach i bunkrach betonowych, pozostawionych przez Niemców. Ci ludzie nie mieszkają — pisze pismo — gnieżdżą się, a rady narodowe nie pomyślały o tym, by dać tym nieszczęśliwym ludzkie pomieszczenia. Artykuł ten ma tytuł „Kto zafunduje domy mieszkańcom bunkrów i ziemianek?"

Ludzie zamieszkujący w bunkrach i ziemiankach — to polska klasa pracująca, zaś Związki Zawodowe, zgodnie ze statutem tę właśnie klasę reprezentują i mają dbać o jej dobro. Zarząd centralny ma w swoim budżecie 332 miliony złotych, więc byłoby za co „zafundować" mieszkanie ludziom z ziemianek.

Deficyt mieszkaniowy. Juliusz Goryński, naczelny dyrektor ZOR (Zarząd Osiedli Robotniczych) stwierdził w lipcowym numerze „Nowych Dróg" (1957), że już w roku 1950, w samych tylko miastach brak było mieszkań dla pół miliona ludzi. Dziś ten brak wzrósł do 2,2 miliona. Co roku planuje się wybudowanie 240 tysięcy izb, co zaledwie wystarcza na pokrycie naturalnego przyrostu ludności. Deficyt ten nie tylko będzie się wlec dalej, lecz zwiększy się jeszcze na skutek rozpadania się starych domów.

Wynikałoby z tego, że bezdomność ludzka w Kraju może poważniejsze jeszcze przyjąć rozmiary, chyba że rozpocznie się na większą skalę budownictwo prywatne, do czego Gomułka robotników namawia („Nie pijcie wódki, a budujcie domy"). Jaka jednak gwarancja, że rząd udzieli przy tej budowie istotnej pomocy i że własność prywatna zostanie przez państwo należycie uszanowana? Że nie pochłoną jej z miejsca zbyt wygórowane podatki. Oprócz namów potrzebne są tu więc gwarancje ustawodawcze. Ludzie tęsknią do własnego kąta. Wiedzą, że wszystko zaraz mogłoby ułożyć się inaczej, że i dzieci stałyby się może lepsze, gdyby tylko złego przykładu na codzień, pod bokiem, zabrakło, gdyby nikt nie stał między dziećmi i rodzicami. Bo przecież to jest rzecz z dawien dawna wiadoma, że każda rodzina ma sama budować swoje i swoich dzieci życie. I odbudowałaby je z pewnością, i to na mocnych, chrześcijańskich podstawach — przy Bożej pomocy, gdyby tylko znalazły się po temu jakieś ludzkie warunki.

Panowie dziennikarze pism komunistycznych o to się najbardziej kłopoczą, że nieszczęśliwi ludzie nie będą mogli budować komunizmu. A przecież chodzi o sprawę tak ważną jak powstrzymanie demoralizacji, jak ukrócenie chuligaństwa, jak zmniejszenie przestępczości młodych. Czas chyba zostawić na boku bałamutne teorie, kiedy w grę wchodzi problem tak wielkiej wagi, jak ratowanie całego pokolenia. **A. Z.**

SPORY Z RELIGIĄ

„Trybuna Ludu" rozpatrywała sprawę wydalania wierzących z partii w długim artykule, przyznając, iż zagadnienie wcale nie jest łatwe. Usunięcie wierzących — to odcięcie się od mas, wyeliminowanie z partii poważnej liczby robotników i chłopów. Jednak partia pozbyć się bezwzględnie musi „zaprzysięgłych klerykałów" (jak ich nazwał Gomułka na X Plenum K.C.), „którzy nie tylko wierzą i praktykują, ale uważają plebanię za swój ośrodek dyspozycyjny", którzy „niechętnie lub wrogo odnoszą się do ateistów, prowadzą akcję przeciwko szkole świeckiej". Nie będzie też miejsca w partii dla „dwulicowców", którzy jako aktywiści partyjni oficjalnie gromią praktykujących, ale po cichu sami „uprawiają praktyki religijne".

Z jednej strony występuje nienawiść do religii, z drugiej obawa przed ostatecznym utraceniem więzi z masami narodu.

Aczkolwiek łódzki „Express", utrzymuje, iż w Polsce szkół bez nauki religii teraz nie ma i poucza jak się trzeba wziąć do dzieła, aby takie szkoły były zakładane, to jedna warszawska „Trybuna Ludu" stwierdza, iż w samej Warszawie jest 18 szkół bez nauki religii, tj. o 3 więcej niż w roku poprzednim. Warto przy tej okazji przypomnieć, iż rząd przyjął w porozumieniu z Episkopatem zasadę, że o wprowadzeniu nauki religii do

szkoły, bądź to elementarnej, bądź średniej, decyduje żądanie większości rodziców. Rożnie jednak z tym swobodnym wyrażaniem woli rodziców bywało i bywa. Dyrekcje szkół mają swoje własne metody na to, by nauki religii do szkoły nie dopuścić. Za przykład może posłużyć sprawa szkoły im. Staszica w Bydgoszczy. Zaś dzienniki komunistyczne mają też — niestety — swoje nie zawsze budujące sposoby przedstawiania i oświetlania zagadnienia na korzyść szkoły laickiej.

NIEMIEC O WROCŁAWIU

Polskie Ziemie Odzyskane są coraz częściej celem odwiedzin Niemców, dawnych mieszkańców tych ziem, obecnie osiadłych czy to w Niemieckiej Republice Demokratycznej, czy w Niemieckiej Republice Federalnej, a więc w Niemczech zachodnich. Niedawno na łamach hamburskiej „Die Welt" ukazał się artykuł p. G. Ziviera, obrazujący wrażenia jego z bytności w polskim Wrocławiu. Wśród jego spostrzeżeń są i dodatnie, przeważają jednak ujemne, czemu nie można zbytnio się dziwić u człowieka, który — jak z artykułu wynika — żył we Wrocławiu, a w każdym razie dobrze znał to miasto za czasów świetności Prus, kiedy Wrocław był stolicą „niemieckiego Wschodu".

P. Zivier zatytułował swoją korespondencję „Wrocław — miasto w cieniu". Pierwsze jego wrażenia, po wyjściu z dworca głównego, są raczej korzystne. Sam dworzec ucierpiał stosunkowo niedużo w czasie wojny — twierdzi korespondent — a okolica dworca zmieniła się bardzo niewiele. Tamtędy to grupy studentów, wracających nad ranem z knajp, kroczyły przed wojną gęsiego w takt swych nieco ponurych piosenek marszowych. Także dalej nie widać żadnych większych zmian. „Tylko bardzo wiejscy z wyglądu mężczyźni i kobiety w szerokich spódnicach i w wiejskich chustkach (w oryginale: „Babko-Tüchern") dokoła głów i pleców, nie bardzo harmonizują z tym obrazem.

Hotel „Orbis". Dawny hotel „Monopol", ongiś miejsce zamieszkania i spotykania się niemieckiej arystokracji śląskiej i ludzi lubiących jej towarzystwo, dziś jest w ręku polskiego „Orbisu", a hotele „Orbisu" — zauważa korespondent — stanowią szczyt dzisiejszego hotelarstwa polskiego. „Portier w tym hotelu nie tylko bada paszport, podobnie jak portierzy hotelowi w ogóle, ale także odbiera list kredytowy wystawiony na walutę dolarową i w zamian zaopatruje cudzoziemca w złote. W na poły ciemnym hallu hotelu znajduje się kiosk gazetowy, gdzie poza pismami polskimi napotyka się gazety z Berlina wschodniego, spóźnione o pięć dni i jeszcze starsze numery „Humanité". Portier wita gościa z burkliwą uprzejmością, przy czym ta burkliwość odpowiada jego półoficjalnemu stanowisku, a uprzejmość wygląda na coś nabytego po krótkim treningu. „Należy sobie zawsze uprzytomnić — dodaje Zivier — że turystyka w bliskich obszarach wschodnich jest bardzo świeżej daty."

Korespondent stwierdza, że jego pokój był skromny, był jednak umeblowany porządnie. Jeśli jednak zaświeciło się elektryczność, wprawiało się w panikę karaluchy, które kłębiły się po kątach. „Przy istnieniu we Wrocławiu tylu ruin i gruzu nie można dać sobie rady z karaluchami. Poza jednak tymi karaluchami nie zauważyłem w hotelach żadnej drobnej fauny i mogę także wobec zarządu wrocławskiego „Monopolu" zaświadczyć, że walczy on wszelkimi broniami ludzkimi o czystość i wygodę."

Wygląd ludności. Autor jest rozczarowany za to wyglądem ludności miasta. Wielkie tłumy ludzi — pisze — poruszają się po chodnikach od rana. „Lud biedny, niekiedy robiący wrażenie chorowitego, który został tu przesiedlony z obszaru lwowskiego, wileńskiego i z tych powiatów wiejskich Polski wschodniej, gdzie mieszkało się w chałupach pokrytych strzechami, robi wrażenie raczej obozującego tutaj niż zadomowionego." Ta uwaga p. Ziviera nie grzeszy trafnością.

Notuje on, że wśród tych chłopów, którzy z trudnością przekształcają się w robotników przemysłowych, spotykać można także Cyganów i Cyganki, których wozy wędrowne ustawione są w niektórych kątach gruzowiska wrocławskiego.

Korespondent opisuje obszerniej swoje zetknięcia z Niemcami, których spotkał przypadkiem w czasie swych wędrówek po mieście. Jednym z nich był palacz lokomotywy, który obok tego zajęcia przygotowuje się do egzaminu z ekonomii, innym zaś księgowy z Świdnicy, który ma ambicje filologiczne. Wszyscy ludzie, z którymi rozmawiał we Wrocławiu, mieli poza swym głównym zawodem jakiś „drugi zawód". „Kiedy jednak kiedyś na Górnym Śląsku — pisze p. Zivier — poruszyłem pojęcie „drugiego zawodu", wywołałem u partnerki uśmiech i odpowiedź: „Tak, tak, kiedy inspektor lazaretu sprzedaje na czarnym rynku lekarstwa, to można to także nazywać uprawianiem drugiego zawodu". — We Wrocławiu nie jest się tak cynicznym, przynajmniej w dialogach."

Stan miasta. Korespondent opisuje dosyć dokładnie stan różnych części miasta, gmachów publicznych i kościołów. Stary ratusz — notuje — jest dobrze utrzymany, aczkolwiek wygląd jego fasady ucierpiał przez odpadnięcie tynku. Zaś stare domy przy rynku zostały odrestaurowane pospiesznie i z grubsza, tak że robią wrażenie kiepskich kopii tego, co było dawniej. Towarzyszka p. Ziviera opowiadała mu o restauracjach, które ograniczyły się do samych fasad, jak w Gdańsku, gdzie często jeden pokój mieszkalny biegnie dziś poprzez dwa wąskie domy i gdzie poza tym udając się z jednego pokoju do drugiego przekraczać trzeba schody, gdyż poziom budowy nie jest jednakowy. — Nowe domy przy ulicy Świdnickiej posiadają, zdaniem korespondenta, niecelowe, ukośne dachy. „Wygląda to, jak gdyby przepisy budowlane Hitlera nadal obowiązywały".

Po tych narzekaniach nie biorących pod uwagę trudnych warunków, w jakich odbywała i odbywa się jeszcze odbudowa Wrocławia, następuje jednak stwierdzenie, że Ostrów Tumski wygląda nadal „pięknie i uroczyście" jak dawniej. Snują się tam urszulanki, zakonnicy i młodzi kapłani. Na brzegach zamulonych odnóg Odry wygrzewają się w słońcu, obok wieśniaków, adepci teologii i studenci wydziałów świeckich. Pobliski uniwersytet ze starym sklepieniem swej bramy „jest dobrze utrzymany". Od kilku semestrów — pisze korespondent — Niemcy są znowu dopuszczeni do studiowania. W pobliżu są czerwone budynki nie uszkodzonych klinik uniwersyteckich, które „także dzisiaj są, jak słychać, w dobrych rękach".

Natomiast południowe i zachodnie części miasta zostały zmiecione z powierzchni ziemi. Na pozostałym gruzowisku krzewią się bujnie chwasty.

PRACA W WILIĘ

Prezes Rady Ministrów wydał w dniu 18 bm. okólnik regulujący sprawę pracy w okresie świątecznym. W okólniku tym mówi się, że dzień 24 bm. jest normalnym dniem pracy. W związku z tym nie należy udzielać nikomu żadnych zwolnień z pracy.

Jednakże w drodze szczególnego wyjątku w indywidualnych przypadkach dotyczących pracujących kobiet, posiadających na swym utrzymaniu dzieci, a zatrudnionych w dniu 24. XII. na drugiej zmianie, możliwe jest zezwolenie im na odpracowanie dniówki w niedzielę, 22. XII. br. W tych przypadkach praca w niedzielę nie może być traktowana jako praca w dni świąteczne i nie może być dodatkowo wynagradzana.

Okólnik ten został uzgodniony z CRZZ.

(„Głos Pracy 9. 12. 57). — Bez komentarza.

BRATERSTWO WSPÓLNEJ SPRAWY

Napisał LORD ST. OSWALD

Rowland Winn (lord St. Oswald), ur. 1916, przyjaciel Polaków i z Polką żonaty, rolnik i hodowca oraz działacz organizacji kombatanckich w hrabstwie Yorkshire, gdzie mieszka, jest „Europejczykiem" z wychowania i wykształcenia, a dziennikarzem, pisarzem, żołnierzem i politykiem z powołania. W wieku lat 19 został korespondentem Reutera oraz korespondentem politycznym „Daily Telegraph" w Hiszpanii i wojennym reporterem w wojnie cywilnej; był dwukrotnie skazany na śmierć i ranny ciężko w nogę. Jako dziennikarz podróżował po Środkowym Wschodzie w roku 1938 i po Europie Środkowo-Wschodniej w roku 1939.

Walczył w Afryce w 8 pułku huzarów zmotoryzowanych; ma stopień majora. W roku 1944 skoczył ze spadochronem na Bałkany dla nawiązania łączności z „podziemiem"; prowadził natarcie, które wzięło Tiranę; ponownie był ranny. Został zrzucony na tyły wojsk japońskich w w Siamie. Współdziałał w operacjach „wolnych Francuzów" przeciwko bandom Viet-minh'u w Laos w roku 1945. W roku 1950 walczył jako ochotnik w Korei. Zdobył angielski M.C. i belgijskie odznaczenia: Croix de Guerre i Ordre de Léopold.

Jest autorem powieści „Lord Highport dropped at dawn" (przeżycia na Bałkanach), „My dear it's heaven" i „Carmela" (tematy hiszpańskie).

Lord St. Oswald kandydował do parlamentu z ramienia partii konserwatywnej; w Izbie Lordów zasiada w komisji spraw zagranicznych i obrony. W r. 1957 został sekretarzem Komisji Europy Środkowo-Wschodniej Ruchu Europejskiego. Jest członkiem Rady Instytutu im. Gen. Sikorskiego i wiceprezydentem Towarzystwa Anglo - Rumuńskiego. Niedawno był w Rumunii z grupą parlamentarzystów brytyjskich.



Dla mieszkańca wolnego świata, nienaruszonego fizycznie ale moralnie przejętego ujarzmieniem Europy Środkowo-Wschodniej, wizyta za „żelazną kurtynę" jest przeżyciem zawstydzającym.

Chociaż podróż trwała niedługo i odbywała się w warunkach „uprzywilejowanych", wiem, że wróciłem nie ten sam. Zostaną ze mną zaobserwowane reakcje niegdyś wolnych obywateli, a dziś tragiczny nawyk milionów niewinnych ludzi w ich walce o byt: podejrzliwe spojrzenie za siebie, baczenie czy ktoś nie śledzi, szukanie w otoczeniu agenta...

Ale nie dlatego nazywam te przeżycia zawstydzającymi. Zetknąłem się ze społeczeństwem, wśród którego wykryłem zawzięty, uparty odpór przeciwko panowaniu komunizmu. Ten odpór to nie tylko nienawiść do Rosjan, ale przede wszystkim pogarda dla sowieckiego komunizmu. Pogarda ta zwraca się swoim ostrzem ku tym, którzy bezwstydnie obrastają w sadło dzięki kolaboracji z komunizmem. Ale pogarda ta, choć w tym wypadku bez nienawiści, obejmuje także — spojrzeniem na pół współczującym, na pół cynicznym — nas, zachodnie społeczeństwo. Uważają, że jesteśmy ślepi, na wpół uśpieni, zadowoleni z siebie, naiwni w naszym stosunku do Sowietów. Podejrzewają nas, że podzieliliśmy się z Rosjanami Europą w nierozumnym i podłym przeświadczeniu, iż w ten sposób ocalimy siebie. — A jednak, pod tą bolesną dla nas cyniczną pogardą, wyczułem tlące jeszcze pragnienie wiary i zaufania w nas, które ożyje, jeżeli na nie zasłużymy.

* * *

Zastanawiałem się nad powodem zaproszenia parlamentarzystów brytyjskich do Rumunii, do kraju, w którym na podstawie „prawa o obronie pokoju" (Nr. 117 Dziennika Ustaw z 16. 12. 1950) obywatel słuchający zagranicznego radia, naraża się na aresztowanie i karę więzienia do lat 25!

W ciągu paru pierwszych dni naszej wizyty odpowiedź stała się jasna: z jednej strony chciano nam pokazać obraz stosunków sfałszowany i stępić nasz krytycyzm; z drugiej strony my sami mieliśmy być użyci jako „pokrywka". Kontakty parlamentarne miałyby oznaczać, że kraj, który odwiedzamy, jest rządzony według zasad systemu parlamentarnego. Korzyść dla komunistów miała być podwójna: uspokojenie podejrzliwości narodów demokratycznych oraz okazanie narodom ujarzmionym, że nie należy spodziewać się pomocy od Zachodu.

Cel zostałby osiągnęty, gdybyśmy się wszyscy dali uśpić i nie dostrzegli rzeczywistości; jeżelibyśmy zapomnieli o naszych własnych zasadach i nie dali im wyrazu.

Pojechaliśmy do Rumunii nie po to, by uznawać rzekomy parlamentarny ustrój ludowej republiki; jechaliśmy nie jako oficjalna delegacja parlamentarzystów brytyjskich. Intencją podróży z naszej strony była chęć zapoznania się z sytuacją na miejscu, zdobycia autentycznych wrażeń.

Aby dać świadectwo naszym przekonaniom wystąpiłem publicznie na spotkaniu w rumuńskim „parlamencie", kierując do prezydenta Piotra Grozy zapytanie o los ofiar reżymu, więźniów politycznych. Echa tego wystąpienia dowodzą, że spełniło ono swoje zadanie.

Staraliśmy się cały czas zaglądać za kulisy, dotknąć się rzeczywistości ucisku politycznego i społecznej nędzy, nastroju niepewności i przygnębienia; usiłowaliśmy chwytać półsłówka w krótkich chwilach przelotnej, prywatnej, a więc szczerej rozmowy.

Opuściliśmy Rumunię świadomi, że „socjalistyczne społeczeństwo" jest rządzone przez tyrańską „czerwoną arystokrację" i że pod jej rządami wyrasta „czerwona burżuazja". Życie tych grup uprzywilejowanych jest łatwe. Dla nieświadomego prawdy obserwatora ich warunki bytu i pracy, ich mieszkanie, ubranie i wyżywienie stwarzać mogą pozory normalnej zamożności. Technicy, profesorowie wyższych uczelni, prawnicy, pisarze, urzędnicy, „parlamentarzyści", politycy kolaborujący z reżymem — to grupy społeczne, które pod warunkiem ortodoksji korzystają z rewolucji. Bynajmniej nie wszyscy są zaprzedani reżymowi; ucisk dyktatury stwarza warunki, w których żyć muszą oni i ich rodziny.

Nasi „koledzy" z rumuńskiej Wielkiej Rady Narodowej zostali „wybrani" rok temu w sposób swoisty: 437 wybranych z jedynej listy 437 kandydatów. Zebrali się raz w kwietniu, drugi raz w listopadzie, by zatwierdzić wydane przez rząd dekrety, chwaląc je zgodnie z wytycznymi partii.

W ten sposób „parlament " zatwierdził także i ten dekret z czerwca ub.r. przewidujący karę ciężkich robót za przestępstwa „chuliganizmu" i „paskarstwa". Celem rzeczywistym dekretu było dostarczenie 25.000 robotników, niewolniczej siły roboczej do wycinania trzciny, porastającej rozlewiska delty Dunaju, dla produkcji celulozy. Tysiące giną, pracując po pas w bagnie bez względu na pogodę...

* * *

Pojechałem do Rumunii także dlatego, że chciałem dać wyraz osobisty mojemu poczuciu odpowiedzialności za los narodów Europy Środkowo-Wschodniej. To poczucie jest ze mną stale od czasów Jałty, a w każdym razie od czasów, gdy jałtańskie układy zostały przez Sowiety złamane. Dla nas, Brytyjczyków, umowa w Jałcie nie oznaczała nic innego jak tylko przejściową obecność wojsk sowieckich w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, by zwalczyć Niemcy. Naszą winą była łatwowierność. Ale dziś, nie my odbywamy pokutę za te winy; pokutują za nie ludy, które nie brały udziału w ugodzie jałtańskiej.

Gdy wszedłem do parlamentu, zabierałem przy każdej okazji głos w debatach dotyczących tych spraw. Później zostałem sekretarzem Komisji Europy Środkowo-Wschodniej Ruchu Europejskiego, gdzie wchodzą politycy z emigracji tamtych narodów i politycy zachodni, a której przewodniczącym honorowym jest premier W. Brytanii, Macmillan.

Zaproszony do przemawiania na obchodzie rocznicy powstania węgierskiego w Londynie, tak ująłem moje stanowisko:

„...Do Węgrów, do wszystkich patriotów reprezentujących narody ujarzmione, zwracam się z prośbą: bądźcie wyrozumiali w stosunku do nas, dajcie nam wasze zaufanie... Proszę Was, byście wierzyli, że wielu z nas, wielu więcej niż sobie wyobrażacie, stoi i będzie stało do końca przy Waszej sprawie, w pełnej świadomości, że jest to sprawa nasza w równym stopniu jak wasza.

Nigdy, póki tchu w piersi, nie damy przyzwolenia na utrwalenie, na uwiecznienie tej potwornej granicy między ludźmi wolnymi i niewolnymi, jaką jest „żelazna kurtyna".

... Istnieje ciągle jeszcze zakorzeniona ślepota wśród wolnych ludów w odniesieniu do ciężkiej rzeczywistości życia pod rządami komunistycznymi. Musi się Wam wydawać, że cierpimy na niebezpieczne, nawet grzeszne samozadowolenie; w naszych czasach samozadowolenie jest grzechem, tak jak i ślepota tych, którzy mają wszystkie możliwości i sposobności, żeby rzeczywistość poznać.

Jednym z czynników, na który Kreml liczy, jest ta ślepota świata wolnego wobec komunizmu i jego groźby. Naszym wspólnym obowiązkiem jest leczenie tej ślepoty. Wtedy dopiero będziemy w stanie przeciwstawić się zagrożeniu. Leży to w naszej mocy, w mocy od Boga danych uzdolnień ducha ludzkiego, jeżeli ten duch stanie do skutecznej służby sprawie.

... Jesteśmy potencjalnie związkiem bratnim o zasięgu światowym. Jesteśmy zespoleni wspólną wiarą w godność osoby ludzkiej. Ktokolwiek i gdziekolwiek dał życie za naszą sprawę, dał je w imieniu nas wszystkich. Nasze oddanie sprawie jest dowodem wierności wobec tych, co padli, wobec tych, którzy narażeni są na ofiary. Gdy to zrozumiemy, będziemy potęgą, potęgą ku dobremu...

Naszym celem praktycznym i natychmiastowym winno być zespolenie tych wszystkich, których sumienia reagują podobnie i których dążenia są zbieżne; musimy mobilizować szeroki potencjał moralnego oburzenia w świecie... Dobro, sprawiedliwość i piękno są w stanie zatryumfować, jeżeli ludzie wyostrzą swe sumienia, osiągną pełną świadomość rzeczywistości, skupią się razem, wykażą zdecydowaną gotowość do poświęceń w służbie dla tego celu..."

* * *

Jesteśmy w płynnym okresie „wojny letniej", który nastąpił po bezruchu „zimnej wojny". W walce ścierają się przejawy politycznej bystrości i sztuki przewidywania. Świadkami jej, pełnymi niepokoju i oczekiwania są miliony Europejczyków w obozie wschodnim. Ich nadzieje wiążą się z naszą postawą moralną i naszą roztropnością polityczną... — Kto weźmie górę?

* * *

Po mojej wyprawie za „żelazną kurtynę" stałem się nieskończenie bardziej świadomy wielkiego braterstwa narodów doświadczonych, które łączy ludy tamtej części Europy. Na tle tego zespolenia w niedoli rysuje się specjalny stosunek do Polski. W hołdzie dla ich historii, Polacy są uważani za weteranów moskiewskiej opresji, są przykładem jak nieugięty duch może wytrwać prześladowania. Wobec ich niedawnych osiągnięć, nie zazdroszczą im ulg wolnościowych, ale cieszą się jak bracia, że Polacy odzyskali cząstkę stale jeszcze zagrożonych swobód, które powinny być, bo były, udziałem wszystkich.

Uważam za zaszczyt, że było mi danym zetknąć się — choćby przelotnie — z codziennym bohaterstwem tych narodów, którym tak mało na razie pomóc możemy. Czuję się upokorzony, że jestem wśród widzów, często bezsilnych. Żywię jednak nadzieję, że znajdą się Polacy, którzy uwierzą, że między nami jest wielu, więcej niż się wydaje, świadomie współczujących z cierpieniami ich narodu, poczuwających się do winy za jego tragedie.

Jeżeli nasi polscy przyjaciele zechcą ze zrozumieniem odnieść się do moich słów, będę im wdzięczny.

St. Oswald

ORTODOKSJA KOMUNISTYCZNA W RUMUNII

Pisarz i dziennikarz brytyjski Anthony Rhodes ogłasza w styczniowym numerze „Encountera" wrażenia swe z odwiedzin Rumunii. Są one na tyle interesujące, że Rumunia jest — obok Bułgarii i Albanii — tym z krajów spoza żelaznej kurtyny, z którego stosunkowo najmniej dociera wiadomości na Zachód.

Rhodes był członkiem delegacji brytyjskiej dla kontaktów kulturalnych i początkowo stykał się tylko z osobistościami oficjalnymi. Prezydent Groza przemawiał do delegacji w sposób przyjazny, chwaląc zarazem osiągnięcia swego reżymu. „Przedwojenna korupcja polityki — mówił Groza — z której korzystali tylko bogaci, należy do przeszłości..."

Korespondent przyznaje, że przed wojną było w Rumunii dużo korupcji, ale ludzie, z którymi później rozmawiał, robili wrażenie, że wolą te właśnie dobre, dawne, „skorumpowane" czasy od dzisiejszych. Mówili oni bez ogródki, że prezydent Groza jest kłamcą i jego rząd jest najokrutniejszy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek istniały w Rumunii. Opowiadali mrożące krew rzeczy o wojskach rosyjskich, o „Siguranzy", to jest tajnej policji i o tym, jak oni i ich przyjaciele odsługiwali długie okresy ciężkich robót przy budowie kanału Dunaj - Morze Czarne, po skazaniu ich bez żadnego procesu. Trudno było — zauważa p. Rhodes — sprawdzić ścisłość tych opowiadań, ale dziesiątki z nich potwierdzały się wzajemnie. „Były to opowiadania zdesperowanych, zastraszonych ludzi, którzy ryzykowali, że będą widziani, gdy rozmawiali ze mną, byłem ja tylko powiedział o treściach tych rozmów Zachodowi..."

Zubożenie Bukaresztu. Z tego co mówił prezydent Groza, niewątpliwie prawdą jest, że w Rumunii dzisiejszej „nie ma luksusu". Towary w oknach wystawowych na głównych ulicach, takich jak Calea Victoriei, muszą odpychać wszystkich, poza chyba najbardziej zdeterminowanymi lub zgłodniałymi klientami. Rzucane są one bez ładu z przyczepionymi do nich niechlujnymi kartkami z cenami. W małej restauracji Capsa, w której przed wojną jadali obiady oficerowie, zdarto dekoracje ze ścian, by usunąć wszelkie ślady zachodniego czy francuskiego „szyku". Kobiety Bukaresztu, które rywalizowały z Paryżankami w zakresie elegancji i mody, są zaniedbane i apatyczne. To samo można powiedzieć o budynkach. Nie istnieje to, co nazywamy konserwacją w stosunku do domów; tynk jest popękany i odpada, gzymsy kruszą się i też odpadają.

„Socrealizm" w literaturze. Interesujące są informacje Rhodesa co do obecnego stanu literatury i sztuki w Rumunii. Okazuje się, że styl socrealistyczny jest nadal ściśle obowiązujący, a w oszacowaniu twórczości pisarzy czy artystów stosowane są takie normy jak w stosunku do robotników fizycznych. Korespondentowi pokazano dokument oficjalny (dekret rady ministrów z dn. 15. 7. 1957), dotyczący opłacania pisarzy: dokument robi wrażenie czegoś z „1984" Orwella. Poeta, powieściopisarz, dramaturg, krytyk, autor scenariuszy filmowych, a nawet autor tezy naukowej i redaktor słownika — wszyscy posiadają swe miejsca w skali opłat od

„kawałka", jak gdyby produkowali rygle w fabryce. „Oceniać względne osiągnięcia owych rozmaitych dzieł sztuki nie mogło być łatwe. Wobec tego zapytałem, na jakiej podstawie zadecydowano, na przykład, że muzyka baletu, symfonia albo oratorium mają być warte trochę ponad połowę tego, co warta jest opera? Albo że dwie sonaty są równe jednemu kwartetowi? W rzeźbie wartość — jak powiada dokument — zależy od wysokości i liczby przedstawianych osób (o 60% więcej za „każdą dodatkową osobistość") i także od tego, czy jest to posąg konny, czy nie. Jeśli chodzi o obrazy, cena minimalna za portret jest dwukrotnie większa niż za martwą naturę, a za „kompozycję" cztery razy większa.

Poetka, która musiała się pokajać. Wynikałoby z tego, że artyści muszą swą produkcją wypełniać normy tak, jak każdy inny pracownik i — jak powiadają znów dokumenty oficjalne — mają „stwarzać dzieła, które przyczyniają się do ukształtowania sumienia socjalistycznego nowego człowieka, dzieła, które popierają bohaterskie boje ludu i które wykazują dumę z osiągnięć Rumuńskiej Partii Robotniczej".

Nie wszystkim pisarzom udaje się uczynić zadość tym wymaganiom. Poetka Maria Banush — na przykład — została skreślona z listy poetów za napisanie poematu „Nie, nigdy...", w którym oświadczyła, że natura jest bardziej odpowiednim przedmiotem dla wierszy niż reformy socjalne. Organ partii „Scanteia" ostro ją za to zaatakował. „Pomyłka towarzyszki Marii Banush — stwierdziło to pismo — polega na tym, że mówiąc o Naturze i Miłości jako przedmiotach jej drogich, izoluje się ona od całości tematów właściwych literaturze, która umieszcza w centrum swych zainteresowań Człowieka — postępowego Człowieka naszych dni". W rezultacie Maria Banush musiała zamilknąć i dopuszczono ją ponownie na listę poetów dopiero, gdy wezwana została do stawienia się przed samą radę ministrów i musiała tam odwołać swe „błędy".

Wielu poetów naturalnie zastosowało się do nakazanego kursu i piszą wiersze ściśle „socrealistyczne". Poeta Petre Sascu opiewa przebieg zebrania politycznego, na którym odczytane zostają ostatnie uchwały Komitetu Centralnego partii. Inny poeta Iosif Negrea pisze poemat, naśladujący formą balladę ludową, a poświęcony kołchozom, inny znowu bierze za przedmiot swego wiersza plebiscyt w Demokracji Ludowej.

To samo jest w teatrze. Aktorzy ze swej strony próbowali ożywić nudny tekst oficjalnych sztuk, które grali, uzupełniając go na dalszych przedstawieniach (bo pierwsze odbywało się zawsze ściśle według wymagań) różnymi wstawkami satyrycznymi. Lecz jedna z dziennikarek partyjnych zamieściła na ten temat alarmujący artykuł w „Contemporanul" i w rezultacie musiała się pokajać cała rzesza aktorów.

Próby zwalczania „buntowniczych" nastrojów ludności. Charakterystyczny dla nastrojów, które rząd usiłuje tłumić, jest świeży dekret przeciwko „Chuligaństwu, Włóczędze, Paskarstwu i Prostytucji", na podstawie którego, jak się zdaje, można zaaresztować prawie każdego za wszystko. Wielu ludzi sądzi, że ten dekret ma po prostu za cel uzyskać materiał ludzki do robót przymusowych przy wyrywaniu trzcin w delcie Dunaju, gdzie odkryto nowy sposób przekształcania trzcin w masę drzewną i papier.

Rhodes konkluduje stwierdzeniem, że przywódcy komunistyczni zmusili naród łaciński, przyzwyczajony od wieków patrzeć zawsze ku Zachodowi, przede wszystkim ku Francji, do spoglądania ku Wschodowi. Doprowadzili oni kraj bliżej do wizji Orwella „1984", niż to się w ogóle wydawało możliwe. Rumuni jednak posiadają przysłowie „Apa trece, pietrele raman", co znaczy: „woda płynie, kamienie zostają". Zdaniem Rhodesa wyjaśnia to, dlaczego nie powstali przeciw swym władcom w zapalny sposób węgierski. W październiku 1956 r. odbyły się demonstracje prowęgierskie w Bukareszcie i w miastach uniwersyteckich Cluj i Timosoara, ale ludzie czekali, czy mocarstwa zachodnie wystąpią. W tym wypadku i oni ofiarowaliby swą krew. Nawet Policja Bezpieczeństwa bała się tego; zniknęła ona całkowicie z ulic między 23 października a 4 listopada, kiedy studenci protestowali. Dopiero, gdy stało się jasne, po której stronie będzie zwycięstwo na Węgrzech, policja pojawiła się znów całą masą, by aresztować demonstrantów. Setki spośród nich zniknęło w czasie nocy.

„EUROPEJSKIE" ZBLIŻENIE POLSKO-NIEMIECKIE

(Od własnego korespondenta z Berlina)

Dyskusja na temat polsko-niemieckiego problemu przycichła nieco w ostatnich miesiącach. Powraca jednak ponownie na łamy publicystyki niemieckiej. Garstka zwolenników porozumienia polsko-niemieckiego, spotykanych w różnych partiach i grupach politycznych, korzysta z każdej okazji, by podkreślić konieczność normalizacji stosunków pomiędzy obu państwami i wyrównania długowiekowych sporów i porachunków. Wypowiedzi ich spotykają się oczywiście przeważnie z repliką nieprzejednanych rzeczników rewizjonizmu. Ze strony tych kół nie szczędzi się propagatorom porozumienia zarzutów zdrady lub karygodnej rezygnacji. Głosy rozsądku nie kapitulują jednak i mimo trudności i przeszkód apelują wytrwale i odważnie do kół rządowych i opinii publicznej o konieczność realistycznego podejścia do rzeczywistości po tamtej stronie niemieckiej granicy wschodniej.

Kilka tygodni temu odbyła się w Bonn publiczna dyskusja na tematy polsko-niemieckie pomiędzy posłem socjaldemokratycznym Kalbitzerem, przedstawicielem młodszej generacji socjalizmu niemieckiego, a współpracownikiem warszawskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych Mieczysławem Tomalą. Na początek grudnia zapowiedziana była dyskusja w radio kolońskim (Westdeutscher Rundfunk) na temat granicy na Odrze i Nysie pomiędzy znanym rzecznikiem zbliżenia do Polski, profesorem Carlo Schmidem, a dyrektorem monachijskiego Instytutu Wschodnio-Europejskiego profesorem Hans Kochem. Dyskusja ta oczekiwana była z tym większym zainteresowaniem, że Carlo Schmid był jednym z pierwszych Niemców, który w październiku 1956 r. wypowiedział się za realistycznym podejściem do problemu granicy. Profesor Koch natomiast reprezentuje oficjalną tezę rządową o niewygasłych prawach Niemiec do granic z roku 1937. Wymiana poglądów obu wybitnych uczonych i polityków zapowiadała się także dlatego ciekawie, że jeden z rozmówców, profesor Schmid, urodził się w Perpignan z matki Francuzki, drugi z nich, profesor Koch, urodził się we Lwowie. Niestety, dyskusja ta została z bliżej nieznanych powodów odwołana. Widocznie sytuacja nie dojrzała jeszcze psychicznie tak dalece, by dwaj Niemcy publicznie mogli dyskutować w radio niemieckim tak delikatną dla opinii publicznej sprawę problemu granicy na Odrze i Nysie. Rewizjoniści z kół uchodźców wywierają widocznie nadal potężny terror psychiczny.

Jednym z ośrodków niemieckich, starających się podtrzymywać dyskusję w sprawach polsko-niemieckich i sączyć różnymi kanałami w głowy zwłaszcza młodszej generacji niemieckiej konieczność przekreślenia przeszłości i zbudowania przyszłego sąsiedztwa polsko-niemieckiego na nowych podstawach, pozbawionych pierwiastków podboju i wszystkiego tego, co się mieści w pojęciu „Drang nach Osten" — jest niemiecka „Europa-Union". Jest to organizacja społeczna, należąca do Związku Federalistów Europejskich, propagująca wśród Niemców konieczność zjednoczenia Europy i rozpowszechniająca na każdym kroku ideę europejską. Zarówno centralne jak i krajowe organy „Europa-Union" poświęcają w ostatnim czasie sprawom polskim dużo uwagi. Szczególną ruchliwość wykazuje w tym kierunku berliński oddział „Europa-Union", który od przeszło roku organizuje w Berlinie różnorodne konferencje, na których co najmniej jeden dzień każdego spotkania poświęcony jest omawianiu spraw polskich. Na przestrzeni ostatnich miesięcy odbyły się tego rodzaju spotkania dla nauczycieli historii zachodnio-niemieckich szkół średnich, dla działaczy powiatowych „Europa-Union", ostatnio dla studentów i uczniów szkół średnich, będących redaktorami gazet studenckich lub szkolnych.

Na ostatnim z tych spotkań Karl Heinz Koppe z Bonn wygłosił na temat „Niemcy i Polska" nader ciekawy referat. Koppe jest redaktorem tygodnika „Europa-Union", wydawanego w Bonn przez organizację tej samej nazwy, jest przedstawicielem młodszej generacji niemieckiej (ma lat około 28), pochodzi z Wrocławia i miasto to opuścił dwanaście lat temu. W roku bieżącym odwiedził Polskę i „miasto swojej matki", która jest pochodzenia polskiego. Ogólne wrażenia jego z pobytu w Polsce i poglądy na temat możliwości zbliżenia się obu narodów są wyraźnie optymistyczne. W referacie swoim podkreślił Koppe konieczność wyrównania spraw polsko-niemieckich podobnie, jak wyrównane zostały sprawy niemiecko-

francuskie. Dopiero wygładzona oś Francja-Niemcy-Polska stwarzać może warunki dla pełnego realizowania idei europejskiej. Koppe zastrzegł się przy tym, że nie należy wyobrażać sobie, by tego rodzaju wyrównanie mogło automatycznie pociągnąć za sobą rozwiązanie problemu byłych niemieckich ziem wschodnich na wzór Saary, jak to głosi znany nacjonalista z Saary dr Schneider, od którego koncepcji „wielko-niemieckich“ Koppe wyraźnie się odciął. Praktyczna polityka dzisiejszych Niemiec w stosunku do Polski musi uwzględniać bezsporny fakt, że Polska pamięta jeszcze bolesną przeszłość niemiecką i że Polska boi się niemieckiego militaryzmu i rewanżu. Osobiście nie uważa Koppe, by obawy te były obiektywnie uzasadnione. Ale istotnym dla oceny rzeczywistości polskiej jest fakt istnienia strachu przed Niemcami. Polityka niemiecka, jeśli chce być skuteczna, musi się z faktem tym liczyć i unikać wszystkiego, co w mniemaniu polskim poczucie strachu uzasadnia czy zgoła potęguje.

Z tego powodu należy zdaniem Koppego wyeliminować z dyskusji problem granicy. Problem ten nie jest w chwili obecnej i tak do rozwiązania. Nie bez znaczenia dla przyszłości ziem położonych na wschód od Odry i Nysy jest fakt, że na ziemiach tych mieszka ponad 7 milionów Polaków, że ziemie te są zagospodarowane, jakkolwiek poziom gospodarki jest niższy aniżeli przed wojną, i że młoda generacja uchodźców niemieckich została zasymilowana w zachodnich Niemczech i nie zdradza tendencji do powrotu i że wreszcie w dzisiejszej koniunkturze rynek pracy zachodnich Niemiec posiada raczej brak rąk do pracy. Koppe przestrzega wprawdzie przed upraszczaniem problemu granicznego przez pocieszanie się, że w zjednoczonej Europie granice będą nieważne. Chodzi mu raczej o wytworzenie takiej atmosfery przyszłej współpracy, by spory graniczne — nawet jeśli będą istniały w przyszłości, miały nie inne znaczenie, jak w dzisiejszej republice federalnej granice np. Bawarii czy Oldenburga. Współpraca zwłaszcza gospodarcza wytworzyć może w przyszłości warunki, umożliwiające osiedlanie się ludności obu narodów po obu stronach granicy, a odpowiednie ustawodawstwo europejskie gwarantować winno każdemu zasadnicze prawa „mniejszościowe“. Po kilku latach — jak wydaje się referentowi — lub po kilku generacjach — jak twierdził jeden z dyskutantów — wytworzyć się może atmosfera, która pozwoli na podjęcie dyskusji na temat „korektur granicznych“ w postaci np. usunięcia takich anomalii jak fakt, że miasta Zgorzelec lub Frankfurt są przez granicę podzielone lub że ujście Odry jest odcięte od niemieckiego zaplecza.

Sprawa granicy nie może zdaniem Koppego w żadnym razie dominować na wokandzie spraw, wymagających dyskusji, odsunięta być winna na później i wówczas rozpatrywana w płaszczyźnie „europejskiej“, w duchu kooperacji i zdrowego rozsądku ludzkiego. W tej chwili należy przede wszystkim dążyć do wzajemnego zbliżenia się, do nawiązywania jak najwięcej kontaktów osobistych i tym sposobem stwarzać klimat sprzyjający odprężeniu zatrutej atmosfery. Ważnym czynnikiem, mogącym ułatwić odprężenie, jest sprawa pomocy gospodarczej. Koppe wypowiada się za pomocą dla Polski, szczególnie dla polskiego przemysłu węglowego, zwracając jednak uwagę na połączone z tym ryzyko polityczne i finansowe. Mimo ryzyka należałoby jednak popierać Polskę ekonomicznie i tym samym utrwalać zdobycze październikowe. Atmosferę strachu przed Niemcami należy przełamywać przez konkretne czyny, które by świadczyły o dobrej woli Niemiec w stosunku do Polski.

Referat uzupełniony został dyskusją, w której brali udział prawie wszyscy uczestnicy, redaktorzy prasy młodzieżowej. Rzecz znamienna dla nastrojów zwłaszcza młodego pokolenia niemieckiego, że żaden z uczestników nie zaatakował mówcy za jego — jak na stosunki niemieckie — niewątpliwie śmiałe koncepcje. Przeciwnie, wszystkie głosy szły po linii referenta, przy czym szczególna jedność panowała co do oceny postawy młodej generacji uchodźców niemieckich, którzy czują się na zachodzie zaaklimatyzowani i na wschód nigdy nie powrócą. Dodać jeszcze należy, że wśród uczestników konferencji byli także uchodźcy z Ziem Odzyskanych, których stanowisko niczym nie odbiegało od poglądów ich kolegów pochodzących z zachodu.

„Europeizacja“ czy „europejskie“ rozwiązanie spraw spornych ma w uszach polskich raczej zły wydźwięk. „Europejskie“ rozwiązania nasuwają nam natychmiast smętne reminiscencje Naumannowskiej „Mitteleuropa“, propagowanej przez czołowego liberała niemieckiego w czasie pierwszej wojny światowej, przewidującej „zjednoczenie“ środkowej Europy pod niedwuznaczną hegemonią niemiecką. Również i Hitler dążył do stworzenia „Deutsch-Europa“ i tym dążeniem uzasadniał m.in. swoje podboje Europy. Z tego powodu inicjatywy niemieckie operujące pojęciem „europejskiego“ rozwiązania budzą wśród nas zrozumiałe wątpliwości. Wywody Koppa nie pozostawiały jednak żadnej wątpliwości co do szczerości jego intencji europejskich. Tylko lojalny „partnership“, całkowita równość wszystkich uczestników wspólnoty europejskiej, wyeliminowanie wszystkich pierwiastków niemieckiej nadrzędności stanowić mogą platformę skutecznego zjednoczenia Europy.

St. Czechanowski

UCZELNIA WALKI Z DOKTRYNĄ KOMUNISTYCZNĄ

(Od korespondenta własnego z Berlina)

Zakres niemieckich zainteresowań dla spraw Wschodu zwiększa się coraz bardziej. Do licznych, od lat już istniejących w zachodnich Niemczech instytutów lub stowarzyszeń, zajmujących się poszczególnymi odcinkami problemu wschodnioeuropejskiego, przybyły ostatnio trzy nowe: w Monachium — **Instytut Prawa Wschodnio-Europejskiego,** przy wydziale teologii ewangelickiej w Monasterze **Instytut dla spraw Kościoła Wschodniego** i w Kolonii **„Ost-Kolleg“**, rodzaj studium spraw komunistycznych.

College koloński jest instytucją państwową, prowadzoną i finansowaną przez t.zw. „Bundeszentrale des Heimatdienstes“, organizację, podlegającą federalnemu ministerstwu spraw wewnętrznych, mającą na celu wychowywanie obywateli niemieckich w duchu demokratycznym. Działalność niemieckiego „Heimatdienstu“ koncentrowała się w dużym stopniu dookoła niebezpieczeństwa komunistycznego. Poprzez wydawnictwa, wykłady i kursy usiłowano uodpornić społeczeństwo niemieckie przeciwko zatruwaniu jego mentalności doktryną komunistyczną. Powstały obecnie „Ost-Kolleg“ chce elicie intelektualnej Niemiec, działaczom społeczno-politycznym, urzędnikom i dziennikarzom dać coś więcej w tej mierze, a mianowicie, na stałych kursach prowadzonych na poziomie akademickim pragnie ułatwić tej części społeczeństwa poznanie założeń ideologicznych, ekonomicznych i socjologicznych marksizmu i leninizmu i dostarczyć pożywki intelektualnej dla skutecznego rozprawienia się z dialektyką materialistyczną. Kierownictwo college'u podkreśla ze szczególnym naciskiem, że studium kolońskie nie jest ani instytutem badawczym, ani nie ma zamiaru uprawiać propagandy antykomunistycznej. College chce być uczelnią o poziomie akademickim, wskazującą słuchaczom drogi i sposoby zwalczania obcego światopoglądu. Innymi słowy: „Ost-Kolleg“ jest pierwszą w zachodnich Niemczech szkołą antykomunistyczną na poziomie naukowym.

Poziom uczelni gwarantować ma jedenastoosobowe „dyrektorium naukowe“, złożone z najwybitniejszych historyków, filozofów, socjologów i ekonomistów, ekspertów doktryny komunistycznej. W skład dyrektorium wchodzą: znawca Kościoła wschodniego profesor Koch (dyrektor instytutu wschodnio-europejskiego w Monachium), profesor Lieber z Berlina, profesor Markert z Tubingi, dyrektor tamtejszego instytutu historii wschodnio-europejskiej, profesor von Mende z Düsseldorfu, profesor Philipp, historyk z Berlina, profesor Rauch z Marburga, profesor Raupach z Wilhemshaven, profesor Rhode, znany historyk, znawca historii wschodnio-europejskiej, autor niedawno wydanej książki o polskiej granicy

wschodniej, profesor Stoeckle z Kolonii i profesor Thalheim z Berlina (ekonomista).

W skład dyrektorium wchodzi także Polak, wybitny filozof i znawca doktryny materialistycznej, profesor Uniwersytetu w Fryburgu o. profesor Bocheński. Kierownictwo uczelni ceni sobie szczególnie wysoko współpracę ojca Bocheńskiego, cieszącego się niepowszednim autorytetem w niemieckich kołach naukowych. Dyrektorium ma wybieranego co rok przewodniczącego, którym na rok 1957/8 został profesor Lieber z Berlina. Obok wymienionych profesorów którzy dojeżdżają z wykładami na poszczególne kursy, studium posiada trzech stałych docentów: dr. Wildenmanna (socjologa), dr. Muellera (filozofa) i dr. Ruttmana (historyka). Dr. Wildenmann jest jednocześnie urzędującym dyrektorem college). Ponadto zaprasza się jeszcze od wypadku do wypadku wykładowców spoza grona stałych profesorów uczelni. Przewidziani są w charakterze zapraszanych wykładowców nie tylko Niemcy, ale i uczeni innych narodowości, m.in. także emigranci z krajów bloku wschodniego, o ile są wybitnymi znawcami tematyki, będącej przedmiotem programu uczelni.

W ciągu roku przewiduje się odbycie około 30 kursów, trwających normalnie siedem dni. Każdy kurs przeznaczony jest dla innej kategorii słuchaczy, np. inny jest dla prawników, inny dla dziennikarzy, nauczycieli, urzędników państwowych, działaczy społecznych itp. Słuchacze mieszkają w pięknie i nowocześnie urządzonym gmachu, położonym na peryferiach Kolonii, w którym pomieszczone są jednocześnie sale wykładowe, seminaryjne, biblioteka itp. Koszty pobytu i utrzymania kursistów pokrywa sam college, t.zn. „Heimatdienst", względnie skarb państwa. Inauguracyjny kurs odbył się pod koniec listopada ub.r.

„Ost-Kolleg" jest pierwszą tego rodzaju uczelnią niemiecką, stworzoną dla pogłębienia znajomości marksizmu i dostarczenia intelektualnej zaprawy dla skutecznego zwalczania go. Instytucja ta wzorowana jest na podobnych instytucjach amerykańskich a prawzorem jej (o odwróconych oczywiście zadaniach) jest chyba słynna Akademia Komunistyczna w Leningradzie, będąca ideologiczną szkołą dla wyższych działaczy partyjnych. Powstanie „Ost-Kolleg" świadczy o tym, że rząd w Bonn usiłuje zwalczać niebezpieczeństwo komunistyczne nie tylko przez płytką akcję propagandową i odpowiednią politykę, ale przede wszystkim przez poważne podejście naukowe. Tym też różni się instytucja kolońska od innych podobnych instytucji wschodnich, istniejących w Niemczech a mających cele propagandowe i praktyczno-polityczne na oku. Polska, ani nawet wschodnia strefa Niemiec, nie stanowią uprzywilejowanego problemu w programie uczelni. Chodzi wyłącznie o zasadnicze rozprawianie się z doktryną marksizmu i leninizmu i wszystkimi jej założeniami. „Ost-Kolleg" jest instytucją rządową i nie ma charakteru partyjno-politycznego, nie jest np. imprezą Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej. Zgodę na powstanie tej instytucji dały wszystkie stronnictwa polityczne Niemieckiej Republiki Federalnej, a budżet jej uchwalony został przez komisję budżetową parlamentu — jednogłośnie.

St. Cz.

NOTATKI

„PAS NEUTRALNY"

Dyskusje dokoła sprawy neutralizacji (w różnym zakresie) obszarów stykowych między Zachodem i Wschodem, nabierają na sile.

Do znanych głosów brytyjskich z Gaitskellem na czele, amerykańskich — przede wszystkim b. amb. Kennana, kanadyjskich, irlandzkich, polskich, niemieckiej opozycji — dołączają nowe.

Denis Healey, poseł z Labour Party, w swojej broszurze pt. „A neutral belt in Europe?" daje staranną analizę problemu „pasa neutralnego", w którym widzi „cenny plan próbny w dążeniu do nowego porządku międzynarodowego". Obszar zneutralizowany winien objąć Niemcy (zjednoczone), Polskę, Czechosłowację i Węgry oraz te kraje, co do których zgodzą się Sowiety i NATO. Zneutralizowane państwa zachowają określone siły zbrojne „konwencjonalne", a objęte zostałyby ogólnym systemem inspekcji. Groźba użycia taktycznych broni atomowych przez mocarstwa ościenne, będzie czynnikiem hamującym stronę, która by chciała naruszać ustalony porządek. Cenę przetargową dla Sowietów widzi Healey w zneutralizowaniu (zwłaszcza atomowym) Niemiec. — Autor dopowiada w dyskusji z krytykami: „...Wszystkie ryzyka, które dostrzegacie w próbie rozsunięcia frontów (disengagement), istnieją przynajmniej w równym stopniu w obecnej sytuacji. Ale status quo zawiera ziarna jeszcze groźniejszych niebezpieczeństw, przede wszystkim zaś niekontrolowanego rozpowszechnienia broni atomowej i pocisków kierowanych..."

Bertrand Russell pisze (Observer, 5.1.58): „...Postęp dalekosiężny w kierunku trwałego porozumienia wynikłby z przyjęcia planu pasa neutralnego, według propozycji i przekonywującej argumentacji p. George Kennana... Jeśliby (taki obszar) miał spełnić swoje zadanie, musiałby być uwolniony od wszelkich obcych sił zbrojnych i zobowiązany do neutralności... Chciałbym, by objął on całe Niemcy jak również Polskę, Czechosłowację i Węgry... Takie rozwiązanie spowodowałoby uszczerbek dla Rosji, przez wyzwolenie niechętnych jej satelitów, ale i uszczerbek dla Zachodu przez wyrzeczenie się wyrzutni pociskowych położonych blisko terytoriów bloku komunistycznego. Można założyć, że straty te będą się równoważyły..."

Richard Goold-Adams wskazuje (S. Times, 5. 1.) na zmianę „znaczenia obecności wojsk amerykańskich w Niemczech. 1.500-milowe pociski będą równie skuteczne, gdy się je wystrzeli z Holandii, Włoch, Wielkiej Brytanii czy Turcji..." Dalej podkreśla, że dufność Rosji we własne siły (równoważone jednak siłą Zachodu) usuwa te trudności w dojściu do porozumienia, jakie występowały w okresie „maniackiej sowieckiej obawy przed okrążeniem..."

Poseł konserwatywny, **Robert Boothby**, działacz europejski, przypomina (Daily Telegraph, 10. 1.), że „ludy krajów ujarzmionych (którym coś jednak jesteśmy winni) tęsknią przede wszystkim za tym, by wojska rosyjskie odeszły na zawsze, a ich odejście wraz z wycofaniem się wojsk amerykańskich i brytyjskich musi spowodować spadek napięcia..." Twierdzi, że warto spróbować rokowań: „...w dziedzinie politycznej neutralizacja Europy Środkowej; w dziedzinie wojskowej — rozsunięcie frontów; w dziedzinie gospodarczej — rozwój handlu między Wschodem i Zachodem, — oto jedyne obecnie kierunki działania rokujące nadzieję..."

Marszałek lotnictwa Slessor dowodzi (S. Times, 12. 1.) wartości wojskowej i politycznej koncepcji „szerokiego pasa państw od Bałtyku do Morza Czarnego, wyłączonych z frontów, jak Szwecja czy Jugosławia". Nawet jeżeli to „próżne marzenia", należy Sowiety „postawić wobec testu"...

L I S T Y

Sowiety zasypują Zachód listami. Dziwne to listy, które — zanim dojdą do adresata — już są ogłaszane przez radio; nadawca — nie czekając na odpowiedź — wysyła listy następne. Ta swoista technika podkreśla charakter propagandowy i... dywersyjny korespondencji z Kremla.

Elementem propagandy jest zręczna kombinacja deklamacji (niekonkretnej) o pokoju i rozbrojeniu oraz gróźb (konkretnych) i propozycji w tonie ultimatywnym. Ciekawe są różnice tonu i nawet treści w listach do różnych państw-członków Zachodniego Przymierza, jak np. propozycja osobnego pokoju o nieagresji skierowana do Francji.

Przykładem dywersji jest ostatni list Bułganina, proponujący gigantyczną konferencję szefów państw, który został tak wycelowany, że odwrócił uwagę od interesującego przemówienia dorocznego — prezydenta Stanów Zjednoczonych („state of the Union"). Manewr uderzył w konkretne propozycje, dotyczące z jednej strony umocnienia i pogłębienia współpracy wolnych narodów (pomoc gospodarcza; rozwój handlu; współpraca naukowa i techniczna), a z drugiej, zmierzające do uzyskania od Sowietów „czynów a nie słów" (m. in. przez godne specjalnej uwagi zaproszenie do udziału w wielkim, ogólnoświatowym planie 5-cioletniej, wspólnie prowadzonej kampanii przeciwko malarii, rakowi i chorobom sercowym).

Odpowiedź prezydenta Eisenhowera Bułganinowi odbija korzystnie od poprzednich defensywnych i negatywnych reakcji amerykańskich. Prezydent stępił demagogiczne ostrze propozycji sowieckich, wysuwając sam dwie inne: wyrzeczenie się eksperymentów zbrojeniowych w przestrzeni międzyplanetarnej i wyrzeczenie się prawa veta w Radzie Bezpieczeństwa ONZ! Natomiast, nie sprzeciwiając się rozmowom, zażądał uprzedniego ich przygotowania, pod hasłem dążenia nie do efektów propagandowych, ale do wyników, to znaczy do porozumienia. — Nawet b. prezydent Truman pochwalił swego następcę.

Zachód nie powinien pozwolić Związkowi Sowieckiemu na sięganie po monopol gotowości do rokowań, tym bardziej, że zachodnie rządy i społeczeństwa szczerze dążą do rozwiązań pokojowych. Ale, godząc się na rokowania, mocarstwa zachodnie muszą wystrzegać się „jałtańskich złudzeń", muszą także pamiętać o zobowiązaniach wobec sprawy sprawiedliwego pokoju w interesie własnym i o zobowiązaniach wobec innych, m. in. w odniesieniu do obszaru Europy Środkowo-Wschodniej. Polityka sowiecka usilnie stara się odwracać uwagę od tego obszaru i tym samym podkreśla jego znaczenie, europejskie i światowe.

ŻYCIE KULTURALNE

PATRON LITERATÓW I DZIENNIKARZY

Napisał MICHAŁ SAMBOR

Zdumiewające, jak świetnie pisała większość świętych! I jak często Święci imali się pióra, ile pozostawili nam, jeśli już nie dzieł, to bodaj listów, kazań, modlitw, wyznań, pamiętników, notatek. Nie mniej godny zastanowienia jest inny fakt: żaden z największych pisarzy świata, tej rangi co Dante, Szekspir, Molier czy Goethe nie był Świętym, ba, życie większości geniuszów literackich dalekie było od przykładności, a charaktery od zacności.

Święci, nawet ci, którym — jak, powiedzmy, Świętej Teresie od Dzieciątka Jezus — brak było tego, co w ich czasach uchodziło za kulturę literacką, z dwu zapewne powodów władali piórem tak celnie, dobitnie i śmiało, że w kozi róg zapędzają wielu renomowanych literatów. Świętość dała im dwie rzeczy, dla piszącego bezcenne: po pierwsze, niezrównaną siłę przekonania, po drugie umiejętność zapominania o sobie. Bez tej umiejętności nieosiągalna jest najwyższa zaleta pióra: prostota. Najwięksi pisarze świata byli w życiu bardzo często potwornymi egocentrykami, ale ich najlepsze karty powstawały zawsze wtedy, gdy opętani swą wizją, „wychodzili z siebie", „przechodzili samych siebie", zapominali o sobie.

Opętani swą wizją... Tu, być może, jest przyczyna, dla której Święci bywali wielkimi pisarzami, ale nie największymi. Bo Święty, **ex definitione**, nie daje się opętać **swojej**, własnej, indywidualnej wizji **estetycznej**. Mimo ogromnej nieraz czułości dla piękna i mimo swej potężnej indywidualności, Święty musi obierać lepszą cząstkę — prawdę, a swego „ja" nie może wywyższać, bo o to mu przecież idzie, aby „dusze swoją stracić", czyli **zyskać**. Sainte-Beuve nazywa Świętego Franciszka Salezego „łagodnym i pełnym wdzięku łabędziem". Szekspir wprawdzie nosi ten sam przydomek — „łabędź Awonu", ale i on, i Molier, i Racine, i Balzac, i Mickiewicz, i Tołstoj, i Dostojewski, i wszyscy bajecznie kolorowi najwięksi twórcy mają w sobie coś z... pawia: pawią tęczowość, pawią namiętność, odrobinę chociaż pawiej próżności... **Jury** niebieskie stawia chyba najwyżej karty, które wyszły spod niepokalanie białych piór łabędzich, ale w nas, na tym padole, nie budzą one wzruszeń tak silnych jak owe genialne, krwiste dzieła literatury pięknej, gdzie pasja twórcza ściera się z miłością Bożą a żywiołowa wyobraźnia z mądrością.

Encyklika Ojca św. Piusa XII „Rerum omnium perturbationem", wydana na trzechsetlecie „przejścia" Świętego Franciszka Salezego („przejściem" — z doczesności do wieczności — nazywał on śmierć) zatwierdza go w roli, już dawniej mu przypisywanej, patrona pisarzy i dziennikarzy. Urodzony w r. 1567, w cztery lata po soborze trydenckim a w trzy po zgonie Kalwina, wielki Święty tak zwanej kontrreformacji, autor „Wprowadzenia do życia pobożnego" znanego także pod tytułem „Filotea", i „Traktatu o miłości Bożej" („Teotym"), doktór Kościoła, biskup (genewski) i wyznawca, był pisarzem niemałej miary. Czy był największym pisarzem pośród Świętych i największym Świętym wśród pisarzy?

Długo by się o to można spierać — i bezowocnie. Na pewno poetą większym od Salezjusza był św. Jan od Krzyża, niewątpliwie w dorobku autora „Filotei" nie ma dzieła, które by się mogło równać z „Wyznaniami" Św. Augustyna. Z drugiej strony żadna chyba literatura nowożytna, narodowa, nie zawdzięcza żadnemu innemu świętemu pisarzowi tyle, ile Św. Franciszkowi, najświetniejsza bodajże literatura świata: francuska.

W jego ojczyźnie (językowej, bo polityczną było udzielne wówczas księstwo Sabaudii) historia literatury i krytyka już od dawna zalicza go do ojców prozy francuskiej, do tego małego grona arcystylistów, którzy zrobili z francuszczyzny język najgiętszy z giętkich, zdolny do wyrażenia wszystkiego, co pomyśli głowa, i to nie byle jaka, bo francuska! To on, nie mniej niż Montaigne, prostował ścieżki na przyjście złotego wieku literatury francuskiej. Jego eksperymenty w tworzeniu mowy potocznej, a nie rubasznej i — mniej szczęśliwe — wytwornej bez „wytwornisiostwa" (préciosité), jego subtelny humor torowały drogę Molierowi. Jego dar aforyzmu i epigramu zapowiadał „Myśli" Pascala i „Maksymy" La Rochefoucaulda. Jako psycholog i charakterolog patronuje La Bruyère'owi. Jako autor listów, które składają się na wiele grubych tomów — pani de Sévigné, nawiasem mówiąc wnuczce świętej przyjaciółki Franciszka, pani de Chantal (Świętej Joanny de Chantal). Wpływ jego na Bossueta i zwłaszcza Fénelona jest w historii literatury francuskiej takim już komunałem, jak u nas wpływ romantyków na Wyspiańskiego.

W czasie pracy nad książką o Św. Franciszku Salezym spotykałem się często u znajomych rodaków — nieraz znacznie lepiej ode mnie wykształconych — z całkowitą ignorancją na temat Świętego i jego roli w literaturze. Mieszano go już nie tylko ze Św. Franciszkiem Ksawerym, ale wręcz ze Świętym Franciszkiem z Asyżu. A gdy mówiłem, że to jeden z czołowych pisarzy francuskich, patrzono na mnie z niedowierzaniem. Jest to niewątpliwie sprawka nieodżałowanego Boya, który dla większości ludzi naszego pokolenia był, jeśli nie jedynym, to głównym przewodnikiem po piśmiennictwie Francji. A Boyowi — nawet ludzie jego kalibru mają swoje ograniczenia — Francja Ludwika XIV i następnych przysłaniała Francję Ludwika Świętego, panie swawolne Świętą Joannę d'Arc, Diderot, Wolter, Balzac czy Proust Salezego, Bossueta, Fénelona czy Péguy. Także charakterystyczny jest tytuł szkiców Boya o literaturze francuskiej: „Mózg i płeć"! A przecież słowo „ésprit" znaczy nie tylko „dowcip", ale i „duch" w najbardziej religijnym sensie. Duch Francji zawsze mieszkał nie tylko w salonach, ale i w klasztorach.

Porównanie Św. Franciszka Salezego jako autora z górującymi nad nim świętymi pisarzami, jak — wspomniani — Św. Augustyn i Św. Jan od Krzyża, jak — można dodać — Św. Teresa Wielka, autor „Naśladowania", Św. Bernard czy, sięgając jeszcze głębiej, Św. Paweł, pozwoli odkryć dalsze jego tytuły do patronatu nad pisarzami i dziennikarzami. Współczesne pojęcie **pisarza** zawiera bowiem pewne składniki, które u Św. Franciszka Salezego występują o wiele mocniej i pełniej niż u jego większych kolegów po aureoli i po piórze.

W pisarstwie widzimy dzisiaj, bardziej niż w wielu innych czasach, sztukę. Sztukę słowa. Nawet — rzemiosło, którego tworzywem jest słowo. Uznając teoretycznie, że wielkie napięcie sił duchowych i wielkie przeżycia mogą pozwolić „niefachowemu" pisarzowi na wstrząsający utwór, praktycznie nie wyobrażamy sobie pisarza bez wypracowanej formy. Pisarstwa bez świadomego artyzmu. Pod tym względem Św. Franciszek najbliższy jest dzisiejszym wielkościom literackim. Mógłby brać udział we współczesnych dyskusjach literackich o „formie", „chwytach", stylu i języku. Inna rzecz, że nieraz musiałby się uśmiechnąć z dobrotliwym politowaniem. Trudno sobie wyobrazić Św. Bernarda jako laureata Nobla czy członka Akademii Francuskiej. Św. Franciszka można. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że na lat 28 przed powstaniem Akademii Francuskiej założył on w Sabaudii, na wzór włoski, akademię, którą nazwał Akademią Florimontańską.

Pisarstwo jest dzisiaj zawodem. Rzadko popłatnym niestety, ale zawodem. Św. Franciszek Salezy był, oczywiście, biskupem, nie zawodowym literatem. W przeciwieństwie do Ignacego Krasickiego był na pewno bardziej biskupem niż pisarzem. Niemniej jednak żyjąc w czasach, gdy z wynalazku druku zrodził się już przemysł wydawniczy, jest bardziej niż inni pisarze święci podobny do współczesnych pracowników tego przemysłu, do literatów. Pisał „do druku", dbał o czytel-

nika, a nawet mu „dogadzał" (w formie, nigdy w treści!), ba, pobierał honoraria autorskie i w „Filotei" stworzył to, co dziś nazywamy **best-sellerem**.

Najwięksi pisarze wśród Świętych, to mistycy. Głównym motywem ich twórczości — tak obcym dla literatów dzisiejszych — jest chęć utrwalenia w słowach tej wiedzy tajemnej i niewyrażalnej, którą zdobyli w kontemplacji. Stąd tyle u nich stron prywatnych, ciemnych, jakby szyfrem pisanych, nawet u Św. Pawła, który przecież pisał po to, by nauczać. Czy Św. Franciszek Salezy był mistykiem? Teologia mistyczna jest jego zasadniczym tematem, ale o tym, czy opierał się tu nie tylko na świadectwach, lecz i na własnych przeżyciach duchowych, milczy z czarującą dyskrecją. Z dyskrecją, która zresztą zdaje się potwierdzać przypuszczenie, że znajome mu były szczyty, o jakich pokora nie pozwalała mu mówić.

Dalsze motywy pisarskiej twórczości Świętych, to poszukiwanie prawdy i powołanie kaznodziejsko-nauczycielskie. Pierwsze daje pisarzy-filozofów, drugie pisarzy-moralistów. Pierwszy, a tym bardziej drugi motyw grał u Św. Franciszka Salezego znaczną rolę. Był on tęgim filozofem, który nie tylko dobrze znał swego Doktora Anielskiego, ale umiał go uzupełniać, by nie rzec poprawiać. Był przewodnikiem duchowym, moralistą i kaznodzieją bardziej niż czymkolwiek innym. W tej właśnie dziedzinie miał jednak w sobie coś już nawet nie z literata, ale z dziennikarza. Nie darmo jest zarazem patronem dziennikarzy.

Filozof docieka. Nauczyciel uczy. Kaznodzieja porywa, nierzadko gromi. Robiąc to wszystko — i jak! — Św. Franciszek troszczy się jeszcze o to, co jest, a w każdym razie powinno być główną troską dziennikarza. Poznawszy prawdę, usiłuje ją jeszcze wyjaśnić, sprecyzować tak wyraźnie, aby była w pełni komunikatywna. (W tym modnym słowie „komunikatywny" dźwięczy ten sam rdzeń co w Komunii św.). Ucząc, nie tylko dba o przekazanie swojej wiedzy, ale stosuje przy tym metody, które dziś uważa się za ultra-nowoczesną, postępową pedagogię. Wychowuje czytelnika, wciąga go do współpracy, zabiega o jego względy, pragnie go zająć, a nawet zabawić. Jako kaznodzieja i przewodnik duchowy porywa i prowadzi, ale zaczyna od zjednywania i przekonywania. Zachęca, popularyzuje, ułatwia. W przeciwieństwie zresztą do współczesnych dziennikarzy ułatwia rzeczy bardzo trudne, a nie z rzeczy łatwych robi jeszcze łatwiejsze. Popularyzuje — nie dla osobistej popularności.

Korzenie tego „dziennikarskiego" nastawienia Św. Franciszka są — rzecz prosta — bardzo głęboko. Czerpią one soki z tak wszechstronnie przezeń opracowanej teorii tej cnoty, która po francusku nazywa się **douceur** i jest połączeniem łagodności, słodyczy i nieskwapliwości. Komu ta ostatnia, nieco archaiczna nazwa niewiele mówi, niech łaskawie przeczyta, co o nieskwapliwości pisze Ks. Prymas Wyszyński w swym „Duchu pracy ludzkiej". „Tout dans la vie doit se mener par douceur, rien forcément — powiada Św. Franciszek. „Il faut attirer les âmes, mais à la manière des parfums, c'est-à-dire suavement." (Wszystko w życiu powinno się robić łagodnością, nic przymusem. Dusze trzeba przyciągać, ale na sposób, w jaki przyciągają perfumy, to znaczy słodko.)

Jeśli komuś się zdaje, że głównym zadaniem dziennikarza nie jest wyjaśniać, zajmować, uczyć bawiąc i popularyzując, pouczać i przewodzić przekonywując, ale podawać aktualne wiadomości, nowiny i sensacje, ten miesza zadania z tworzywem. Materiałem, tworzywem dziennikarza są oczywiście nowiny. Ale tylko materiałem, nie powołaniem.

Patron dziennikarzy nie był naturalnie zawodowym dziennikarzem, tak jak nie był zawodowym pisarzem. Jego naczelnym celem jako pisarza nie było więc tworzenie pięknych dzieł, ale uwielbienie „piękności odwiecznej i wieczyście nowej". Jako „dziennikarz" mało zajmował się tym, co czytelnicy współczesnych gazet nazywają nowinami. Głosił nowinę odwieczną i wieczyście nową — Dobrą Nowinę.

Michał Sambor

HERMINIA NAGLEROWA

Napisał TYMON TERLECKI



Herminia Naglerowa zmarła 9 października 1957 r. w jednym z szpitali londyńskich po długiej chorobie , ale nagle i samotnie. Jest to śmierć znacząca. Znaczy ona wykruszanie się szeregów starszego pokolenia pisarskiego, pokolenia, które spotkało drugą niepodległość w wieku dojrzałym i kształtowało jej profil. W tym pokoleniu Naglerowa nie należała do osobowości prowadzących, narzucających ton, wyznaczających kierunek, ale liczyła się do pierwszego szeregu prozaików i zdobyła sobie trwałe miejsce w naszej prozie artystycznej ostatniego czterdziestolecia.

Pochodziła z żydowskiej rodziny ziemiańskiej, osiadłej we wschodniej Małopolsce, w pobliżu Brodów, i całkowicie spolszczonej. Żarliwa patriotka była przykładem całkowitej asymilacji, jednym z absolutnych tryumfów kultury polskiej. Pochodzenie Naglerowej było czymś tak zupełnie przezwyciężonym, tak nieważnym, że w niej samej i poza nią nie dochodziłoby ono do głosu, gdyby nie haniebne ciągoty rasistowskie, które wstrząsały naszym krajem na krótko przed wojną. Pamiętam ze wspólnego zasiadania w zarządzie warszawskiego Związku Literatów Polskich i w jury ostatniej lub przedostatniej jego nagrody literackiej, że Naglerowa odczuwała te sprawy dotkliwie jak najcięższą obelgę, odpowiadała oburzeniem i tak dla niej charakterystycznym namiętnym gniewem. We wspomnianym jury sprzeciwiła się stanowczo przyznaniu nagrody Karolowi Irzykowskiemu za niewinny artykuł o antysemityzmie, za utrzymywanie stosunków z bojowymi antysemitami. Starliśmy się wtedy gwałtownie i nie rozmawialiśmy ze sobą przez długi czas aż do wojny i powrotu Naglerowej z Rosji wojenną drogą przez Włochy. Na emigracji ten spór nigdy nie wyszedł na powierzchnię. Rzeczy do niedawna tak wstydliwe, bolesne i upokarzające straciły ostrość i jakikolwiek sens. Naglerowa była jedną z nas, była emigrantką z przekonania i do ostatecznej konsekwencji. Była Polką do dna i w każdym fibrze duszy.

Była kobietą wierzącą w sposób nie ostentacyjny, nie bigoteryjny. Nad jej łóżkiem wisiał do końca malutki obrazek przedstawiający pełną rzewnej słodyczy głowę Chrystusa z „Ostatniej Wieczerzy" Leonarda da Vinci i teraz znajduje się w moim posiadaniu. W ciężkiej chorobie serca, która ją nękała kilka ostatnich lat życia, w tajemniczej gorączce, która ją spalała przez ostatnie miesiące przed śmiercią, Naglerowa nie rozstawała się z modlitewnikiem. Buntowała się przeciw niemocy, starości, zbliżającej się śmierci, rozdzierającemu osamotnieniu. I jednocześnie w ciągu tych dni dojrzewała do chrześcijańskiej pokory. Umarła pogodzona z Bogiem. Ksiądz, który ją przygotowywał do przekroczenia progu między tym życiem i innym, świadczy, że dawno nie zdarzyło mu się spotkać z tak budującą postawą.

Naglerowa miała umysłowość nie błyskotliwą, ale wyjątkowo zrównoważoną. Zaczęła od poezji ogłoszonych pod pseudonimem

„Jan Stycz", ale równocześnie odbyła systematyczne studia uniwersyteckie w znakomitej szkole historyków lwowskich i uzyskała doktorat za pracę źródłową o wyprawie Zaliwskiego do Polski w roku 1833. Nie używała swego tytułu naukowego, ale zdobyta metoda, rozległa kultura historyczna znaczyła się na jej największym rozmiarami dziele „Krauzowie i inni". Jest to dzieło sztuki powieściopisarskiej, do którego realia zgromadził, krytycznie ocenił, celowo ustawił zawodowy historyk.

Do końca życia pozostała Naglerowa panią „z dobrego domu", dobrze wychowaną i wrażliwą na dobre formy towarzyskie. Była zaprzeczeniem bohemy, cygańskiego rozchełstania, niezdyscyplinowania społecznego. Była wzorową, głęboko przywiązaną żoną i utrata męża, Leona Naglera, w kaźni sowieckiej, stanowiła jedno z najboleśniejszych, nigdy całkowicie nie zaleczonych przeżyć osobistych. Ogołocona ze wszystkiego, z dostatku, w którym się wychowała, z zamożności pełnej smaku i kultury, która cechowała jej piękne mieszkanie przy ulicy Brzozowej na Starym Mieście w Warszawie, Naglerowa kupiła we Włoszech symboliczną obrączkę na miejsce utraconej w Rosji obrączki ślubnej. Znaleźliśmy ją wśród drobiazgów, ubogich klejnocików pozostawionych na ostatnim ziemskim postoju.

Była Naglerowa człowiekiem o ugruntowanym instynkcie gromadnym. W młodości pracowała jako dziennikarka i nauczycielka, później działała czynnie w różnych organizacjach kobiecych. Po zwolnieniu z sowieckiego obozu pracy przymusowej nie ubiegała się o przywileje należne jej z tytułu wieku, zasługi literackiej i pozycji społecznej. Wstąpiła do Pomocniczej Służby Kobiet i odbyła z nią całą drogę przez Bliski Wschód, Włochy, do Anglii. W ciągu tego czasu podejmowała rozmaite żmudne prace, stworzyła i prowadziła pismo „Ochotniczka", wybijające się ambicją redaktorską, poziomem literackim, bogactwem treści, szlachetnością tonu na jedno z pierwszych miejsc w olbrzymim czasopiśmiennictwie zrodzonym z ostatniej wojny.

Po wojnie Naglerowa z całą świadomością postanowiła nie wracać do Kraju. Brała udział w wielu pracach, inicjatywach i organizacjach emigracyjnych, ale najbliżej sprzęgła się ze Związkiem Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Weszła do jego zarządu zaraz po przyjeździe na wyspy brytyjskie i pozostawała w nim do śmierci. W ostatnich latach bezinteresownie i ofiarnie wzięła na siebie mozolne zadania redakcyjne. Zmagając się z chorobą, czując ubytek sił, przygotowała dwie książki zbiorowe: „Mickiewicz żywy" na setną rocznicę śmierci arcypoety i „Wyspiański żywy", która świeżo opuściła prasę dla upamiętnienia pięćdziesięciolecia zgonu pisarza do niedawna systematycznie przemilczanego w Kraju. Była autorką odkrywczego tytułu, który w tej chwili stanowi nazwę całej serii wydawnictw. W dwu opracowanych przez siebie zbiorach zgromadziła blisko 70 prac pisarzy emigracyjnych rozproszonych po całym globie. „Wyspiańskim" zajmowała się niemal do końca. Gdy z nią rozmawiałem ostatni raz, mówiliśmy głównie o tej książce. Słabnącymi rękami oddawała mi ją pod opiekę.

Ośrodkowym doświadczeniem życia Naglerowej stała się wojna, aresztowanie przez władze sowieckie we Lwowie, kilkunastomiesięczne śledztwo, bezprawny przewód sądowy i skazanie za błahe opowiadanie dla dzieci na osiem lat karnego łagru w Kazachstanie. Od jednego uderzenia Naglerowa straciła wszystko: ojczyznę, wolność, dom, najbliższego sobie człowieka i stanęła przed zagładą własnej osobowości. W najcięższej próbie dała swoją najpełniejszą miarę. Kobieta dobrze wychowana nie zatraciła swego stylu bycia w więziennym poniżeniu i w łachmaniarskiej nędzy „karłagru". Społecznica, stanowiła dla innych wzór hartu, równowagi duchowej, godności, humoru. Chrześcijanka i Polka odrzuciła ze wszystkim, raz na zawsze system i ustrój dopuszczający się takiej krzywdy narodu i takiego pohańbienia jednostki ludzkiej. Doświadczona pisarka pozostała otwarta na brutalne bodźce płynące z tej próby. Ona rozstrzygnęła o drugiej połowie życia Naglerowej i o jej śmierci. Ona uczyniła z niej pisarza wyznającego określony pogląd na świat. Ona wreszcie zaważyła na jej artyzmie w końcowej, najdojrzalszej formie rozwoju.

Sądzę, że właśnie z tej perspektywy, prowadzącej od bolesnej, wygnańczej śmierci do początków w wolnym Kraju, należy patrzeć na całe dokonanie artystyczne Naglerowej. W tej odwróconej perspektywie ukazuje się jasno waga i rola, miejsce i ranga pisarki.

W ostatnich latach Naglerowa pracowała nad dylogią, dwutomową powieścią rozgrywającą się prawie całkowicie w sowieckim więzieniu, ukazującą historyczne antecedencje tej więziennej sprawy i to co później nastąpiło. Dla tej całości ustaliła Naglerowa tytuł „Za zamkniętymi drzwiami". Tom pierwszy wyszedł w roku 1953 pt. „Sprawa Józefa Mosta". Nad drugim tomem nazwanym „Wierność życiu" pracowała prawie do końca, do wiosny ubiegłego roku, do śmierci siostry i własnej choroby, która miała się okazać metą ostateczną. Z tego tomu został maszynopis liczący 186 stron, ze stronicą 187 dwukrotnie odbitą i... pustą. Zamierzony dyptyk powieściowy nie doczekał się ukończenia, jest budowlą, której drugi łuk urywa się w połowie. Ale to nie zmienia faktu, że „Sprawa Józefa Mosta", stanowiąca samowystarczalną i artystycznie skończoną całość, jest bodaj największym osiągnięciem Naglerowej, być może jest jednym z największych dzieł prozatorskich całej polskiej literatury emigracyjnej naszego czasu, a chyba na pewno największym dziełem związanym z tematyką sowiecką.

Warto to podkreślić z naciskiem dlatego, że „Sprawa" nie ma ciągle dostępu do Kraju, że na wychodźstwie nie doczekała się takiej oceny, na jaką zasługuje. W wielkim dorobku sowietologicznym obejmującym około dwudziestu książek, wśród których są pamiętniki, relacje, dokumenty dyplomatyczne, ujęcia publicystyczne, zbiory wierszy, utwór Naglerowej jest jedyną prawdziwą powieścią, bo książka Czuchnowskiego „Tyfus a teraz słowiki" stoi na pograniczu liryki i lirycznej autobiografii. Naglerowa jedna jedyna spośród pisarzy, którzy przeszli przez piekło sowieckie, zdołała osiągnąć pełny dystans wobec własnych przeżyć i opisywanych zdarzeń, przetworzyć ten materiał w utwór artystyczny. To oddalenie, zerwanie pępowiny sprawiło, że ostatnia książka Naglerowej wydała się wczorajszym uczestnikom i współświadkom zbyt chłodna, „przenoszona", jak mówiono, ale właśnie ono rozstrzygnie o jej trwałości. Jest to trwałość nie tylko dokumentu, świadectwa, zeznania, ale trwałość samoistnego dzieła sztuki, żyjącego własnym życiem, dzieła, w którym fakty i doświadczenia oświetla i prześwietla na wskroś artyzm, w którym artyzm — jak mówił Conrad — „wymierza sprawiedliwość widzialnemu światu". Można by powiedzieć, że wymierza on również sprawiedliwość wnętrzu człowieka. Kilka lat temu Naglerowa w przysłanej mi notatce tak ujęła sens i ostateczny wydźwięk swojej powieści więziennej: „Człowiek pozbawiony wolności, ugnieciony przemocą, zagnębiony okrucieństwem — ujawnia się tak niespodzianie, że mimo nieodwracalnej katastrofy zwycięża pełnią, a nieraz nadwyżką swoich wartości".

„Sprawa Józefa Mosta" jest także kresem ewolucji formalnej. Sama autorka określiła ten punkt jako „odpatetycznienie formy i stylu". Rzeczywiście wydaje się, że w ostatniej powieści osiągnęła w najwyższej mierze ścisłe przystawanie formy do treści, doskonałą równowagę między tym o czym się mówi, a tym jak się mówi. Do tej mety prowadziła Naglerową droga okrężna, mozolna, pełna pomyłek i porażek.

Zamierzoną i w części tylko wykonaną dylogię poprzedziły dwie prace: zbiór nowel wydanych we Włoszech pt. „Ludzie sponiewierani" i cykl wspomnień „Rozmowy na śledztwie", które dotąd nie ukazały się w postaci książkowej. Zbiór nowel był odruchową reakcją na niedawne przeżycia, pierwszym ich porządkowaniem, rozładowywaniem świeżych urazów. Są wśród tych nowel utwory bliskie maniery przedwojennej, są takie jak opowiadanie „Chleb", osiągające najwyższą klasyczną prostotę i bezpośredniość wyrazu. Po wydaniu „Ludzi sponiewieranych" Naglerowa napisała jeszcze trzy nowele należące do tego kręgu, niektóre opracowała na nowo. Przed śmiercią wyraziła intencję, aby w pełnym składzie nosiły one tytuł „Kazachstańskie noce". Drugi zbiór („Rozmowy na śledztwie") był jakby pracą przygotowawczą do „Sprawy Józefa Mosta", relacją wprost, zeznaniem w pierwszej osobie o tych doświadczeniach, które w „Sprawie" staną się udziałem gromady ludzkiej, grupy kobiet zamkniętych w celi 46 i przeżywających w niej wspólny los. Oba te zbiory „Veritas" postanowił złączyć w jedną całość — co było gorącym pragnieniem zmarłej pisarki — i wprowadzić do swego planu wydawniczego na rok 1958. Będzie to książka właściwie całkiem nowa — przez to, że wejdą do niej nowe materiały i nowe opracowania, nowa również przez światło, jakie rzuca na nią późniejsza powieść, stanowiąca ostatnie słowo artystki.

Zajmowanie się tematem więzienno-łagierniczym Naglerowa odczuwała jako przymus wewnętrzny i uważała za moralny obowiązek. W obszernym szkicu „Komu i czemu służą" („Wiadomości" nr 521) wystąpiła jako teoretyk i kronikarz polskiej literatury o Sowietach. Jest to jednak dokument mówiący przede wszystkim o niej samej. Ona sama uważała to działanie za „legitymację dla pisarza polskiego na uchodźstwie", bo „tu na uchodźstwie mógł on i może powtarzać, drążyć, wszczepić się w temat jeszcze nie wyczerpany i niedocieczony w ludzkim sasięgu". Jej samej, jej twórczości powojennej dotyczy to uogólnienie: „Wszystkie polskie książki na temat sowiecki upominają się o człowieka, o każdego człowieka znoszącego to co jest nie do zniesienia. Wytrzymały i godny, spodlony i uległy, oporny, załamany — każdy należy do zespołu ludzkiego i nie wolno go się wyrzec, wyrzucić poza obręb człowieczeństwa". Ten nakaz moralny, społeczny i artystyczny spełniła przede wszystkim sama Naglerowa, spełniła tak jak nikt inny z Polaków piszących o gehennie sowieckiej.

Po drugiej stronie tego tragicznego przeżycia była ona pozycją sporną. Jej dwudziestoletnia twórczość przedwojenna obejmująca kilka zbiorów nowel, kilka powieści, książkę dla młodzieży, sporo rozproszonej po pismach publicystyki, osiąga swój szczyt w wielkiej konstrukcji, w „romansie długiego oddechu", w „powieści - rzece" — jak mówią Francuzi — noszącej tytuł „Krauzowie i inni". Wszystko co ją poprzedziło jest żmudnym terminatorstwem literackim, dziś mającym już tylko historyczne znaczenie.

Naglerowa należała do kręgu prozaików, którzy pozostawali pod wpływem Juliusza Kadena - Bandrowskiego, stanowili jego „szkołę". Wytworzyła ona swoisty styl spokrewniony z ekspresjonizmem niemieckim, emocjonalnie natężony, obrazowy, wyszukany, często sztuczny. To co u Kadena miało uzasadnienie w jego temperamencie i wizji świata, u uczniów i naśladowców przemieniło się w przebujałą i nużącą manierę. Cała przedwojenna twórczość Naglerowej jest szamotaniem się w pętach tej maniery i powolnym jej przezwyciężaniem.

Pierwsze zwycięskie wzniesienie ponad zużytą i nadużytą konwencję stylistyczną stanowi trzytomowa powieść „Krauzowie i inni". Jest to duży fresk historyczny wywołujący przed oczy zróżnicowaną gromadę ludzką z rodzinnych stron autorki i drugą połowę XIX wieku, ściślej pierwsze lata po powstaniu styczniowym, ze wszystkimi komplikacjami politycznymi, społecznymi, gospodarczymi, z całym sposobem myślenia i obyczajem. Naglerowa zamierzała prowadzić dalej to zdumiewająco drobiazgowe malowidło. Zebrała materiały, na ich podstawie zaplanowała i zaczęła pisać dwie powieści tych rozmiarów co „Krauzowie", które razem z nimi miały tworzyć gigantyczny cykl pt. „Kariery". Jak śmierć przerwała cykl więzienny, tak wcześniej wojna zniweczyła ten zamysł twórczy. Ale to, co się z niego zachowało, stanowi również całość zamkniętą i samowystarczalną.

Ukazała się ona po „Dniach i nocach" Dąbrowskiej i to sprawiło, że dość powszechnie stawiano galicyjską powieść Naglerowej niżej od tego utworu. Z oddalenia historycznego nie wydaje się to zupełnie słuszne. Dąbrowska nie stworzyła tego rodzaju, wyprzedzili ją Anglicy, Francuzi i Niemcy. Naglerowa bodaj pomyślała i zaczęła pisać swój „roman-fleuve" przed Dąbrowską lub jednocześnie z nią. O ważności i randze dzieła rozstrzyga osiągnięta w nim pełnia artystycznego wyrazu, odporność na czas, trwała atrakcyjność. „Krauzowie", powtórnie wydani przez Drugi Korpus w jednym tomie, noszą tę wszystkie znamiona. Są dziełem długiego, wytrzymanego oddechu, dziełem o niesłychanie precyzyjnym widzeniu ludzi, zjawisk i szczegółów materialnych, dziełem świetnie skomponowanym, imponującym doskonałą równowagą. Dodatkowy i może — oby! — nieprzemijający walor tej wielkiej, jednej z największych powieści niepodległego dwudziestolecia stanowi to, że artystycznie rewindykuje ona i utrwala obraz, kulturę, ducha ziemi, w tej chwili bezprawnie oderwanej od pnia ojczystego. Podkreśliła to sama Naglerowa w przedmowie do wojennego, rzymskiego wydania „Krauzów" (1946): „...Pisarz, jak każdy inny pragnie wydobyć z katastrofy nieskażony pierwiastek swojej istoty. Nawet nie pisząc, opiera się więc na swoim fundamencie, na tym psychofizycznym czynniku, który w swojej nieodmienności sam jeden trwa. Bo czyż nie są ciągle tak samo rzeczywiste te moje strony rodzinne nad Styrem, drobnica miasteczek, lasy i wsie, płaskie pagórki podbiegające co raz wyżej ku Lwowu? Czyż nie jest rzeczywista ta ziemia nigdy nie zagrabiona mojej miłości? Jeżeli się tak trapimy o tę ziemię, jeżeli się tak sprzeciwiamy jej obecnemu nieszczęściu, dzieje się to właśnie za sprawą naszej wewnętrznej moralności zespolonej z przedmiotową wartością tych obszarów".

Naglerową, nie tylko tę, którą spotykaliśmy na ulicach Londynu, zdrobniałą, chodzącą krok za krokiem, nasłuchującą tętna swego serca, ale także i tę, którą znaliśmy w Polsce, światową i wytworną, cechował szczególny jakby zwolniony rytm wewnętrzny. Pisała trudno, przezwyciężając opory, usilnie szukając wprzód najbardziej niezwykłego, wymyślnego, później najściślejszego, najdokładniej przystającego wyrazu. Podobny był jej rozwój jako pisarki. Nie zaczynała jako cudowne dziecko; jej pierwsze książki nie obiecywały zbyt wiele, niektórych usposabiały powątpiewająco. Ale uparcie przebijając się poprzez opór materii pisarskiej, biorąc na siebie mężnie i godnie ciężar przeżyć zsyłanych przez los, postępuje naprzód ciągle tym samym, równym, spokojnym rytmem, z rzemieślniczą cierpliwością dobierając słów, poprzez słowa docierając do swojej wewnętrznej wizji i najgłębszej tajemnicy świata i człowieka — Naglerowa zdobyła pełną dojrzałość artystyczną. Nieraz jej fraza może się wydać jakby wystudzona zbyt długą obróbką, jej książki zdają się tchnąć chłodem, ale pod koniec drogi i zwłaszcza w trzech punktach szczytowych: „Krauzach", nowelach łagierniczych i „Sprawie Józefa Mosta" osiągnęła ona doskonałość — jeśli nam wolno dzisiaj sądzić — odporną na czas, doskonałość rzeźby w twardym kamieniu.

Odeszła z Naglerową artystka świadoma wielu tajemnic, udręk i rozkoszy pisarskiego rzemiosła. Odszedł z nią człowiek nie pozbawiony słabości, ale wznoszący się ponad nie ciągłym wysiłkiem pragnienia i woli. Jeśli się chce oddać jej pełną sprawiedliwość, nie można odłączyć człowieka od artysty. Ciężko doświadczony człowiek żywił w niej sztukę. Sztuka wystawiała świadectwo człowieczeństwu.

Tymon Terlecki

ALBERT CAMUS

W grudniu ub. roku Camus dostał nagrodę Nobla: 42 tysięcy dolarów. Nagrodę przyznaje od roku 1901 Akademia Literatury w Sztokholmie (18 członków: pisarzy, krytyków i znanych osobistości, jak np. Dag Hammarskjöld, sekretarz generalny ONZ).

Camus jest dziewiątym laureatem literackim Francuzem (najliczniejsza grupa). Pierwszym z nich i pierwszym nagrodzonym w roku 1901 był poeta Sully Prudhomme (ze szkoły symbolistów). Dalej: Mistral (1904) Romain Rolland (1915), Anatole France (1921), Bergson (1925), Roger Martin du Gard (1937), Gidę (1947) i François Mauriac (1952). Wśród 57-miu laureatów literackich Nobla młodszym od Camusa był tylko Kipling (42 lata).

Najpoważniejszymi konkurentami Camusa w roku ubiegłym byli: Francuz André Malraux i Włoch Alberto Moravia.

Twórczość Camusa, jako moralisty, jest nierówna. W jego książkach, z których każda jest inna, niepodobna do poprzednich, nie ma harmonii. Jest ciągła walka, tłoczą się problemy najbardziej aktualne dla człowieka współczesnego, które dręczą Camusa. Narzuca problemy nie podając rozwiązania.

Niepokój, głębia wnikliwości, plastyczność stylu — dają ten tak bardzo odrębny charakter twórczości autora. O swoim „nieskrystalizowaniu" Camus sam dobrze wie. Dziwił się, gdy mu przyznano nagrodę Nobla. Szukał kandydata bardziej jego zdaniem dojrzałego. Wymieniał Malraux, jednego ze swoich duchowych mistrzów. Camus sam siebie jeszcze nie zna. Wie za to, że jest w pełnej fazie tworzenia. Jest młody.

Albert Camus urodził się 7. 11. 1913 w Algerii, w rodzinie farmerów. Wychowany bez ojca, który zginął w bitwie nad Marną, rósł przy matce Hiszpance, w trudnych materialnie warunkach. Po matce odziedziczył swój drugi język i pociąg do literatury hiszpańskiej; tłumaczył Calderona „Nabożeństwo do św. Krzyża".

Camus wiary jeszcze nie znalazł. Może dlatego nadaremnie szuka odpowiedzi na dręczące go pytania. Chociaż Mauriac pisał o nim, że „odpowiada na pytania, które stawia jego pokolenie" to jednak — wydaje mi się — zamiast odpowiedzi raczej stawia on problemy, tak jak je czuje dzisiejsze pokolenie, wyraża niepokój i bunt tego pokolenia. Akademia Sztokholmska w motywacji nagrody stwierdzała, że „z głęboką przenikliwością oświetla problemy stające w naszych czasach przed ludzkim sumieniem". Wybór Camusa — jako laureata — wyróżnia Alger, gdzie się pisarz urodził, wyrósł i studiował, a nastąpiło to w momencie, gdy Francuzi z Północnej Afryki cierpią rozdarcie między wiernością do metropolii i miłością do ziemi, na której wyrośli. Ta tragedia uaktualnia ewokację nieszczęść w książkach Camusa, jak np. w „Dżumie" („La peste"). Autor ma na myśli nie tylko fizyczne nieszczęścia, zło panujące na świecie, okupację, obozy koncentracyjne, wojnę, ale także zło moralne atakujące duszę człowieka, odwracające myśli jego od prawdy, zło zaraźliwe jak epidemia.

Camus jest nie tylko autorem, ale i reżyserem. Założył z przyjaciółmi w Algerze zespół teatralny „Equipe". Wystawił „Czasy pogardy" (adaptacja sceniczna książki Malraux), a także Dostojewskiego i Ajschylosa.

Studiował filozofię chcąc się poświęcić pracy naukowej i pedagogicznej. Wybór jego tezy „Plotyn i św. Augustyn" wiąże go też z Północną Afryką. Pracował pod kierunkiem prof. Grenier, którego nadal uważa za swego mistrza duchowego. Zadedykował mu „Człowieka zbuntowanego" („L'homme révolté"), tj. swoje ulubione dzieło. Ten atak na rewolucje, które rodzą terror, spowodował zerwanie z Sartrem.

Camus twierdzi, że nie jest egzystencjalistą. Niemniej, jego twórczość ma wiele pokrewieństwa z tym kierunkiem myśli nowoczesnej i wywiera wpływ na naszych polskich egzystencjalistów.

Za swoich czasów studenckich laureat zarabiał na życie jako mechanik, sprzedawca części samochodowych, meteorolog i urzędnik. Zna życie z rozmaitych stron. Był dawniej komunistą. W sztuce swojej „Sprawiedliwi" („Les Justes") pokazuje ideowych terrorystów, ich zaślepienie, oddanie sprawie, samotność duchową.

Jego inne sztuki to: „Stan oblężenia" („L'état de siége"), „Nieporozumienie" („Le malentendu") i „Caligula"; ta ostatnia, uważana za najbardziej dla jego twórczości charakterystyczną, jest obecnie grana po polsku w Kielcach, na scenie teatru im. Żeromskiego.

Camus był także dziennikarzem. Podczas okupacji Francji należał do Ruchu Oporu. Pisał od roku 1938 w piśmie „Alger Républicain", założył później podziemne pismo „Combat" („Walka"), które stało się po „liberacji" dziennikiem o tendencjach lewicowych, do dziś dnia wychodzącym w Paryżu. Od roku 1947 porzucił politykę i dziennikarstwo oddając się całkowicie pracy pisarskiej.

„Upadek" („La chute") jest arcydziełem literackim, jak również ostatnia jego książka „Wygnanie i królestwo" („L'exile et le royaume"); oba dzieła znaczone są silnie akcentem rozpaczy, która u Camusa nie dochodzi jednak do punktu ostatecznego załamania.

Udręczony pisarz, który, jak to się zdarza niejednokrotnie w świecie intelektualistów, nie może uwierzyć we własne istnienie, uprawia z zamiłowaniem sporty, świetnie pływa. Ma szczęśliwe życie rodzinne: z żoną i dziećmi, synem i córką, bliźniakami 12-letnimi, mieszka w Paryżu w Quartier Latin. Ma opinię wiernego przyjaciela i doskonałego kolegi.

W „Dżumie" rozmawia dwóch lekarzy Tarrou i Cottard; jeden z nich ma umrzeć za kilka dni: „Rzeczywiście — mówi Tarrou — interesuje mnie jedna sprawa: w jaki sposób człowiek może dojść do świętości? — Przecież nie wierzysz w Boga? — Właśnie. To jedyny problem, który mnie teraz konkretnie obchodzi, czy można być świętym, gdy się nie wierzy w Boga?..."

R. R.

---

*) **Książki Camusa:** „Odwrotna strona medalu" („L'envers et l'endroit"), 1937; „Wesele " („Noces"), 1938; „Mit Syzyfa" („Le mythe de Sisyphe"), 1942; „Obcy" („L'etranger"), 1942. Eseje: „Listy do przyjaciela Niemca" („Lettre à un ami allemand") z okresu okupacji; w nich podróż do Polski i przejazd przez Kraków. Szkice publicystyczne („Actuelles") 1944 - 1953; „Dżuma" („La peste"), 1947; „Człowiek zbuntowany" („L'homme révolté"), 1952; „Lato" („L'été"), 1954; „Upadek" („La chute"), 1956; „Wygnanie i królestwo" („L'exil et le royaume"), 1957.

WIECZORY TEATRALNE

„PROFESJA PANI WARREN"

Długo trzeba było myśleć, żeby wybrać dla Ireny Eichlerówny na reprezentacyjny wyjazd do Londynu rolę Mrs. Warren. Ani sztuka nie najlepsza, ani Eichlerówna w niej nie najlepsza. O wyborze przesądziło zapewne przekonanie, że publiczność polska w Londynie będzie miała możność porównać gwiazdę rodzimą z kreacjami teatrów angielskich. Oczywista pomyłka. Publiczność polska z rzadka tylko uczęszcza do teatrów angielskich, a kontentuje się scenką, nadscenką i podscenką emigracyjną. Na emigracji siedzimy sobie ciągle, może nie na sali straży ogniowej w Piekutkowie, ale za to w warszawskim „Qui pro Quo" z pierwszych lat niepodległości lub pod płachtami Pilarskiego juniora. Raz po raz, co prawda, ambitni reżyserowie i aktorzy przypominają nam, ze zmiennym powodzeniem, stare i pamiętne przedstawienia z Warszawy, Krakowa, Wilna. Więc o porównaniach ze sceną obcą nie ma co i marzyć. Tym bardziej o obcej publiczności. Te notatki, jakie z racji występu Eichlerówny w Londynie zamieściły pisma angielskie, miały charakter najwyraźniej komplimentacyjny.

Shaw w Polsce bywał grywany, z predylekcją, a kilka jego sztuk wystawiono tam jako prapremiery. Przypuszczalnie ze snobizmu. Jest to bowiem autor biegunowo przeciwny polskiemu smakowi scenicznemu. Jego sztuka opiera się na dialektyce intelektualnej i moralnej, na paradoksie i trudnym humorze. Sztuki Shawa są ucztą inteligencji i dowcipu, a nie źródłem zwykłych rozkoszy estetyczno-scenicznych. Shawa się słucha, a nie ogląda. Dopiero przeżywszy lata w Anglii rozumie się, jaki to bardzo angielski autor. Wierzyć się nie chce, że można go było rozumieć w Polsce.

„Profesję pani Warren", zresztą nie najlepszą ze sztuk Shawa, wystawił ostatnio Teatr Nowy w Londynie (pod kierownictwem St. Belskiego) i wyreżyserował Władysław Sheybal, zupełnie mylnie: na naturalistyczną sztukę, a nie intelektualne słuchowisko. Gęstym sosem realizmu oblał dodatkowo reżyserię Stanisław Mikuła ultrakolorystycznymi landszaftami. Niektóre stroje i charakteryzacja trąciły wprost parodią Shawa. „Profesja pani Warren" osnuta jest na kontrastach: matka-latawica i córka — subtelna i edukowana, wytwornisia, dostojny pastor i jego syn hultaj, lord i wspólniczka-stręczycielka. Tych kontrastów reżyser nie zrozumiał, zamazując gruntownie sens i smak sztuki, stylizując ją na groteskę obyczajową czy tragikomedię mieszczańską.

Sztuka Shawa jest dziełem wojującego libertyna i wyznawcy relatywizmu moralnego, a konflikty i postacie „Profesji" są nierzeczywiste i sztuczne, mogą istnieć tylko w płaszczyźnie intelektualnej, nie można ich zatem ani naturalizować, ani tym bardziej ukazywać groteskowo. Tymczasem wszystkie postacie „Profesji pani Warren" Władysław Sheybal-reżyser potraktował jednoznacznie. Sheybal-Frank był tylko hultajem i ani trochę zakochanym młodzikiem, piękną Krystynę Dygatówną reżyser przetragizował, Praeda-safandułę przepoczciwił, Crofts wyglądał jakby jego lordostwo było tylko maniackim urojeniem, a Bożyński zagrał kapitalnie pastora z kabaretu. Gdyby „Profesja pani Warren" była sztuką naturalistyczną, wówczas można by o niej powiedzieć, że jest wybitnie słabą, a o przedstawieniu w „Twentieth Century Theatre", że polska obsada zagrała ją doskonale. Niestety, rzeczywistość była odmienna, z czego zresztą nie wynika, by nie podziwiać wspaniałej, choć mylnej w koncepcji gry Krystyny Dygatówny, jednej z najlepszych aktorek polskich.

Tylko Eichlerówna zagrała swoją rolę właściwie, ze zrozumieniem. Trafiła zarówno w rolę, jak też w istotę sztuki: w jej kpiarską dialektykę. Niestety, maniera głosowa Eichlerówny jest nużąca. Oczywiście też warszawska gwiazda wyraźnie rozchodziła się z emigracyjnym zespołem.

J. B.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

VII ROCZNIK POLSKIEGO TOWARZYSTWA NAUKOWEGO NA OBCZYZNIE, ROK 1956-57; stron 148; Londyn, 51 Eaton Place, S.W.1; cena: 10/-.

Pracowicie zestawiony i niezwykle starannie wydrukowany tom (redaktor: prof. T. Sulimirski) zawiera, w części sprawozdawczej, dokładne informacje o pracach Towarzystwa. Podaje również w dodatku przegląd działalności innych polskich towarzystw i instytucji naukowych (w **Londynie, Edynburgu, Paryżu, Rzymie, w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie**), oraz polskich szkół wyższych na uchodźstwie (jak RAST, PUNO, SNPS). Pełny wykaz członków i współpracowników Towarzystwa (w wydziałach: humanistycznym i przyrodniczym, oraz komisjach: historyczno-filologicznej, etnograficznej — i biologicznej, fizycznej, lekarskiej i technicznej) jest uzupełniony drobiazgowym indeksem.

Tom ogłasza 23 **oryginalne prace** (referaty z posiedzeń) o najróżniejszej tematyce; np.: J. Rotblat — „Energia atomowa i jej zastosowanie"; B. Sobociński — „Jan Łukasiewicz"; J. Hoffman — „Rozwój stanu posiadania Kościoła rzym.-kat. obrz. łac. na Wołyniu"; L. Turkowski — „Migracje nazw uprawnych roślin"; M. W. Makowski i K. Mochliński — „Moc dopuszczalna w sieci kablowej i właściwości cieplne ziemi".

*

INSTYTUT HISTORYCZNY IM. GEN. SIKORSKIEGO, 1945 - 1957; stron 54 i ilustracje; Londyn 1957.

Prac zbiorowa, poprzedzona przedmową gen. Mariana Kukiela, omawiająca historię, cele i zadania oraz dotychczasową działalność Instytutu im. Generała Sikorskiego w Wielkiej Brytanii.

Autorami poszczególnych rozdziałów są: Edmund Oppman, Wacław Sikorski, Regina Oppman, Jan Domański, Leon Koczy i płk Mieczysław Piekarczyk.

Wiele ciekawych informacji dotyczących zbiorów archiwalnych, muzeum i biblioteki Instytutu, jak również jego działalności wydawniczej i wielkiej roli społecznej.

Podano również skład osobowy Instytutu, listy jego brytyjskich i polskich członków - przyjaciół oraz przejrzyste sprawozdanie finansowo-administracyjne.

*

Tadeusz Nowakowski OBÓZ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH. „Libella", Paryż 1957. Okładkę (kartonową, dwubarwną) projektował Wł. Szomański. Stron 464.

Tadeusz Piotrowski LINORYTY. Z tekstem St Gliwy. Nakładem i drukiem Oficyny St. Gliwy, Mabledon, Dartford, Kent 1957. Teka linorytów zawiera kartę tytułową i 17 linorytów na oddzielnych kartach in folio. Wszystkie linoryty, sygnowane odręcznym podpisem autora, tłoczone z oryginalnych klocków. Tekę wydano w dwu edycjach (z tekstami polskim i angielskim) o łącznym nakładzie 160 egzemplarzy. Okładkę z linorytów T. Piotrowskiego projektował St. Gliwa.

*

ROCZNIK LITERACKI 1955. Komitet redakcyjny: Zofia Szmydtowa (redaktor naczelny), Paweł Hertz, Tadeusz Zabłudowski. Bibliografię opracował Marceli Poznański. Stron 676, okładka płócienna. P.I.W.

PROSIMY O NADSYŁANIE EGZEMPLARZY RECENZYJNYCH

O SZTUCE MAŁO ZNANEJ

Kino, tak samo jak prasa, radio i telewizja, oparte na imponującym rozwoju nowoczesnych metod technicznych komunikowania myśli ludzkiej i obrazów, zawiera w sobie pewną niepokojącą problematykę. Nie chodzi w niej głównie tylko o to, że poprzez te techniczne osiągnięcia i udoskonalenia sączy się do dusz ludzkich trucizna, że szerzy się niejeden fałsz i zła informacja, ale o to, że szeroka publiczność nie umie ich dobrze używać, pomimo że masowo z nich korzysta.

Zastanówmy się, jak my sami korzystamy z naszego dziennika, tygodnika czy ilustrowanego magazynu, od czego zaczynamy jego lekturę, co odkładamy na później czyli na nigdy, a zrozumiemy dlaczego obecnie mamy taki poziom większości prasy, specjalizującej się w podawaniu głównie ciekawostek, barwnych opisów wypadków i zbrodni, mocno skomercjalizowanych działów sportu i na marginesie tylko poświęcającej krótkie notatki informacyjne rzeczom poważnym i istotnym. Pisma rewolwerowe mają liczne nakłady, bo stosują się do gustów coraz mniej myślącego i wymagającego czytelnika. Czytelnika nie wychowanego, nie przygotowanego, bez formacji i kultury czytelniczej.

To samo dotyczy filmów. Znawcy i amatorzy dobrych filmów, np. w Londynie, muszą je wyławiać w małych „specjalnych" kinach, podczas gdy dzielnicowe, okazałe kinoteatry wielkich koncernów dają przeważnie beznadziejne, często seryjne „kasowo idące" obrazy. Dyrektorzy kinoteatrów, zapytywani, dlaczego nie dają nawet uznanych dobrych filmów, odpowiadają, iż nie chcą do nich dopłacać.

Ale czasem spotyka ich miłe rozczarowanie, bo obraz pozornie niekasowy oglądają niebywałe tłumy, widocznie nie tak jeszcze nieczułe na istotne wartości w sztuce filmowej, jakby się to zdawało. I dlatego właśnie trzeba do tej wrodzonej wrażliwości człowieka na dobro i piękno apelować i formować inteligentnego odbiorcę: widza i słuchacza.

To zagadnienie formacji widza kinowego stanowi dla nas katolików, coś szczególnie pasjonującego. Podchodzimy bowiem do kinematografii jako do pozytywnego osiągnęcia technicznego i artystycznego, mającego swoje własne olbrzymie możliwości, jak to wykazał praktycznie choćby tylko Walt Disney; jako do czegoś, co jest w istocie obojętne moralnie, a może być dobre o ile będzie umiejętnie wykorzystane. I tutaj nasuwają się zaraz dwa postulaty. Jedni uważają, że trzeba wywierać wpływ na producentów, aby nagrywali tylko filmy artystycznie dobre i moralnie wartościowe. Oczywiste, że trzeba to czynić i że podjęto już niejedną taką inicjatywę. Zwracał się w swych przemówieniach do filmowców i obecny Papież podczas udzielanych im audiencji, zwracali się w poszczególnych krajach biskupi, zajmowały się tym liczne organizacje, ale trzeba przyjąć, że zawsze — poza zasięgiem tego rodzaju wpływów i inicjatyw — pozostanie spora ilość producentów i reżyserów, dla których jedynym sprawdzianem wartości ich roboty będzie to, czy filmy ich „pójdą". A o tym decyduje publiczność, właśnie ta najszersza, masowo korzystająca z kina jako najpopularniejszej i najtańszej rozrywki.

Kino ma swój specjalny język, którym przemawia do mas, i trzeba ten język znać. Wiele może nam wytłumaczyć znajomość techniki kinowej i jej coraz to nowszych udoskonaleń, bo one wyznaczają możliwości sztuki kinowej, ale nie jest ona konieczna. Ważniejsze są: zrozumienie środków, którymi kino do nas przemawia i na nas działa oraz, umiejętność interpretowania oglądanych obrazów, aby zrozumieć ich znaczenie i symbolikę, ocenić doniosłość ich działania, i aby wyciągnąć wnioski praktyczne.

Z chwilą gdy masy publiczności kinowej zdobędą tę umiejętność oceny — zagadnienie wartości moralnej i artystycznej kina będzie w wielkiej mierze rozwiązane, przede wszystkim dlatego, że publiczność będzie l e p i e j wybierała filmy. I tutaj stwierdzenie nieco zaskakujące czytelnika, bo dr A. Ruszkowski, sekretarz Międzynarodowego Katolickiego Biura Filmowego i jeden z najwytrawniejszych znawców tego zagadnienia, stwierdza, iż oceny filmów pod względem moralnym, dostarczane przez filmowe ośrodki katolickie z całego świata, pozwalają dojść do wniosku, że 75% produkowanych obecnie filmów jest stosunkowo uczciwych, a tylko 25% szkodliwych lub niebezpiecznych. Szkopuł w tym, że olbrzymia większość publiczności wybiera i ogląda owe 25%! Ponieważ zaś — jak dalej stwierdza dr Ruszkowski — ów wysoki procent uczciwych filmów wzrasta, tym więcej zatem punkt ciężkości przesuwa się na formowanie publiczności, aby umiała wybierać. To przygotowywanie publiczności kinowej jest zadaniem olbrzymim i zakreślonym na lata, ale wszędzie trzeba je kiedyś zacząć.

Temu zadaniu winni poświęcić się młodzi ludzie studiujący zagadnienia związane ze sztuką filmową i z jej techniką, czynnie zaś zainteresować się winni nim wszyscy miłośnicy dobrego filmu. Będzie to zresztą miało dobry wpływ na inne dziedziny, na prasę, radio i tak często dziś krytykowaną telewizję. Dr Ruszkowski porównuje tę akcję z nauką czytelnictwa, którą kiedyś przeszło społeczeństwo zachodnie. Bo tak jak sztuka czytania nie wystarcza, aby dobrze i z pożytkiem wybierać i czytać książki, tak dwoje oczu i chodzenie do kina nie wystarcza, aby umieć patrzeć na filmy, bo tu trzeba umieć także myśleć i odczuwać, podnosząc rozrywkę tylko wizualną do poziomu pełnego przeżycia artystycznego i moralnego. A wtedy i producenci zaczną się zastanawiać, dlaczego niektóre filmy „nie chwytają".

Tego rodzaju wychowywanie publiczności kinowej wymaga stale działających środków informujących i kształcących. Tu wiele może zrobić prasa katolicka, stale zamieszczając recenzje z filmów i wskazując obrazy godne zobaczenia. Wiele publikacyj katolickich już to czyni, np. w Londynie mamy stale krótkie oceny filmowe w „Gazecie Niedzielnej", z tygodników zaś angielskich: w „Catholic Herald" — dział ten prowadzi Grace Conway, a w „Universe" — Kathleen Rowland; „The Tablet" podaje co jakiś czas przegląd godnych widzenia filmów, podobnie inne pisma katolickie.

To jednak nie wystarczy, konieczne są publikacje specjalne filmowi poświęcone, konieczne są i komisje katolickie dla spraw filmu, złożone z ludzi kompetentnych, wrażliwych i umiejących swe doświadczenia społeczne wykorzystywać. Katolicki ruch w tej sprawie ogarnął już ponad 30 krajów na całym świecie, głównie dzięki inicjatywie Stolicy Apostolskiej, która, w zrozumieniu doniosłości i roli kina w życiu współczesnego człowieka, utworzyła Papieską Komisję dla Spraw Kinematografii, Radia i Telewizji, oraz dzięki Międzynarodowemu Katolickiemu Biuru Filmowemu, którego wybitnym współpracownikiem jest nasz rodak. W poszczególnych krajach są komisje biskupie dla spraw filmu oraz organizacje specjalne w postaci katolickich centrów filmowych albo też nawet tworzą się już katolickie instytuty filmowe na poziomie uniwersyteckim.

Bardzo ważne jest przygotowanie pod tym względem dzieci i młodzieży, stąd też myśl powoływania do życia kółek i klubów filmowych oraz specjalnych przedstawień dla dzieci i młodzieży, z interesującymi prelekcjami wstępnymi na temat pokazywanych filmów.

Janusz Czaharski

NOWY DOM

Napisała
Janina Węgrzyńska-Kościałkowska

(Dokończenie opowiadania rozpoczętego w nr. 548/549 „Życia".)

Jakliński nie porzucił swoich spacerów. Przeciwnie, podwoił ich czas, chociaż zmniejszył odległość. Dawniej, przechadzki jego wybiegały poza miasteczko, w krajobraz polny i daleki, w gospodarny konicz i marzące winnice, wychodził poza zagrodzone łąki naprzeciwko ornym, luzem puszczonym ziemiom, gdzie nikt już niczego nie grodził i tylko światło i cień wytyczały swoje prawa własności, odwieczne, a dla oka zmienne i kapryśne jak niespodzianka. Chodził i przyglądał się przyrodzie, ziemia przyciągała go, zapoznawał się z nią, żeby się upewnić, że była taka sama jak na cmentarzu, piaskowata z wierzchu, a zwarta i czarna w głębi. W tych wędrówkach odwiedzał na chwilę cmentarz wiejski, przystawał to tu, to tam, odczytywał napisy na grobach, karty wizytowe umarłych, w dzień zaduszny kładł bukiet astrów pod pamiątkową tablicą dla poległych w wojnie tubylców, od niechcenia, ot tak, potrącał spojrzeniem tu i ówdzie jakieś miejsce jeszcze nie zajęte, wiedział, które krzewy udawały się najlepiej na tym odcinku, a które na innym, deliberował: złoty deszcz czy tamaryszka?... Czasami spotykał tam starego Cazanave przy pracy nad nowym grobem, rozmawiali, kurzyli papierosy. Na zasadzie jakiegoś nieumówionego kodeksu nigdy nie wymieniali nazwiska osoby, dla której grabarz właśnie pracował, chociaż ten zgon, jak każdy zgon, był powszechnie wiadomy. Mówili głównie o dawnych czasach młodości, albo o Polsce, bo to było dla grabarza ciekawe. Jakliński zaś lubił te opowiadania, elementarne i proste, nieco podobne do opowiadań dla dzieci i wtedy czuł, że najważniejsza rzecz, to móc opowiedzieć tak, żeby coś istotnie powiedzieć i tak powiedzieć, żeby to pamiętało się jak opowiadanie. Nigdy nie mógł oczywiście zbadać dokładnie, w jaki sposób to, co mówił grabarzowi przedstawiało się w jego umyśle, czy to odbijało „prawdziwą prawdę", ale wystarczało mu, że miał życzliwego słuchacza. Obaj przecież rozporządzali tym osobliwym szyfrem wieku, który pozwala rzeczom i sprawom wszelkiego rodzaju ustawić się w ich właściwym miejscu i wydzielać z siebie pewną woń rozpoznawczą — ni to sens najwyższy, ni to sentencja wyroku — a gdy się ją czuło, słowa mogły już być byle jakie. Prawdziwe przymierza są nieme.

A grabarz zdradził.

Otaksował odnowienie dachu na trzydzieści tysięcy, był w zmowie z tamtymi, miał pracować dla nich. Przed nim wszystko zataił.

Od owego pamiętnego dnia — dzień ten nazywał w duszy „dniem minii", jak gdyby było to imię bogini jakiegoś okrutnego kultu — Jakliński nie wybierał się już w pola, ani nie szukał przyjaźni ziemi. Krążył po wąskich, nieforemnych uliczkach jeszcze należycie nie wykłutych ze ścieżek, po przejściach między podwórzami, po przesmykach między stertami dymiących gnojowników, wzdłuż potoku obiegającego gdzie niegdzie domy, po kładkach, uskokach gruntu, kamiennych przełazach, podręcznych śmietnikach, wygniecionych przez bydło dróżkach, pod niczyimi płotami, obok niczyjego stawku, w poprzek gołych poletek parceli na sprzedaż.

W tej okolicy chaotycznego rozgardiaszu, pełnej worków z piaskiem i zwiezionej cegły kręcił się najczęściej. Widok gaszonego wapna w dużych dołach obok podnoszących się murów przyprawiał go o skurcz błony śluzowej w ustach, podobny do tego, jaki wywołuje ulubiony smakołyk, albo przeciwnie, wstręt. Zdawało mu się, że czuje białą, gładką masę na języku, między zębami, szczęki ściskały się na czymś drgającym, jak gdyby rozgryzał własny dreszcz. Mrowie go przebiegało. Miał ochotę pluć i żuć równocześnie. Zapach surowego drzewa zmieszany z wonią terpentyny wciągał w płuca długo, namiętnie. Tu i ówdzie przeciągał ręką po chropowatej powierzchni sterty cegieł, albo po walcu zwiniętej siatki drucianej. Tu i ówdzie kopnął płat leżącej blachy, że zadzwoniła cicho drżąc jak płyta gramofonowa ni to śpiewnym jękiem, ni to bezdusznym głosem pustej puszki od konserw.

Na te spacery zabierał ze sobą małego Julka. Chłopiec rad towarzyszył dziadkowi w tych dziwacznych wędrówkach, skakał przez kałuże, ośmielony opieką kogoś dorosłego straszył kaczki i gęsi, tupał na wątłych kładkach i płoszył żaby. Dziadek wciąż coś do niego mówił, ale malec wybiegał naprzód, wywijał się od ciągłych słów, umykał w swój świat dziecinnych odkryć i swoich spraw. Nie lubił, kiedy go trzymano za rękę, jak to miał zwyczaj robić dziadek, ani kiedy go brał w ramiona, aby przenieść nad jakąś kałużą. Wił mu się w rękach, wykręcał. „Nie jesteś dobrą różdżką, mój mały, oj nie", mawiał czasami stary pan — „albo ja jestem złym różdżkarzem". I wzdychał.

Wreszcie znalazł. Tuż obok nowych terenów pod budowę, stał dom mało wpadający w oko i dlatego pewnie uszedł początkowo jego uwagi. Dopiero kiedy strzyżono żywopłot sąsiedniego ogrodu, można było przez obramę z zieleni żelazne pręty dojrzeć niewielką odnogę potoku, najwidoczniej umyślnie tu przebitą, która zapadała już w chaszcze ożyn przydrożnych i znikąd indziej nie było jej widać. Nie było tu jeszcze drogi, ale można ją było wywnioskować po niewyraźnym rozstępie płotów, a ruda furtka wychodziła prawdopodobnie na przyszły gościniec. Dom nie był zupełnie nowy, ale nie był nigdy wykończony, jak o tym świadczyły okna zabite deskami, już dobrze zszarzałymi od deszczów. Widocznie właściciel porzucił budowę podciągnąwszy mury pod dach, który od strony zachodniej ucierpiał znacznie, blachę nadgryzła rdza, a przez zapadnięte miejsca widać było krokwie. Schody w nieotynkowanym betonie rozmiękły nieco i tuliła się do nich wysoka trawa, po podwórzu zataczały się na wietrze laskonogie georginie i jarzył żółty mlecz.

To musiało być tutaj... Z bijącym sercem, jak gdyby zatrzymany przez pojawienie się ducha, Jakliński śledził szczegół za szczegółem. Im dokładniej badał, tym był pewniejszy, że ma oto do czynienia z obiektem wybranym przez dzieci na przyszłe zamieszkanie. Odnalazł od tyłu, od ogrodu i nad wodą drugą furtkę, już dotykającą dzikich ożyn i to pewnie o niej mówiła Karolina. Był ten dach, który miał naprawić Cazanave za trzydzieści tysięcy... Były metalowe drzwi do garażu w plamach pnącej się wilgoci... Był balkon...

Podobne plamy jęły się piąć po sercu Jaklińskiego. Prawie czuł ich dotknięcie zimne, ścisłe. Na pewno tworzyły się w głębi niego samego takie długie zacieki z czegoś, czego nie umiałby nazwać, podobne jak te na ścianach, a do głębi przegryzał go zawzięty żal z gatunku tych nieznanych, nieoficjalnych żalów, z których nie można się zwierzać i które są właściwie głupawą pretensją. Rozstać się zaś z nią nie było sposobu. Wciągała jak narkotyk i ona to kazała coraz bliżej i bliżej zaznajamiać się z każdym rysem tego domu, teraźniejszym i tym z niedalekiej przyszłości (rok, dwa...), kiedy wszystko będzie już wykończone, odświeżone, ładne i przyjemne. Trzeba się było oswoić z tą myślą, że właśnie takie będzie i nie trudno było zauważyć o ile ten dom był lepszy, obszerniejszy od obecnego.

Dlaczegóż nie powiedzieli mu o tym, nie podzielili się tym zamiarem? Albo — co najprawdopodobniej — nie uskładali jeszcze potrzebnych pieniędzy, albo coś stało jeszcze formalnie na przeszkodzie i nie chcieli tego „zahopkać", jak mówiła zawsze synowa. Karolina miała zabobonny strach przed wygłoszeniem czegoś dobrego, co miało lub mogło im się zdarzyć, jak gdyby węsząc wszędzie ukryte siły przeciwne, które w ostatniej chwili mogły stanąć na przeszkodzie i pokrzyżować ich plany. Każdą wzmiankę o wyższej cenie ich produktów ogrodniczych lub ewentualnym zmniejszeniu się ich wydatków odpukiwała w drzewo solennie i zapewne w sprawie kupna tego domu bała się tego „zahopkania" bardziej niż kiedykolwiek.

Czy rzecz się miała tak, czy inaczej, on, Jakliński, był poza jej nawiasem. Z uczuciem złodzieja wszedł wtedy do wnętrza, które objęło go swym chłodem i mrokiem. Trzy pokoje na dole, kuchnia, dwa na górze, łazienka, balkon, zakamarki... Okna modne, szerokie... Tu zapewne będzie jadalnia, tam salon, którego nigdy nie będą używać, bo nie będą mieć gości, ani czasu, ale salon musi być — sypialnia, pokój małego... Na górze zaś... Górę pewnie wynajmą. Niekrępujące wejście z klatki schodowej... Może Karolina będzie nawet stołować swoich lokatorów?...

Pierwszy raz Jakliński był tam z Julkiem i niedługo. A potem, dzień po dniu przekradał się tam stale. Mógł to robić nie zauważony przez nikogo, ponieważ dom stał w odosobnionym kącie i nie spotykał po drodze ludzi, albo na ich widok brał inny kierunek.Wchodził stale głównym wejściem, którego zawiasy obracały się ciężko z opornym zgrzytem.

Pomału zadomowił się. Urządzał wnętrze po swojemu. Tu byłaby biblioteka, tam biurko, w kącie fotel-bujak (jakich już nie wyrabiano od dawna), na tej ścianie parę obrazów, na tamtej fotografie sprzed wojny w szerokim „passe-partout" i drewnianych ramkach, ówdzie stolik na radio, na środku pokoju szeroki, marokański dywan, przypominający tak bardzo huculskie wzory, nad komodą mapa Polski (sam ją pokolorował akwarelą), na komodzie dzban na kwiaty, taki gliniany z małymi jak sarna uszkami, nie ten okropny kryształ, który Karolinie ofiarował sklepikarz jako premię dla stałych klientów, obok okna baskijski szafkowy zegar. Mieli go przecież, trzeba by tylko odnowić politurę i pociągnąć wyblakłe paski malowidła. To nie musi być trudne. A lampa w pośrodku sufitu... oh, to było ważne, zasadnicze. Co za straszne lampy ludzie znoszą nad swoją głową, w swoich pokojach, bez żadnego buntu, bez cienia sprzeciwu! Nie, takie, jakie mieli obecnie, to

już za nic! Zamarzył się Jaklińskiemu mosiężny świecznik żydowski. Był taki u nich w Tarnopolu. Takiego tu oczywiście nie dostanie, ale można by spróbować zrobić samemu coś w tym rodzaju ze starej obręczy żelaznej, to nie kosztowałoby ani grosza... On wiele rzeczy umiał sam zrobić, nawet Karolina to przyznaje. Ostrobramskiej sam wyciąłby płaszcz z blachy i nałożył na zniszczoną już reprodukcję obrazu, twarz nie była zniszczona. Poniżej krzyż wojenny i orzełek z czapki wojskowej Henryka. Znajdzie się, znajdzie sporo drobiazgów, którym będzie można przywrócić duszę. Ściany zostawi się gładkie. Dobrze zrobiłoby lustro niewielkie, owalne w koszykowej ramie, modnej i pełnej gustu. Widział gdzieś takie. Do jadalni bardzo odpowiednie...

Sypialnią i kuchnią nie interesował się. Przebywał zawsze w środkowym, największym pokoju i przyległym. Zawsze musiał tam przyzwyczajać oczy do zmroku i zanim się z nimi oswoił, już te meble ustawione dni poprzednich były na swoich miejscach. Przez szpary między deskami w oknie leciały ostrym ukosem promienie światła jak lance wbite w podłogę. Dzięki nim widział co, gdzie i jak ustawiać, mógł się poruszać i urządzać. Świerszcze odzywały się niekiedy w trawie za oknami, a małe jaszczurki pomykały po murze, nie był sam.

Czasami Jakliński zmieniał swoje własne dyspozycje i zastępował je bądź to innymi, bądź długim namysłem. Żałował chwilami, że nie miał się przed kim zwierzyć z tych swoich pomysłów i namysłów, lecz wkrótce zauważył, że one same się nim zajęły po sąsiedzku, po przyjacielsku, trochę może z waszecia, a trochę uroczyście, bo słyszał wywoływane swoje nazwisko to tu, to tam, różnym tonem. Panie Jakliński!... Paaanie Jaaak... i głos oddalał się raptownie, ginął nagle. Z różnych stron pokoju odzywały się takie wołania i różnych przypominały ludzi, ale żadnej określonej osoby.

— To pewnie kupcy tarnopolscy tak na mnie wołają — myślał Jakliński z uśmiechem rozrzewnienia — chcą mi sprzedać jakąś okazję, tak jak kiedyś...

I przypominał sobie co można było dostać w niektórych sklepach, co mogło by się tutaj przydać, w tym domu.

— Nie kupię, nie kupię, bo nie mam pieniędzy — rozkładał ręce z dobrodusznym wdziękiem, a czasem, wobec tych natarczywych nawoływań irytował się i zżymał. „Przestańcie mnie nagabywać..."

Raz usłyszał swoje nazwisko zawołane tak głośno, że spojrzał przez rozstępy desek zabitego okna. Niewątpliwie ktoś go tu odszukał i wołał z zewnątrz. Przez szparę nie było jednak widać nikogo. Jakliński przeszedł więc do drugiego pokoju, skąd mógł widzieć całe obejście domu i ulicę. Szedł na palcach, żeby nie zdradzać swojej obecności. Gruz pokrywał deski położone pod przyszłą podłogę i szurgał małymi grudkami za każdym krokiem idącego. Rozdeptywał go zawsze z przyjemnością — chrup, chrup, chrup, ale teraz go złościł. Przyczaił się cicho za deskami. Ogród, podwórze i ulica leżały przed nim w całym polu widzenia. Nikogo.

Czekał. W dość znacznej odległości, droga tworzyła zakręt, ginąc między chłopskimi domostwami. Tam, wytężywszy wzrok, Jakliński zauważył niewielką postać ludzką, która bez pośpiechu szła w kierunku domu, coraz wyraźniejsza, aż można było rozpoznać, że był to mężczyzna w berecie na głowie, a potem, że był w granatowych roboczych spodniach. Jakliński zmrużył oczy. Uśmiech zwycięskiego podstępu owinął mu serce i wyszedł na usta.

— Chodź, chodź, zdrajco — szeptało w nim z dobrotliwą ironią — chodź, porozmawiamy sobie tutaj, tu, tu, jak to wszystko się urządzi, wszystko ci opowiem, gdzie i co.

Czekał spokojnie na grabarza, który pewnie coś tu szedł zmajstrować, a może tylko obejrzeć. Czekał długą chwilę, nie spuszczając oka z idącego. Obluźnioną deskę uchylał jedną ręką, drugą gładził zimne lico cegły. Z nagła porwał go cichy śmiech. Można by spłatać Cazenave'owi ładnego figla i nie na żarty nastraszyć. Pozwolić mu wejść do środka pustego domu, jak gdyby nigdy nic, i z góry zawołać jego nazwisko zmienionym głosem, albo zrzucić cegłę, albo balkonowy pręt... Albo zaczaić się za otworem drzwi i wypaść znienacka jak rabuś...

Cicho opuścił swoje miejsce i poszedł na schody. Przez okno nad schodami mógł także widzieć zbliżającego się człowieka. Z trudem namacał pierwszy stopień, świetlne smugi zachodzącego słońca rozpylały w powietrzu gęstą mgłę ceglanego pyłu i skakały w oczach. Jeden stopień, drugi, trzeci... Tutaj było ciemno, można było oprzeć oczy na tym mroku. Czwarty stopień, piąty, szósty... Okrągłe okno, przekreślone kratą. Cazanave musiał już być blisko. Jak odszukał go wzrokiem na drodze, ale w tejże chwili spostrzegł, że mężczyzna w berecie na głowie wszedł do jednego z domostw i zniknął w drzwiach.

Czekał. Rękami uchwycił się owej kraty i trzymał mocno. Była mokra, nie wiadomo dlaczego i przesunął dłonie dalej. Rdza zgrzytnęła mu pod paznokciami.

Przyszło mu wreszcie na myśl, że się pomylił, i że to po prostu nie był grabarz. Ktoś inny szedł sobie drogą. Jakliński uśmiechnął się znowu, tym razem z pobłażliwością dla własnej dziecinnady. Oczywiście, to był ktoś inny. A on chciał go tak nastraszyć...

Śmiech mu się zaplątał w duszny wyziew oddechu. Puścił rękę kratę i jął schodzić po schodach, sunąc dłonią po zimnym murze, ku czerwonej, drgającej pustce pokoju. Za każdym stopniem w dół, pokój podnosił się niezmiernie wysoko i jakoś ukośnie, pył grubiał, zacierał się w kolorowe plamy, zwijał w tuleję. Od tego pyłu i ruchu pot okrył twarz Jaklińskiego. Przekrzywiał głowę to w lewo, to w prawo, aby złapać uciekający poziom podłogi. Nie było żadnych mebli, wyimaginowane sprzęty ulotniły się w tej rudej kurzawie, tylko bujak jeden został i huśtał się w przód, w tył, coraz mocniej, olbrzymi albo znów malusieńki, prawie niewidoczny. Zimno powiało skądś lodowate. Jaklińskiego ścisnął nagły lęk. Deski pod przyszłą podłogę podpływały na wysokość jego ust, prostokąty cegieł rozstępowały się nagle. Chciał krzyknąć, ale głos zwinął mu się w gardle, a równocześnie przeleciała go myśl, że nikt go stąd nie usłyszy, nawet gdyby krzyczał. I nagle zrozumiał, że nikt go tu nie odnajdzie, że nikomu nie przyjdzie do głowy szukać go w tym nie wykończonym, pustym, nowym domu. O tym wiedzą tylko kupcy tarnopolscy. A ci nic nie powiedzą.

Obiema rękami chwytał się ściany, żeby się nie zatoczyć ku krawędzi schodów bez poręczy. Ściana uciekła mu spod palców. Przychwycił ją znowu. Znowu umknęła. Znowu ją odmacał. Ale gdy rozstąpiła się po raz czwarty, porzucił ją. Wyprostował się sam, bez oparcia, pomału ważąc się w kolanach. Ostatniego stopnia już nie znalazł. Runął głową w dół, miażdżąc grudki gruzu i wapna. W ostatniej chwili świadomości znowu usłaszał wołający go głos: „Panie Jaaaklllliński", ale już nie mógłby się targować o nic z kupcami tarnopolskimi.

K o n i e c

NASZE SPRAWY

KRYZYS KOMUNIZMU

Gdy się dziś czyta to, co piszą i mówią komuniści, uderza nas coś nieoczekiwanego: po raz pierwszy od lat czterdziestu zaczyna w tym wszystkim przeważać nuta jakby niepewności i zbicia z tropu.

Komunizm — to wiara bardzo fanatyczna. Opiera się ona o dwa filary. Jednym z nich jest filozofia materialistyczna, uzupełniona Heglem, dająca się sprowadzić do tego, że Boga nie ma, że człowiek duszy nie ma, że świat zrobił się sam i przekształca się sam, że ewolucja świata, a w szczególności ewolucja ludzkości dokonywa się wedle zasad heglowskiej dialektyki (antyteza przeciwstawia się tezie i rodzi się stąd synteza, będąca nową tezą, której przeciwstawi się znowu jakaś antyteza), że postępowaniem ludzi rządzi egoizm, że istotną treścią dziejów ludzkości są zmagania interesów materialnych i że najważniejszym z tych zmagań jest walka klas: klasy uciskającej i klasy uciskanej.

Drugim filarem komunizmu, całkiem nielogicznie, jest proroctwo, że hegeliański proces ciągłego przekształcania się ludzkości w pewnym momencie się przerwie, walka klas się skończy, klasy znikną i ustąpią miejsca społeczeństwu bezklasowemu, żyjącemu w zupełnej szczęśliwości, a ogół ludzi przestanie się powodować egoizmem, lecz zacznie idealistycznie, a nawet z poświęceniem powodować się względem na dobro zbiorowe. Przemiana ta nadejdzie w sposób nieuchronny, ale można jej nadejście przyspieszyć. Przez rewolucję światową, przez przymus, można sprawić, że to, co ma nadejść jako ostateczny wynik długiego procesu dziejowego, stanie się udziałem pokolenia obecnego.

Filozofia komunistyczna — w odróżnieniu od proroctwa — jest światopoglądem niezwykle brutalnym, ale zgoła nie nowym. Wszystko jest tylko materią, ducha nie ma, Boga nie ma (albo raczej: przyjmijmy, że Go nie ma). Przeciwstawienie złego i dobrego jest tylko złudzeniem. Ludzie powodują się tylko egoizmem i walczą o swe interesy materialne. A więc po co być moralnym? Trzeba używać życia, trzeba egoistycznie dążyć do swoich celów, choćby po trupach. — To jest istotna treść pierwszego z dwóch założeń komunizmu. Ale czy nie znamy takiego systemu pojęć od wieków? — Przecież od stworzenia świata każdy bandyta i zbój, każdy renesansowy władca-truciciel, każdy najeźdźca w stylu Dżyngis-Chana, i także każdy nowoczesny, pozbawiony skrupułów rekin kapitalistyczny czy lichwiarz, wyzyskujący robotników, czy swoich dłużników, brutalnie łamiący konkurencję, doprowadzający ludzi do

ruiny, do bankructwa, do samobójstwa, wyznawał i wyznaje taką własnie filozofię, choć może nie ujął jej w słowa. Karol Marks, formułując tę filozofię w sposób wyraźny, nie odkrył w gruncie rzeczy nic nowego. Z filozofią tą komunizm powinienby być — i w istocie w lwiej części jest — tylko światopoglądem brutalności, nieliczenia się z sumieniem i niegodziwości.

Pewnego rodzaju zwariowaną godność, zdolną jednać dla komunizmu spory zastęp szczerych, a nawet fanatycznych wyznawców, nadaje komunizmowi dopiero — marksowskie proroctwo. Formułując przepowiednię, że nadejdzie kiedyś komunistyczny raj, w którym nikt nikogo nie będzie uciskać, wszyscy będą służyć dobru ogólnemu i wszyscy będą szczęśliwi, Marks nie opierał się o rozumowanie, wysnute ze swej filozofii; przeciwnie, był ze swoją filozofią w zupełnej sprzeczności. Powodował się tu on irracjonalną nadzieją mesjaniczną, niewątpliwie wyssaną z mlekiem matki, odziedziczoną po wielu pokoleniach dostojnego, odwiecznego rodu rabinów, z którego pochodził. I to ta dziwna, naznaczona piętnem osobliwego geniuszu mieszanina zimnego, nacechowanego okrucieństwem racjonalizmu z irracjonalną wizją mającego z materialistycznego chaosu wyłonić się raju na ziemi, sprawiła, że tysiące a nawet miliony ludzi szły i idą za komunizmem jak urzeczone.

Otóż „coś się psuje w państwie duńskim". Wygląda na to — że wizja przestaje działać i że najwierniejsi z wiernych zaczynają w komunistycznym świecie składać marksowskie proroctwo o mającym nadejść raju — do lamusu bajeczek. A wraz z upadkiem tego proroctwa — upada komunizm jako fanatyczna wiara. Zostaje tylko łajdacki system rządów, łajdackie nagromadzenie potęgi, bogactwa i egoizmu, przepotężne, ale pozbawione spajającej je idei, a więc podległe narastającym coraz silniejszą falą procesom przekształceń, załamań i konfliktów.

Eksperyment komunistyczny trwa już lat — i rezultaty jego są jednym wielkim zaprzeczeniem wizji o raju na ziemi. Dotychczas mówiło się ciągle: to są tylko próby; to się wszystko poprawi i zmieni; to ktoś lub coś nam przeszkadza, intryga kapitalistyczna, przeciwdziałanie innych państw, wojna i jej skutki. Ale wciąż wszystkiego na te przeszkody zwalać niesposób. W każdym laboratorium przychodzi kiedyś taka chwila, gdy najbardziej entuzjastyczny wyznawca jakiejś hipotezy, której przeczą doświadczenia, mówi sobie: dość. Eksperyment się nie udał. Powtórzyliśmy go raz, drugi, dziesiąty — i więcej już go powtarzać nie ma co, bo jest rzeczą widoczną, że rezultat będzie zawsze ten sam.

Wygląda na to, że ta chwila nadeszła w komunizmie. Eksperyment się nie udał. Nie widzą tego tylko głuptaki. Ludzie inteligentni widzą to już jasno. Jedni, jak Tito, wyciągają z tego wniosek, że trzeba się przestać przejmować ideą i trzeba tylko używać życia, korzystając z osobistego bogactwa i potęgi, które komunizm dał; trzeba być na wierzchu, bo inaczej można się znaleźć pod spodem. Inni, jak Dżilas, analizują nieudanie się eksperymentu komunistycznego z troską i próbują znaleźć sposoby jakiego takiego łatania szkód, które ideologią swoją ludzkości i ludowi pracującemu wyrządzili — i z reguły płacą za to osobistą katastrofą. Takich Dżilasów, inteligentniejszych lub mniej inteligentnych, konsekwetniejszych lub mniej konsekwentnych, wpływowszych lub mniej wpływowych, są całe zastępy. Należą do nich sowieckie Dudincewy i polscy „wściekli" z „Po prostu", i angielskie Douglas Hyde'y. Jedni stają się wrogami komunizmu, stają się katolikami, antykomunistami, prawicowcami, inni zatrzymują się na różnych szczeblach rewizjonizmu. Ale wszyscy składają się na rosnący prąd — rozczarowania.

Ciekawa rzecz, co będzie z komunizmem za drugie lat 40? — Zaryzykowałbym hipotezę, że nic z niego nie zostanie. Bo komunizm jest religią, obiecującą urzeczywistnienie wizji mesjanistycznej tu na ziemi, a taka obietnica domaga się — sprawdzenia się w praktyce. To nie jest islam. Fanatyzm komunizmu musi się wraz z załamaniem się proroctwa wypalić i skończyć.

Oczywiście, to nie znaczy, że skończy się tym samym zbudowana na trupach milionów ofiar potęga ludzi i nagromadzone skupienie władzy i bogactwa. Oraz system zorganizowanego łajdactwa.

Polonus

cji oraz stworzenie ram prawnych i organizacyjnych pozwoliło na przejmowanie istniejącego już dorobku wydawniczego. I tak: Biskup Polowy przekazuje osiągnięcia Biura Prasowego; nie tylko wydawnictwa, zestaw i materiał drukarski, wyposażenie biurowe, ale, co najważniejsze, w ramy Ośrodka wszedł zespół zżytych ze sobą ludzi, z ks. Tadeuszem Kirschke i red. Janem Tokarskim na czele; drukarnia miała swego kierownika (jest nadal z nami) i oddanych drukarzy.— Inicjator katolickiej akcji wydawniczej okresu wojny, ks. Stanisław Bełch, oddaje Fundacji swój Katolicki Fundusz Wydawniczy. Jego współpracownik angielski, wydawca religijnych książek polskich, Frank Mildner i jego bracia, pozostawiają składy Ośrodkowi na warunkach zupełnie wyjątkowych. Przyjaźni Braci Mildner Ośrodek ma wiele do zawdzięczenia. —

Gdy powstała w Anglii i Walii nowa struktura Władz Kościelnych, Wikariusz Delegat, ks. prałat Staniszewski zleca Ośrodkowi wydawanie „Gazety Niedzielnej" w miejsce wydawanych dotychczas „Wiadomości Polskiej Misji Katolickiej". Co więcej, łoży na to wydawnictwo oraz wyposaża Ośrodek w drugi linotyp i drugą maszynę płaską.

W tym czasie do zespołu kierowniczego dołącza się znany pisarz i długoletni pracownik Św. Wojciecha w Poznaniu, red. J. Kisielewski, od 9-ciu lat kierownik Ośrodka.

Te wszystkie wysiłki nie dałyby wyniku, gdyby nie było odpowiedniego zespołu ludzi, którym słowo Boże i polskie było drogie. Do pracy staje więc cała sieć ideowych kolporterów pism z Wielebnymi Księżmi Proboszczami polskich parafii na czele, z Komitetami Parafialnymi i Kołami Akcji Katolickiej, a dalej sieć przedstawicieli zagranicznych, ofiarnych i pomocnych.

Rozwój Fundacji i Ośrodka zawdzięcza bardzo wiele Władzom Wojskowym, które wykazywały przyjazne zrozumienie tej akcji. Żołnierze korzystali z czasowych odkomenderowań. Nie jedno saldo likwidującego się oddziału i tak zwany „sprzęt P." były przekazywane Fundacji. Życzliwie pomagał Fundusz Społeczny Żołnierza, Samopomoc Lotnicza, Komitet Obywatelski i inne instytucje i organizacje. Bezcenną była pomoc niezliczonej ilości przyjaciół prawdziwych, co się sami znajdują w potrzebie, którzy prywatnymi funduszami wspomagali Ośrodek w niejednej biedzie. Wreszcie wierna współpraca tysięcznych rzesz czytelników, którzy swym groszem podtrzymują rozwój wydawnictw katolickich na uchodźstwie.

Osiągnięcia K.O.W. „Veritas", to wkład ofiarnej pracy kolejnych Asystentów Kościelnych: ks. ks. Bełcha, Kirschke, Cieńskiego, Sołowieja; poprzednich kuratorów: ś.p. inż. J. Wiśniewskiego i prof. P. Skwarczyńskiego; poprzednich sekretarzy Fundacji: M. Habichta i J. Szeptyckiego, poprzednich administratorów i kierowników: J. Kalenkiewicza, B. Świderskiego, J. Nowackiego i wielu innych współpracowników, o obecnych nie mówiąc. Dorobek nasz, to wkład pisarzy i dziennikarzy, redaktorów, adiustatorów, korektorów, grafików, pracowników technicznych administracji i drukarni, od praktykantów do kierowników...

Jeżeli znakiem rozpoznawczym dzieła Bożego jest powstawanie w utrudzeniu, to Ośrodek takim dziełem jest, bo żaden miesiąc niemal nie przeszedł bez poważnych kłopotów. Ale w chwilach dramatycznych przychodziła pomoc nieoczekiwana. Długa jest lista dziwnych wypadków i tzw. „szczęśliwych zbiegów okoliczności", które sprawiały,

(Dokończenie na str. 30)

ŁASKA I LUDZIE — Napisał W. DŁUŻEWSKI

W świątecznym ŻYCIU J. B. swój jubileuszowy felieton „Po łepkach" zakończył słowami: „...skoro dotąd wytrwał (mowa o Katolickim Ośrodku Wydawniczym „Veritas"), to widać cudownie. Ostatecznie też dzięki pracy trzydziestu paru ludzi. Ale przede wszystkim, dzięki łasce Bożej!" Zakończenie trafne, ale prowokujące do uzupełnienia. Bo przecież dzięki łasce, to znaczy przez ludzi. Łaska nie działała w oderwaniu, sama przez się. Łaska ludźmi się posługuje. Każdy, przez kogo łaska działała, ma zasługę, że chciał współdziałać. Za to należy się uznanie, wdzięczność.

A jest komu dziękować i jest za co. I nie tylko tym trzydziestu paru na Praed Mews. Powstanie „Veritasu" to długa historia i wynik utrudzenia gromady ludzi. Telegraficznym skrótem mówiąc, już od roku 1940 podejmowane były próby utworzenia katolickiej organizacji na emigracji i katolickiego, społecznie ustawionego, warsztatu wydawniczego. Były i wpływy przeciwne, tak że przez wiele lat próby „paliły na panewce". Ale robota powoli się rozwijała...

W dziedzinie ideowej zaczęło się od Koła Tomistycznego, prowadzonego przez ks. Stanisława Bełcha (1942-1948). Potem powstało Koło Życia Wewnętrznego. Z obu tych kół w 1945 wyłoniła się „Grupa Studentów i Seniorów", która wzięła udział w pracach „Pax Romana" i przekształciła się w „Polskie Katolickie Stowarzyszenie Uniwersyteckie „Veritas", które zostało afiliowane do Pax Romana w roku 1946. Organizacja ta podjęła zadania pogłębiania myśli katolickiej i życia wewnętrznego oraz apostolstwa w uniwersyteckim środowisku. Do innych zadań, jak pomoc materialna studentom, ułatwianie przyjęć na uczelnie, stypendia, domy akademickie i działalność wydawnicza — została powołana fundacja, zarejestrowana w lutym 1947 jako Veritas Foundation, która przejmuje Komisję Kwalifikacyjną „Veritasu", dwa domy akademickie: w Londynie i w Cork oraz podejmuje akcję wydawniczą, z ŻYCIEM — jako sztandarem. W grudniu 1947 Fundacja zdobywa lokal przy 12 Praed Mews, starą stajnię, w której pozwolono założyć drukarnię. Tu więc zaczyna się tworzenie Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas". Stąd też data „jubileuszu".

Ale K. O. W. „Veritas" nie powstał jak Minerwa z głowy Jowisza. Założenie Funda-

Tęsknota, smutek, żal

GDYBY rozpisać masową ankietę wśród emigrantów na temat, jakie są ich uczucia wobec ojczyzny, odpowiedzi ułożyłyby się zapewne w refren znanej pieśni: „Tęsknota, smutek, żal". Dwie są jednak tęsknoty. Pierwsza: sentymentalna albo bierna, pogrążona w przeszłości, przywiązana do wspomnień, do miejsca urodzenia i minionego szczęścia, do rodziny i domu, do ziemi i krajobrazu, do środowiska. Tęsknota tego rodzaju jest istotnie uczuciem ogromnie mocnym. Publicystom w Kraju, rozważającym stosunek emigrantów do ojczyzny, zwykle się wydaje, że właśnie to uczucie góruje w sercach uchodźców.

Istnieje wszelako jeszcze inna tęsknota. Można by ją nazwać tęsknotą woli. Żal, że się nie uczestniczy w życiu i jego przemianach. Że stoi się na uboczu pracy i czynności. Że nie ma się wpływu na wydarzenia. Że się jest poza nawiasem losów. Ze szczególną ostrością żal ten gryzie serca emigrantów w chwilach doniosłych wypadków, takich jak np. zajścia w Poznaniu. Ale i w szarych dniach to uczucie nie jest wygnańcom obce.

Każda rzecz, pochodząca z Polski, każdy wyprodukowany drobiazg budzą żałość, że życie toczy się tam bez nas. W okresie świąt autor tych słów miał szczęście słyszeć nowe polskie piosenki w wykonaniu przybyłej z Kraju młodej pani, jakże podobne w swym sentymentalizmie do przedwojennych, acz kolwiek niezrównanie lepsze literacko. Te piosenki, jak nic bardziej, uświadomiły słuchaczom, że przecież życie nad Wisłą toczy się dalej, że ludzie tam tworzą, smucą się i cieszą nie tylko przeszłością (bo np. znają doskonale wszystkie nasze wojenne pieśni), ale przede wszystkim tym, co się dzieje aktualnie. Piosenka to tylko maleńkie wiórko spod ogromnych młotów twórczości. Polska żyje i tworzy, choć nam się często zdaje, że tylko cierpi, czeka i „nasłuchuje dzień po dniu".

Ustrój, owszem, ma znaczny wpływ na życie i twórczość polską, ale wcale nie wyłączny. Prawa życia stoją poza i ponad wszelkimi ustrojami. Czy to w kapitalistycznym, czy w komunistycznym, w demokratycznym, czy totalitarnym, w postępowym, czy zacofanym ustroju, w metropoliach, czy koloniach — wszędzie formy powszedniego życia ludzkiego w każdej chwili dziejowej są do siebie podobne, wyjąwszy może tylko zupełne rezerwaty dzikości. Między ustrojami różnice mogą być biegunowe, ale dziś np. przeciętny Amerykanin łatwo się dogada i porozumie co do podstawowych potrzeb i ideałów życia z Francuzem, Hiszpanem, Rosjaninem, czy Hindusem. Nawet takie ideały życia, jak demokracja czy praworządność torują sobie drogę poprzez gąszcza najstraszniejszych systemów. A cóż dopiero mówić o codziennym klimacie cywilizacyjnym!

Otóż w Polsce dokonują się właśnie olbrzymie przemiany, czasem przez ustrój powodowane, często wbrew niemu. Ktokolwiek by Polską dziś rządził, w każdym ustroju musiałby się w niej dokonywać spóźniony rozwój wsi i awans stanu chłopskiego, musiałby się rodzić nowoczesny ciężki przemysł, w nowych granicach Polska musiałaby się stać pierwszą w Europie potęgą górniczą, wdychać nareszcie po wiekach pełną piersią wiatr od morza, zagospodarowywałaby odzyskane ziemie piastowskie, najnaturalniej polskie. Więc nawet pod rządami komunistów powstaje nowa Polska, która kiedyś, po tylu wiekach, może wreszcie wyrówna krok z innymi narodami Europy. Zapewne, gdyby nie narzucony Polsce ustrój, jej postęp byłby szybszy, ale nawet komunizm nie zdoła odwrócić procesów historycznych.

Żal nam więc, emigrantom, że nie uczestniczymy w marszu narodu, że z nim nie pracujemy przy jednym warsztacie, nie walczymy, nie smucimy się i nie cieszymy. Niestety, rację mają Stanisław Stomma, Antoni Gołubiew i Stefan Kisielewski, gdy twierdzą, że Polska jest tylko jedna: nad Wisłą, chociaż to bynajmniej nie przeczy sensu emigracji. To prawda, z emigracji można bieżąco na życie Polski co najwyżej wpływać, ale nie można go tworzyć.

Wcale to zresztą nie znaczy, że kształtowanie życia polega na realizowaniu ideałów ustroju panującego w Polsce. Wprost przeciwnie. Najbardziej na emigracji zazdrościmy tym, którzy pracują i tworzą w Kraju bez zależności i nie pod dyktando komunistów. Wcale nie najbardziej się nam podoba, że katolicka grupa „Znak" głosi o wiele więcej niż współistnienie z komunizmem w Polsce, a podoba się nam tylko i wyłącznie dlatego, że jest katolicka.

Taka jest więc z grubsza ta druga tęsknota emigrantów: tęsknota do czynu, do uczestnictwa. Tamta pierwsza, sentymentalna, jest bierna i może się zadowolić wspomnieniami i marzeniami, na tę drugą, tęsknotę woli, nie ma rady.

Stoi za nią jednak siła wyższa: wierność. Wierność naszemu ideałowi Polski. Można podrwiwać w felietonach z Polski marzeń i nierzeczywistości, ale na tym właśnie polega różnica między nami a neopozytywistami w Kraju, że my w nasz ideał Polski wielkiej, wolnej i demokratycznej wierzymy i za mit go nie uważamy. Odrzucamy fatalizm historyczny, a zwłaszcza ustrojowy. Bezsilności nie nazywamy realizmem. Przemocy nie określamy jako zasady bytu. Wierzymy, że losy narodów są w ręku Boga, a nie, że są igraszką doktrynerów, czy wynikiem tzw. „konieczności dziejowych". Wierzymy również w człowieka i w zasadnicze dobro jego natury. Żadnych zmian nie możemy uznać za nieodwracalne. Jedyną obowiązującą nas ideą jest sprawiedliwość, nie dialektyka.

Toteż mocniejsza od tęsknoty do Polski krajobrazu i domu ojczystego jest nasza tęsknota do Polski wymarzonej, Polski idealnej, Polski sprawiedliwego jutra. Nie w przeszłość jesteśmy zapatrzeni, lecz w przyszłość. Gardzimy tymi, których nie stać na wiarę w prawdziwy postęp, w możliwość przemian. Nie do mitu wzdychamy, lecz do możności budowania Polski wedle polskiego wzoru i pragnień. Ta wizja i ta wiara są w nas mocniejsze nawet od bezspornej tęsknoty za rzeczywistością. I nie w rezygnacji, ale w woli ma źródło nasze wytrwanie na obczyźnie. Najprościej byłoby zaspokoić sentymentalną tęsknotę przez powrót. Ale chodzi przecież o coś większego i ważniejszego niż nasycenie osobistych uczuć. Różnica między emigracją a ugodowcami w Kraju polega nie tylko na różnicy programów czy światopoglądu, lecz raczej na sile wiary: oni już wiarę w lepszą przyszłość Polski stracili, my jeszcze wierzymy. Ale cena wiary jest znacznie większa od ceny rezygnacji.

J. B.

ŁASKA I LUDZIE

(Dokończenie ze str. 29)

że Ośrodek trudność po trudności pokonywał i z roku na rok zakres swej pracy powiększał. Wiemy, że w ukryciu, pracuje dla tego dzieła, które chciałoby być naprawdę Bożym, zastęp wiernych przyjaciół: Trapiści, Kartuzi, Karmelici i Karmelitanki, Benedyktyni i Benedyktynki, Marianie, Oblaci, świeccy księża i pobożne dusze ofiarowują swe modlitwy, by polskim słowem szła w świat Dobra Nowina. Każdy, kto dobrze życzy Ośrodkowi, jest w tym kręgu.

Dziesięciolecie — to etap. Ludzie się zmieniają, a dzieło — da Bóg — trwać będzie i przetrwa emigrację.

Wojciech Dłużewski

KONKURS LITERACKI

Z inicjatywy i dzięki ofiarności Polaków zamieszkałych w Wenezueli Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie rozpisuje konkurs literacki na: a) **powieść lub zbiór opowiadań** (250-300 stron maszynopisu na interlinii), b) **zbiór esejów** (200-250 stron maszynopisu na int.) c) **zbiór wierszy lub utwór poetycki** (100-150 stron maszynopisu na int.). W konkursie będą przyznane za najlepsze prace (bez względu na ich rodzaj literacki) trzy nagrody: I — £ 150, II — £ 100, III — £ 60. Jury zastrzega sobie prawo wyróżnienia dowolnej ilości prac. Fundatorzy zapewnili środki pieniężne na wydanie drukiem wszystkich nagrodzonych utworów. Maszynopisy oznaczone godłem (wraz z zamkniętą kopertą zawierającą imię, nazwisko i adres) należy **nadsyłać do dnia 1 listopada 1958 r.** na adres Związku: 312 Finchley Road, London, N.W.3. Jury stanowią: Józef Jaksiński, Józef Kisielewski, Tadeusz Sułkowski i Tymon Terlecki.

WSZECHSTRONNA DZIAŁALNOŚĆ

(Dokończenie ze str. 11)

Rodziny z Nazaretu, urodzony 7 stycznia 1833 w Tremp w Hiszpanii, zmarł 17 grudnia 1901. Wzór wielkiej wytrwałości i mocy duchowej.

Sługa Boża Maria Celina od Ofiarowania, klaryska, urodzona w Nojali we Francji 24 maja 1878, do czasu wstąpienia do klarysek w wieku lat 18 wzór dziewicy chrześcijańskiej, zmarła 30 maja 1897, zaledwie skończywszy lat 19.

Sługa Boża Teresa od Jezusa Jornet Ibars, założycielka kongregacji małych sióstr opiekunek opuszczonych starszych osób, urodzona w Aytona w Hiszpanii 9 stycznia 1843, zmarła 26 sierpnia 1897.

Sługa Boży Zefiryn Numuncurà, wychowanek salezjanów, urodzony w Chimpay w Argentynie 26 sierpnia 1886, zmarł w Rzymie 11 maja 1905 przed ukończeniem 19 roku życia. Wzór dla młodzieży męskiej.

Sługa Boża Franciszka Salezja Aviat, założycielka oblatek św. Franciszka Salezego, urodzona 16 września 1844, w Sézanne we Francji, zmarła 10 stycznia 1914.

Wszystkie te osoby żyły w wiekach XIX i XX i są przykładem dla świata współczesnego, że i w czasach dzisiejszych można się uświęcić.

★

Oto pokrótce, oczywiście nie we wszystkich działach, obraz działalności Papieża Piusa XII i Stolicy Apostolskiej w Roku Pańskim 1957.

Dr Władysław Jelonek

ŻYCZENIA

W sobotę 11 stycznia odbył się w Londynie, w kościele św. Jakuba, ślub red. Józefa Kisielewskiego, kierownika Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas", z panną Eryką O'Donnell. Ślubu udzielił ks. prałat W. Staniszewski.

Redakcja ŻYCIA składa Państwu Kisielewskim najlepsze i serdeczne życzenia.

DZIEŃ SKUPIENIA

W niedzielę 26 stycznia 1958 r. odbędzie się w Klasztorze Virgo Fidelis (189 Old Brompton Road) Dzień Skupienia, organizowany przez P.K.S.U. „Veritas", a prowadzony przez ojca K. van Oosta.

Program Dnia Skupienia:

Godz. 9.15 — Msza św.; godz. 10 — śniadanie; godz 11 — I nauka; godz. 12 — II nauka; godz. 1 — obiad; godz. 3 — III nauka; godz. 4 — podwieczorek; godz. 4.30 — Błogosławieństwo i zakończenie.

Koszty udziału: 5 szyl. plus 2/6 wpisowe. Zapisy przyjmuje Sekretariat Veritasu — 21 Earls Court Square, S.W.5, tel. FRE 2551 w godz. 9 - 1 do dnia 23 stycznia (czwartek). Uprzejmie prosimy o zapisywanie się w oznaczonym terminie i nieprzybywanie do klasztoru bez uprzedniego zgłoszenia.

100-LECIE LOURDES

Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii organizuje w 1958 roku

PIELGRZYMKI:

Doroczna pielgrzymka koleją 13 sierpnia 1958 r. Pełne 4 dni pobytu w Lourdes. Udział — £ 29.0.0. Wobec ograniczonej liczby miejsc w zamówionych hotelach, już przyjmujemy zgłoszenia i zapewniamy mieszkania w kolejności zgłoszeń. Listę zgłoszeń zamkniemy po pokryciu całej ilości zarezerwowanych miejsc.

W sierpniu będziemy mieli również jeden samolot pielgrzymkowy, który odleci 11-go sierpnia 1958 na pełny 7-dniowy pobyt w Lourdes. Udział w tej pielgrzymce wynosi 39 gwinei.

Wobec podniesionych cen i wielkiej liczby przewidzianych pielgrzymów do Lourdes w 1958 roku, prosimy o jak najwcześniejsze zgłoszenia. Szczegóły będą, jak zwykle, podawane w afiszach, ulotkach i w prasie katolickiej.

Zgłoszenia pisemne i wpłaty zaliczkowe po £ 3.0.0 od osoby przyjmuje: **Instytut Polski Akcji Katolickiej w W. Brytanii, 51 Eaton Place, London, S.W.1.**

POSZUKIWANI

Dwie rodziny w Polsce, przybyłe niedawno z Rosji, poszukują zaginionych: **JANA PERCZYŃSKIEGO** i **KAZIMIERZA KURIATĘ**. Obydwaj byli wychowankami sierocińca w Oudtshoorn w latach 1943-45, a po zlikwidowaniu tego obozu mieli jakoby wyjechać do Wschodniej Afryki. Poszukiwania na terenie Afryki nie dały jednak rezultatu. Kto ma jakieś wiadomości o zaginionych, proszony jest o łaskawe ich przesłanie pod adresem: Very Rev. Can. F. Kubieński, Bishop's House, P.O. Box 97, Oudtshoorn, C. P. South Africa.

SPORT

OD CRACOVII DO GÓRNIKA...

(Piłkarscy mistrzowie Polski)

Eliminacje do mistrzostw świata w Szwecji (r. 1958), rozgrywki o puchar Europy wysunęły piłkę nożną na czoło zainteresowań sportowych. Polski także nie ominęła gorączka piłkarska, do której przyczyniły się mecze reprezentacji Polski z Rosją o zakwalifikowanie się do finałowej 16-tki mistrzostw świata oraz udział Gwardii (Warszawa) w grach o puchar Europy. W obudwu konkurencjach Polacy przegrali. Gwardia, przy równej ilości punktów i bramek z Wismutem (Niemcy wschodnie), po trzecim decydującym spotkaniu odpadła losowaniem! Ponadto po rozluźnieniu żelaznej kurtyny liczne polskie drużyny piłkarskie wyjeżdżały do krajów zachodnich.

Mistrzostwa piłkarskie Polski zakończyły się dopiero w grudniu. Kandydatami do tytułu mistrza byli: Górnik (Zabrze) i Gwardia (Warszawa). W ostatnich swych meczach Górnik rozgromił Budowlanych (Opole) 8:1, a Gwardia z trudem uporała się z Lechią (Gdańsk) 1:0. Mistrzem Polski został Górnik. Górnik jest młodą drużyną; powstał w roku 1948.

Piłka nożna w Polsce ma długą historię. Już w roku 1903 we Lwowie powstał I LKPN (Pierwszy Polski Klub Piłki Nożnej) Czarni, w Krakowie Biało-Czerwoni, w roku 1907, przyjęli nazwę Cracovii. W r. 1911 założono w Krakowie Polski Związek Piłki Nożnej (tylko dla Małopolski), a już w roku 1919 mieliśmy ogólnopolski związek (PZPN). Prymat w piłce nożnej w latach dwudziestych należał do Krakowa i Lwowa, a w latach trzydziestych do Śląska.

Pierwsze mistrzostwo Polski zdobyła Cracovia w roku 1921.

Z drużyn o poważnej tradycji, które w okresie niepodległości odgrywały dużą rolę w piłkarstwie polskim, po licznych reorganizacjach i naciskach, pozostały tylko strzępy. Polonia warszawska bezpośrednio po drugiej wojnie światowej zdobyła mistrzostwo Polski i przez pewien czas występowała jako Kolejarz, a ostatnio pod starą nazwą gra w III lidze (okręgowej). Pogoń lwowska, wielokrotny mistrz Polski, stworzyła w Bytomiu drużynę Ogniwo, przemianowaną potem na Unię, dziś noszącą nazwę Polonii. Garbarnia krakowska gra w II lidze, Warta poznańska tuła się w II lidze. Czarni (Lwów) nie mają chyba nigdzie swojego odpowiednika...

Poziom gry polskich piłkarzy w porównaniu z drużynami państw zachodnich jest słaby. Słabszy niż w latach trzydziestych. Polacy grają nieracjonalnie, źle gospodarują swoimi siłami i piłką. Kontakty drużyn polskich z Zachodem wykazały, że nasi piłkarze muszą się sporo uczyć. Polacy grają nieźle technicznie, często lepiej od przeciwnika zagranicznego, ale akcjom polskim brak płynności, planowości, za dużo jest w nich improwizacji, popisów, a za mało skutecznego strzału. Polacy grają „ciasno" w miejscu, mało stosunkowo posługują się grą skrzydłami. Najlepszym przykładem tego były ostatnie mecze Budowlanych (Opole) i ŁKS (Łódź).

Mecze w roku 1957:

w Warszawie Polska — Turcja 0:1 (0:1)
w Moskwie Rosja — Polska 3:0 (1:0)
w Helsinkach Finlandia — Polska 1:3 (0:1)
w Sofii Bułgaria — Polska 1:1 (0:1)
w Chorzowie Polska — Rosja 2:1 (1:0)
w Warszawie Polska — Finlandia 4:0 (2:0)
w Lipsku Rosja — Polska 2:0 (1:0)

Piłka nożna w Polsce jest sportem masowym. Ponad 150 tysięcy piłkarzy jest zgłoszonych do PZPN. Frekwencja na meczach w porównaniu z latami sprzed wojny bardzo wysoka. Na meczach międzypaństwowych dosięga 100 tysięcy widzów.

Niestety za masowym rozwojem tego sportu nie podąża strona moralna. Awantury na boisku, pijaństwo wśród widzów, niemoralny tryb życia polskich piłkarzy zdarzają się nierzadko. Masowy rozwój piłki nożnej nie jest rekompensatą wobec przewinień graczy i rozwydrzonych kibiców klubowych. Niestety kierownictwa drużyn rzadko troszczą się o odpowiednie wychowywanie swych graczy.

Piłkarz

RACHUNEK DZIAŁALNOŚCI

Komitetu Wydawniczego Leopolis książki p. Rosy Bailly pt. „A City Fights for Freedom"

Przychody. Ofiary, zgodnie z ogłoszonymi w „Wiadomościach" nr. nr. 391, 395, 397, 401, 403/4, 405, 414, 418, 422, 448, 455/6, 469, 470 i subskrypcje: £ 1192.15.5.

Wydatki. Drukarnia „Veritas" — druk i papier: £889.6.2; klisze £169.1.0. = £1058.7.2. Różni: szkice artystyczne, plany, klisze etc. £ 60.16.2; tłumaczenie na język angielski £ 43.14.8. = £ 104.10.10. Razem bezpośrednie koszty wydawnicze £ 1162.18.0. Odezwy i ogłoszenia subskrypcyjne £ 5.16.0. Portoria, transport i drobne wydatki adm. £ 7.17.9. = £ 13.13.9. Koszty pobytu autorki w Londynie £ 8.1.6.

Ogółem wydatki	£	1184.13.3
Nadwyżka dochodów	£	8. 2.2
	£	1192.15.5

Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej odnośnie Komitetu Wydawniczego Leopolis książki p. Rosy Bailly pt. „A City Fights for Freedom".

Wydatki wykazane powyżej w kwocie £ 1184.13.3 pokryto jak następuje: gotówką £ 1142.13.3; rozliczenie książkami „Veritas" £ 42.0.0. Razem wydatki pokryto w kwocie £ 1184.13.3.

Komisja stwierdziła, że na dzień zamknięcia rachunków Komitet posiadał w banku £ 50.2.2 stanowiących — nadwyżkę dochodów £ 8.2.2 rozliczenie książkami „Veritas" £ 42.0.0. Razem £ 50.2.2.

Ogółem wydrukowano 1.384 książek (egzemplarzy), z czego „Veritas" otrzymał 56 egz. (Invoice nr 11 z 20. 3. 1956), reszta w posiadaniu Komitetu.

Komisja Rewizyjna w składzie pp.: Zbigniew Jabłkowski, Wacław Jurkiewicz i Jerzy Cienciała stwierdziła zgodność powyższych danych z zapiskami kasowymi, a udokumentowanych dowodami oryginalnymi i kwitami.

Komisja wyraża uznanie za oszczędność gospodarki oraz za ofiarną i bezinteresowną pracę pp.: płk. A. Idzika, mjr. W. Witrylaka, i mjr. B. Łokaja.

Por. J. Cienciala, Sekr. Koła 20 P. P. Z. Krak.; **Z. Jabłkowski**, Sekr. Zw. K. P. w W. Brytanii; **Kpt. lot. W. Jurkiewicz**, Stow. Lot.

Londyn, dnia 9 listopada 1957 r.

LUDZIE I ZDARZENIA *

J. E. Arcybiskup Westminsteru **GODFREY**, prezydent honorowy Katolickiej Rady Pomocy Polsce (CCPW), ofiarował **£ 500** na ce'e Rady.

Hojny dar powinien być przykładem dla naszych przyjaciół brytyjskich w wielkim dziele **katolickiej pomocy dla Polski.**

*

Dr Hubert RIPKA, czechosłowacki mąż stanu, poseł, b. minister, autor pracy „A Federation of Central Europe", szczery i odważny **zwolennik federacji polsko-czeskiej — zmarł w Londynie 7 stycznia 1958 roku.**

*

Statystyka **NAWRÓCEŃ** w Anglii i Walii wykazuje stały wzrost; ilości nawróconych na katolicyzm (osób dorosłych): w roku 1954 — **11.920**; w 1955 — **13.291**; w 1956 — **14.077.**

*

Gdy **Edmund HILLARY** dotarł do **bieguna południowego**, prasa amerykańska wystąpiła z projektem powierzenia mu odpowiedzialnego stanowiska w przygotowaniach ekspedycji do **przestrzeni międzyplanetarnej...**

(bolejąca nad losem „kaputnika")

*

Konsumpcja **WÓDKI** w Polsce jest obecnie dwa i pół raza wyższa niż w roku 1938; w ciągu roku 1957 wzrosła o 30%. To samo zjawisko występuje w Czechosłowacji i na Węgrzech i w innych krajach satelickich... **DLACZEGO?**

Tymczasem w Sowietach podniesiono cenę wódki o 1/5.

*



Zamknięcie „PO PROSTU" wywołało w zachodnich Niemczech duże wrażenie. Zwłaszcza zrzeszenia studentów i prasa młodzieżowa protestowały przeciw krępowaniu wolności słowa.

Czasopismo studentów monachijskich „Profil", jako wyraz protestu, postanowiło uzupełnić swój tytuł dodatkowym tytułem „Po prostu", do czasu aż „PO PROSTU" ponownie będzie się mogło ukazać.

ROZPOWSZECHNIAJ
WŚRÓD
SWYCH
ZNAJOMYCH **»ŻYCIE«**

Wybór „stolicy małej Europy" — siedziby władz Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (Wspólny Rynek) i Atomowej (Euratom) jest przedmiotem żywych dyskusji: typowana jest Bruksela, ale Francuzi wolą Paryż. — Haga tradycyjnie miałaby być stolicą sądową; w Luksemburgu pozostanie kwatera główna Wspólnoty Węgla i Stali; Mediolan byłby centralą finansową.

*

W Amsterdamie istnieje od 13 lat tzw. „Akcja Otwartych Drzwi", założona przez o. Jana van der Steegt ze zgromadzenia zakonnego Świętej Rodziny. Celem tej akcji jest umożliwienie niekatolikom spotkania się na neutralnym terenie z księdzem katolickim i porozmawiania na temat Kościoła katolickiego, głoszonej przez niego nauki i moralności. Odpowiednio urządzone lokale akcji, z biblioteką i materiałem ilustracyjnym, ułatwiają pracę księdzu i przybywającego niekatolika wprowadzają w atmosferę katolicką.

*

Znany w Polsce profesor indoeuropejskiego językoznawstwa porównawczego, wykładający na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, Jerzy Kuryłowicz, otrzymał ostatnio tytuł doktora honoris causa Sorbony, słynnego uniwersytetu paryskiego. Jest to pierwszy polski uczony, który otrzymał tego rodzaju wyróżnienie po drugiej wojnie światowej. Razem z prof. Kuryłowiczem doktoraty honoris causa Sorbony otrzymało 9 uczonych zagranicznych.

Prawie w tym samym czasie paryska Akademia „Des Inscriptions et Belles Lettres", której prof. Jerzy Kuryłowicz jest członkiem, przyznała mu jedną z najwyższych nagród naukowych „Prix Volney", za wydaną w roku 1956 pracę z dziedziny językoznawstwa.

*

Radio moskiewskie „uświetniło" prawosławne święto Bożego Narodzenia audycją „religijną". Szydzono z „bajek" o bogach, królestwie niebieskim, piekle i diabłach; ani sowieccy lotnicy nie znaleźli, ani sputniki nie natknęły się w przestworzach na „raj BOGA-CARA"... Religię określano jako kapitalistyczny wymysł dla podtrzymywania ustroju niewolnictwa; najgorliwszymi chrześcijanami są „współcześni Rockefellerzy"...

*

Miesięcznik londyński „Encounter" stwierdził niedawno, że książki i periodyki wysyłane z zagranicy nie dochodzą do adresatów w Polsce. Obecnie ten sam miesięcznik ogłasza list p. Williamsa z Newbury w Berkshire, nawiązujący do tego doniesienia. Pisze on, że lokalny urząd pocztowy (w Newbury) otrzymał z Polski dyrektywę tamtejszych władz pocztowych z 31 lipca 1957, która oświadcza, że „nie wolno wysyłać pocztą żadnych dokumentów... druków, książek, szkiców... itd., które zawierają rzeczy przeciwne polskim prawom i przepisom celnym (customs)".

„Przyjaciele w Polsce — pisze p. Williams — nie otrzymali żadnych magazynów wysłanych po lipcu 1957, choć przedtem dostawali je w ciągu 1957 roku. Owe magazyny, które jakoby „zawierają rzeczy przeciwne polskim prawom", to były „Woman", „Woman's Own", „Mickey Mouse Weekly", „Robin", „Playbox" oraz „Tarzan Comics".



Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9754.